

Cym. P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4

1948



P. HOSTOWIEC — O współczesnej formacji humanistycznej. *
G. ORWELL — Lew i nosorożec. * GAMMA — Preliminaria
trzeciej wojny światowej * J. ULATOWSKI — Polityczna funkcja
inteligencji * G. H. GRUDZIŃSKI — Twórczość literacka w kraju
■ A. CAMUS — Kazanie i śmierć Ojca Paneloux * T. SUŁKOW-
SKI — Obrona Justyny ■ J. ŁOBODOWSKI — List do Juana
Ramona ■ M. SIENNY — Swoboda tajemna ■ M. SOKOLNICKI
— Dziennik AnkarSKI ■ TEKSTY ZAPOMNIANE ■ ARCHI-
WUM POLITYCZNE ■ KSIĄŻKI ■ VARIA

SPIS RZECZY

Jan Ulatowski:	<i>Polityczna funkcja inteligencji..</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>O współczesnej formacji humani- stycznej</i>	8
Gamma:	<i>Préliminaires trzeciej wojny świa- towej</i>	19
Gustaw H. Grudziński:	<i>Twórczość literacka w kraju ..</i>	32
George Orwell:	<i>Lew i nosorożec</i>	41

◆

Albert Camus:	<i>Kazanie i śmierć Ojca Paneloux</i>	63
Tadeusz Sułkowski:	<i>Obrona Justyny</i>	72

◆

Józef Łobodowski:	<i>List do Juana Ramóna</i>	81
Juan Ramón Jimenez:	<i>Srebroń i ja</i>	84

◆

Tadeusz Potworowski:	<i>Galeria obrazów</i>	89
----------------------	------------------------------	----

Ś C I E Ż K I

Marek Siępný:	<i>Swoboda tajemna.....</i>	93
---------------	-----------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Michał Sokolnicki: <small>Ambasador R.P.</small>	<i>Dziennik AnkarSKI</i>	100
---	--------------------------------	-----

TEKSTY ZAPOMNIANE

Cyprian Norwid:	<i>List do Mariana Sokołowskiego</i>	113
Cyprian Norwid:	<i>Czas i prawda.....</i>	117

ARCHIWUM POLITYCZNE

Witold Korwin:	<i>Nowy porządek w Europie wschodniej</i>	120
----------------	---	-----

K S I A Ż K I

Wiktor Weintraub:	<i>Książki angielskie</i>	129
Ryszard Wraga:	<i>Książki o Rosji</i>	136
Maria Czapska:	<i>Mickiewicz znów aktualny</i>	145

V A R I A

W. A. Zbyszewski:	<i>Bieżąca kronika</i>	150
-------------------	------------------------------	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4

1948

OKAZOWY

INSTYTUT



LITERACKI

Polityczna funkcja inteligencji

Gdyby inteligencja była klasą, tj. gdyby była związana z określonymi interesami materialnymi — jej rola polityczna byłaby wyznaczana przez sytuację, w jakiej znalazły się te interesy. Nie co innego, tylko ta sytuacja dyktowałaby poglądy polityczne, które inteligencja powinna wyznawać, jeżeli chce służyć swoim interesom. Oczywiście, i w tym wypadku analiza sytuacji nie prowadziłaby do jednoznacznych wniosków: jak zwykle, okazałoby się, że jest kilka możliwości, między którymi musi odbyć się dyskusja. Ale inteligencja klasą nie jest. Inteligent ma możliwość wyboru klasy, z którą zamierza się solidaryzować. Wyboru dokonuje on przez przyjęcie w życiu danej klasy jakiejś funkcji albo też przez zwykłe asystowanie jej życiu i udział w jej manifestacjach politycznych. Przynależność do inteligencji nie wymaga żadnej solidarności grupowej, ale nie wymaga też solidarności z żadną z klas społecznych.

Lecz klasy nie są w polityce wszystkim. Przedmiot walki klas — narzędzia i wytwory produkcji — mają istotne znaczenie nie tylko dla klas, ale i dla państwa. Nie tylko klasy walczą ze sobą o prawo dysponowania nimi — o to prawo walczy także państwo. Z faktu, że państwo często odmawia tego prawa wszystkim klasom lub je w tych prawach ogranicza, wynika, że państwo nie ma z konieczności charakteru klasowego, jak to twierdzą marksiści. Państwo może stać się narzędziem przewagi jednej z klas lub wyrazem kompromisu między klasami, ale zarówno jedno jak i drugie nie jest wyłącznie skutkiem walki klas. Zwycięstwo ruchu politycznego wyznającego program dyktatury proletariatu, a więc hegemonii jednej z klas — jakie miało miejsce trzydzieści lat temu w Rosji, nie było skutkiem walki klas w Rosji, ale skutkiem załamania się państwa rosyjskiego. A rezultatem tego zwycięstwa nie była dyktatura proletariatu, a więc hegemonia klasy robotniczej, ale dyktatura jednej z zorganizowanych grup inteligencji rosyjskiej i powstanie nowego państwa rosyjskiego.

Twórcy tego państwa rekrutowali się w znacznej mierze z inteligencji rosyjskiej, która uprzednio wyemigrowała z kraju. I mimo, że była to inteligencja wyznająca solidarność z klasą robotniczą, jej działalność w nowym państwie nie była i nie

PRINTED IN FRANCE

Imprimerie de la S. N. I. E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

1948 D 148

jest wyznaczana przez interesy rosyjskiej klasy robotniczej, ale przez interesy państwa rosyjskiego. Wszystkie teorie usiłujące tę niezgodność działania z głoszonym poprzednio programem usprawiedliwić interesami rewolucji światowej lub zamaskować rzekomymi wymogami ewolucji ku społeczeństwu bezklasowemu — są tylko dowolnymi interpretacjami i choćby były wyznawane z najlepszą wiarą, mogą być traktowane co najwyżej jako pobożne życzenia. Dla obserwatora polityki sowieckiej są one zaledwie wybiegiem intelektualnym i niczym więcej. Jako taki odgrywają one jednak rolę weale potężnej broni w walce państwa rosyjskiego z innymi państwami.

Przykład rewolucji bolszewickiej, zorganizowanej i doprowadzonej do zwycięstwa przez inteligencję rosyjską i to głównie przez inteligencję emigracyjną, pozwala nam na odkrycie nowego momentu politycznej roli inteligencji. Co sprawia, że inteligent, który do żadnej klasy nie należy i może solidaryzować się z każdą klasą według swego swobodnego wyboru, solidaryzuje się z tą klasą a nie inną? Głównym motywem przy dokonywaniu wyboru jest niewątpliwie styl życia. Każda klasa ma swój dosyć określony styl życia. Inteligent w miarę swoich możliwości aspiruje do stylu życia którejś z nich, przy czym może aspirować do coraz to innego. Najłatwiejszy i najbardziej narzucający się przeciwnemu inteligentowi jest styl życia drobnomieszczański. Ma on szereg odcieni poczynając od tzw. «filisterskiego» a kończąc na tzw. «cygańskim». Ale osiągalny dla inteligenta jest także styl życia ziemiański, kapitalistyczny, a nawet robotniczy lub zgoła chłopski. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że swój własny styl życia wytwarzają także kasty, np. kapłańska, wojskowa czy urzędnicza — otworzy się przed inteligentem cały wachlarz stylów życia, wśród których może wybierać. Oczywiście, w wyborze tym odgrywa dużą rolę przypadek, lecz aspiracje powstają nie tylko ze skłonności — powstają także na skutek okoliczności a nawet przymusu.

Inteligenta ze skłonnościami do «idealizmu» często pociąga tzw. styl «rewolucyjny». Rewolucjonista jest najczęściej ideałem inteligenckim. Chłop czy robotnik stają się rewolucjonistami tylko w procesie swojej aspiracji do «inteligencji» — oczywiście, w okresie przedrewolucyjnym, gdy ruch nie ogarnął jeszcze mas. Stąd tylu półinteligentów wśród rewolucjonistów. Istniały w dziejach epoki, gdy rewolucyjne było drobnomieszczaństwo (Rewolucja Francuska) lub gdy rewolucyjna stawała się klasa robotnicza, ale znamy także epoki, gdy rewolucyjna była kasta kapłańska (Reformacja), a nawet wojskowa (Cromwell). W Niemczech po tamtej wojnie istniał ruch rewolucyjny nie tylko w klasie robotniczej, ale i w klasie wojskowej. Co więcej, ten ostatni okazał się zwycięski i pociągnął za sobą wszystkie inne. W hitleryzmie zawarł on kompromis z ruchem drobnomieszczańskim i zdobył znaczną część proletariatu.

Rola inteligenta w ruchach rewolucyjnych polega na tym samym, w czym tkwi jego znaczenie dla klas, dla kast a także dla państwa. Inteligent interesuje grupę, na której usłuży się oddał. W gruncie rzeczy jest to funkcja, związana z jego sprawnością w operowaniu słowami. Inteligent staje się organem świadomości grupy. Jego zadaniem jest formułowanie odrębności grupy i nadawanie tej odrębności znaczenia. W tym procesie powstają idee, które są obroną i apoteozą ideałów grupy. Jeżeli grupa znajduje się w stanie walki politycznej lub na drodze do władzy albo władzę obejmuje — jej inteligenci wytwarzają cały aparat intelektualny, którym grupa posługuje się w walce oraz przy umacnianiu i rozszerzaniu swych wpływów. Po objęciu władzy przez grupę rewolucyjną inteligent staje się częścią składową nowych instytucji i przechodzi dalszą ewolucję. Jeżeli nie potrafi przystosować się do nowego stylu życia, jaki wytwarza każda zwycięska grupa rewolucyjna, ulega w końcu eliminacji.

Zasadniczą funkcją polityczną inteligencji jest interpretowanie grupy jako elementu sytuacji politycznej. Celem takiej interpretacji jest zwykle — rzadki to wypadek, kiedy bywa inaczej — takie uporządkowanie powszechnych kategorii wartości, by ideały grupy znalazły się na czele tych kategorii i by grupie nadać znaczenie elementu dominującego w sytuacji politycznej. Taka jest zasadnicza funkcja inteligencji nie tylko w ruchach rewolucyjnych, ale także w państwie, klasie i kście. Inteligencja ma za zadanie kształtować opinię o grupie, i to zarówno jej własną opinię o sobie (którą możemy nazwać mniemaniem), jak i opinię innych.

Opinia ma przemożny — przez pozytywizm nie doceniany — wpływ na życie grupowe. Chociaż życie powstaje niezależnie od myśli, w pewnym momencie zjawiska przyjmują charakter, jaki im nadaje myśl. Warunkiem jest jednak, by myśl ta była produktem twórczej woli. Biologia uważa za rzecz dosyć prawdopodobną, że w ten sposób powstawały organy żywych organizmów. Przypadkowa narośl ulegała interpretacji przez twórczą wolę indywiduum i kalectwo przeistaczało się w nowy organ. Tak mogły powstać wszystkie znane nam organy. Istota rzeczy polegała na znalezieniu funkcji dla narośli. Jeżeli funkcja ta stawała się potrzebą, ćwiczenie funkcji wydoskonalało organ. Biologiczna interpretacja polega na znalezieniu funkcji dla przypadkowej narośli. To jest właściwy akt twórczy. Dokonuje się on w indywiduum.

Tu przechodzimy do rozważenia roli inteligencji w znaczeniu, w jakim nawet wśród warstw społecznej zwanej inteligencją spotyka się ją rzadko. Jednostki, które ją reprezentują, są prawdziwymi laboratoriami postępu. Słowo «postęp» nie jest tu oczywiście terminem ze słownika liberalizmu, ale słowem określającym zmiany dostatecznie głębokie, by odmieniały oblicze

świata. Klasycy myśli ludzkiej są w świecie kultury takimi samymi i interpretatorami, jak twórcze indywidua w rozwoju świata organicznego. Charakterystyczne jest dla nich, że stoją poza grupami społecznymi, ugrupowaniami politycznymi etc. i ponad nimi. Jeżeli z jakimś ugrupowaniem się wiążą, ugrupowania te nabierają charakteru ich narzędzi, stają się wykonawcami ich woli.

Ci ludzie są najwyższymi produktami inteligencji jako warstwy społecznej. Żadna inna warstwa czy klasa wytworzyć ich nie może, ponieważ tworzywem, w którym pracują, jest słowo, o słowo jest monopolem inteligencji. Słowo, to nie tylko znak obiegowy, jak sądzą utylitaryści; jest ono najpełniejszym wyrazem kultury i — rzecz może paradoksalna — najtrwalszym jej pomnikiem. Słowo nie tylko umożliwia bardziej skomplikowane związki między ludźmi — ono jest ponadto substratem ciągłości tych związków w czasie. Bez niego nie byłoby żadnej jedności. Ono jest gwarantem najprostszej jedności, jaką jest osobowość. Gdyby nie była zaimka «ja» — nie byłoby całej kultury, jaka wykrystalizowała się wokół pojęcia indywidualności. Kreacja tego zaimka była początkiem i warunkiem powstania całej naszej kultury.

Funkcją polityczną tytanów myśli — jeżeli na tym poziomie można jeszcze mówić o «funkcji» — b. rzadko bywa inicjatywa polityczna. Jeżeli mimo to ich znaczenie dla rozwoju politycznego jest często przełomowe, pochodzi ono stąd, że dzięki nim nowe zjawiska, określane dotąd w terminach tradycyjnych i dlatego określane nie adekwatnie, niewłaściwie a nawet błędnie — otrzymują swoje właściwe nazwy. Myśliciel widzi kształt, ku któremu zjawisko zmierza lub który może przyjąć, jeżeli wysiłek w tym kierunku będzie bardziej świadomy. Przeciętny obserwator mówi «narośli» gdzie myśliciel już mówi «organ».

Inteligencja jako warstwa nie jest twórcza, jej rola jest wykonawcza lub przygotowawcza: inteligencja eksperymentuje nowe idee i udoskonala je w tym zakresie, w jakim są one narzędziami działania lub też rejestruje w szczegółach rozbieżności między zmieniającymi się zjawiskami a tradycyjnymi pojęciami. Tej rejestracji wszakże brak syntezy. Jest ona dokonywana w oczekiwaniu na twórczy akt, który przez znalezienie właściwej nazwy, tj. przez wyznaczenie nowemu zjawisku miejsca wśród starych zjawisk — wprowadzi je do rzeczywistości kulturalnej. Jeżeli wielkie umysły tak często działają «rewolucyjnie», przyczyna nie tkwi w właściwym im rzekomo «temperamencie rewolucyjnym», ale w ich zdolności dostrzegania kształtu w zbiorze elementów, który innym wydaje się chaosem lub zlepkiem heterogenicznych fragmentów. W rezultacie więc rewolucyjność tkwi nie w myślicielu, ale w zmie-

niającej się rzeczywistości. A przecież bez jego wizji rzeczywistość mogłaby się potoczyć inaczej..

Inteligencja z reguły orientuje się na tych odnowicieli słownictwa i twórców nazw. W rzeczywistości kulturalnej dopiero nazwa stwarza zjawisko. A rzeczywistość polityczna jest częścią rzeczywistości kulturalnej. Próba eliminowania polityki z kultury lub zgoła przeciwstawiania ich sobie jest niewątpliwym objawem dekadencji kultury. Wielkie wydarzenia polityczne — im bardziej destrukcyjne, tym pewniej — są symptomami przemian kulturalnych. Jeżeli ich rezultatem jest dystansowanie się inteligencji od polityki — tak dziś np. powszechne — wina nigdy nie tkwi w polityce, ale w zaniedbaniach, jakich inteligencja dopuściła się przy pełnieniu swoich funkcji w życiu kulturalnym.

Jan ULATOWSKI.

O współczesnej formacji humanistycznej

1

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza lekarze obdarzyli nas kilku systemami charakterologii opartej na cechach somatycznych czyli na budowie ciała. Różnie pomyślane testy czyli reakcje na określone podniety pozwalają uzupełnić klasyfikację przez większą lub mniejszą ilość podtypów.

Zrodzona w klinikach i laboratoriach — i mająca tam swą rację bytu — nowa charakterologia wyszła na ulicę, dostarczając niewinnej rozrywki znacznej części naszych współczesnych. Na przystanku tramwajowym czy w kawiarni, patrząc na przystojnych towarzyszy, staramy się dla skrócenia czasu rozpoznać w nich typy asteniczne, pykniczne, atletyczne, basedowskie, tetaniczne itd., wnosząc stąd o ich zachowaniu w tej lub innej okoliczności, o rodzaju ich wymowy i reakcjach na widok tablic Rorschacha.

Znającemu historię charakterologia taka — oderwana od jej medycznego kontekstu — przypomina nieco starożytne próby klasyfikacji ludzi według wzorów olimpijskich: Junona, Wenus, Minerwa, Diana, Westa, Jowisz, Apollo, Mars, Wulkan, Merkury... Ich cechy somatyczne przechowała rzeźba, cechy duchowe literatura piękna starożytnych. Reminiscencja ta pociąga za sobą drugą reminiscencję. Starożytni wiążąc charakter i ludzi z formami ciała, byli fatalistami. Postulatu wpływu planet, los człowieka był dla nich z góry zamknięty w horoskopie.

Łatwość i szybkość, z jaką nowe charakterologie, oparte na cechach somatycznych, rozpowszechniły się wśród profanów, pozwala wnosić o chwilowym zmierzchu pojęć, na jakich opierały się wszystkie próby wychowania i szkolenia człowieka. Budowy ciała zmienić nie potrafimy. Jeżeli z nią związany jest charakter człowieka, próby wychowania go nie mogą liczyć na powodzenie. W swych planach przebudowy świata Niemcy wyciągnęli z tych przesłanek radykalne wnioski, zastępując pedagogię przez zootechnikę i masakrując typy uznane za nie-

pożądane. Uczni charakterologów usiłowali w miarę możliwości skierować rzeź na właściwe tory i stworzyć naukowe przesłanki dla tego rodzaju masowej chirurgii. Odróżniono więc np. dla uczzonego niemieckiego szczególnie odrażający i zasługujący na wyplenienie typ S, który łatwo poznać po właściwej mu skłonności do synestezji czyli łączenia wrażeń wzrokowych i słuchowych. Klasycznym przykładem synestezji jest znany sonet Artura Rimbaud *Les voyelles*: «a noir, e blanc, i rouge, u vert...» Dla uczonych synestezja jest dowodem organicznej niższości umysłu, skłonnyego posługiwać się raczej symbolami i alegoriami niż pojęciami logicznymi...

Powyższe szczegóły przytaczamy dla charakterystyki pojęć i zainteresowań obecnych pokoleń. Różnorodność klasyfikacji opartych na cechach somatycznych i nieoczekiwane skutki tych teorii laboratoryjnych w rękach barbarzyńców, biorących książkę pierwszego lepszego profesora za artykuł wiary, odwróciły uwagę od klasyfikacji według cech nabytych przez szkołę i wychowanie.

Klasyfikacja taka istnieje wprawdzie w postaci specjalizacji zakładów naukowych, ale klasyfikacja na podstawie dyplomów nie wystarcza. Zdarza się, że szkoły dają swym absolwentom coś więcej nad świadectwo szkolne, które zresztą nie mówi nic o wychowaniu. Nawet przy obsadzaniu posad, kierownicy urzędów i przedsiębiorstw oglądają nie tylko same dyplomy, ale także i ich posiadaczy.

W każdej przygodnej dyskusji z osobą nieznaną usiłujemy przede wszystkim odpowiedzieć sobie na pytanie: jaka jest formacja naszego rozmówcy? Czy studiował nauki ścisłe czy humanistykę? Czy pracował w laboratoriach czy też w bibliotekach i archiwach? Zazwyczaj odpowiedź nie każe na siebie długo czekać, bo po paru minutach rozmowy wiemy już czego się trzymać. Cechy nabyte są więc równie widoczne jak wrodzone cechy somatyczne, nieraz trudne do rozpoznania i do interpretacji. W ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat różnice dzielące poszczególne formacje szkolne uległy znacznemu pogłębieniu.

2

Wiek XIX nie znał większej przeciwstawności między formacją humanistyczną i przyrodniczą. Między Darwinem i Claude Bernard'em z jednej a Hipolitem Taine'm z drugiej strony nie dostrzegamy żadnej przepaści. Obie formacje łączyły zbieżne poglądy na człowieka, jego przeszłość i możliwości. Darwinieści widzieli go jako wynik długiej ewolucji gatunków, opartej na eliminowaniu i przystosowaniu. Historycy widzieli go w środowisku historycznym, obciążonego spadkiem po pokoleniach poprzednich. Dla socjologów był nieodróżnym symbolem swej grupy społecznej. Wreszcie ekonomiści podporząd-

kowywali jego wysiłki indywidualne prawom natury rządzącym wolną grą sił gospodarczych.

Poglądy te nie przeciwstawiły się sobie, lecz zązębiały się nawzajem, tworząc przesłanki ówczesnego liberalizmu, który odrzucał przymus jako bezużyteczny, nie mogący zaważyć na ewolucji biologicznej, ani odwrócić przeszłości ciężącej na obecnych pokoleniach, ani podważyć praw rządzących zjawiskami ekonomicznymi.

Widziany z laboratorium czy z archiwum, człowiek niesiony był przez powolne procesy ewolucyjne. Nawet znajomość minionych katastrof, które pochłonęły państwa i ludy, obracając ich kraje w pustynię, nie nasuwała ludziom ubiegłego stulecia żadnych podejrzeń.

Przeciwstawność między obu formacjami zarysowała się w miarę rozwoju i przewagi techniki. Podział wyższych zakładów naukowych na zamknięte specjalności datuje się wprawdzie z czasów Napoleona, *universitas* broniła jednak długo swej jedności. Utylitarna koncepcja wiedzy wzięła wreszcie górę. Zakłady naukowe zostały wprzężone w mechanizm nowożytnego państwa opartego na moralności obłązonego miasta. Wówczas wyszło z nich pokolenie technokratów, nie widzące żadnej trudności w racjonalnym zorganizowaniu narodów na wzór terminów, pod warunkiem odrzucenia wszystkich przesądów i tradycji.

Technika zmieniła w krótkim czasie krajobraz znacznej części globu, pokrywając go ruinami lasów, sieciami szyn i drutów, tysiącami kominów i pagórkami żużli. Najstarsze miasta obróciła w gruzy lub zabudowała czworobokami z betonu, w których warunki życia okazały się zasadniczo odmienne od wszystkiego, co widziano podczas poprzednich tysiącleci. Przedstawicielstwa ludności, parlamenty i rady miejskie, nie stawiały tym zmianom żadnego oporu, wciągane w tzw. dynamiczną wizję świata, idącego do szybkiej i radykalnej metamorfozy.

Humanisci nie zdążyli za tak prędko zmieniającym się obrazem świata. Znajomość przeszłości nie dostarczała im żadnego klucza do zrozumienia zmiennych i groźnych nieraz wizji nie-dalekiej przyszłości. Studia humanistyczne łączą się źle z otaczającą muzea i biblioteki atmosferą moralną obłązonego miasta. Aktualność ich zmalała. Mimo gromadzących się coraz bogatszych materiałów, liczba osób oddających się badaniom historycznym jest coraz mniejsza. Nikt z nich nie posiada autorytetu dawniejszych humanistów. Ostatnim sławnym historykiem był Guglielmo Ferrero, który zmarł nie zostawiając uczniów, otoczony garstką przygodnych słuchaczy.

Jeżeli pominiemy nauki ekonomiczne, które w świecie współczesnym znalazły własną drogę, właściwe studia humanistyczne znajdują się w stanie widocznego upadku. Porzucone przez młodzież, zaledwie tolerowane przez władze — tam gdzie te ostat-

nie są bardziej liberalne — studia humanistyczne mają dziś w sobie coś przebrzmiałego, pokrytego kurzem papierów.

Okoliczności te uprawniają do postawienia pytania, czy istnieje jeszcze nadal formacja humanistyczna, i z jakich szkół ją dziś młodzież wynosi.

3

Studia humanistyczne, w założeniu swym mające za przedmiot człowieka, dzieła jego rąk i myśli, są w rzeczywistości przerażająco książkowe w sensie *bookish, livresque*. Poświęcający się im toną w książkach — przeważnie gorszego gatunku — z dala od wszelkiego kontaktu z ludźmi żywymi. Dla uzyskania gruntownego wykształcenia humanistycznego i stosownych dyplomów najlepszą receptą w obecnym stanie rzeczy wydaje się kilkuletni pobyt w klauzurze. Wśród książek, obożony podręcznikami i słownikami, w wygodnym szlafroku, z dala od rozrywek, młody człowiek miałby najlepsze warunki dla szybkiego opanowania głównych dyscyplin humanistycznych. Rzeczywistość nie odbiega zasadniczo od tego ideału. Poważniejsze wykształcenie humanistyczne ma w sobie zawsze coś z kurzu bibliotek i coś z szlafroka.

Książka jest przedmiotem bardzo użytecznym, niezbędnym nawet dla humanisty. Czy jednak ławka szkolna i klauzura jest najlepszą drogą do poznania człowieka, instytucji które sobie nadał, tradycji i obyczajów od których nie potrafi odstąpić, a wreszcie jego różnorodności, obejmującej zarazem Prospera, Ariela i Kalibana? Czy nie lepszą drogą byłoby szukanie przez młodzież bezpośredniego kontaktu z ludźmi żywymi i ich instytucjami? Piszący te słowa chciałby na chwilę pograżyć się w marzeniu o eksperymentalnym wykształceniu społecznym.

Wyobraźmy sobie, że komisarze UNO, objeżdżający dziś Palestynę, Grecję i kolonie włoskie, zabierają w drogę swych 14—18-letnich synów, którzy towarzyszą im w całej ankiecie i są potem świadkami obrad w Lake Success. Wyobraźmy sobie parlamentarzystów zabierających dorastających synów w podróż elektoralną. Wyobraźmy sobie rodziców wysyłających dzieci na kilkumiesięczne przeszkolenie do obozów D.P. w Niemczech lub do przemytników ludzi na linii demarkacyjnej. Wreszcie wyobraźmy sobie dystans dzielący po powrocie tę młodzież od jej rówieśników, którzy przez ten czas grali w piłkę i ślęczeli nad podręcznikami.

Ten i ów z młodych podróżników mógłby się trochę wykołoić, zejść z utartych dróg prowadzących do przeciętnej kariery. Ale co warta jest dziś ta przeciętność? Cała moja sympatia jest po stronie chłopca, który wykołoił się zobaczywszy Kalibana rządzącego na wyspie Prospera. Bardzo chciałbym go spotkać. Jeżeli go nie spotkam, moja starość będzie straszliwie samotna.

Wróćmy do rzeczywistości. Formacje humanistyczne podobne do opisanych wyżej istnieją także w naturze jako dzieło szcze-

śliwego przypadku, wczesnego wtajemniczenia w arkaną życia społecznego. Zaznaczmy ich charakter pozaszkolny, jak również wagę rodziny i otoczenia w wykształceniu humanistycznym.

Zanim przejdziemy do innych wariantów współczesnej formacji humanistycznej, chcielibyśmy opisać pewien szczególnie wyjątkowy wypadek wychowania pozaszkolnego.

W okolicach górskich Europy Wschodniej, w dolinach Bałkanów i Karpat istniały do ostatnich czasów okolice nie objęte oświatą powszechną. Szkoły istniały tam tylko pozornie i były jak najmniej uczęszczane. Ktokolwiek zetknął się z tamtejszą młodzieżą, był zdumiony jej doskonałym wychowaniem, uprzejmością, poprawnością manier, optymizmem i zaradnością. W jaki sposób ubodzy górale potrafili dać swym dzieciom tak przykładowe wychowanie?

Młodzież jest tam wcześniej wtajemniczana w życie dorosłych, w ich organizację społeczną, w obrzędy i tradycje, w rzemiosła i zabawy. Każdego roku w początku listopada młodzież tworzy niewielkie grupy, przygotowujące się do starożytnych obrzędów związanych z *solstitium hibernum*. Z pomocą wybranego mistrza ceremonii, młodzi uczą się tańców, śpiewów, manier, układają kuplety z aluzjami do aktualnych ewenementów towarzyskich. W okresie świątecznym grupy młodzieży będą kolejno gośćmi wszystkich gospodarzy, będą śpiewali i tańczyli we wszystkich chałach. Co komu można powiedzieć, aby było wesoło i nikt się nie obraził? Młodzi górale dowiadują się o tym w 15—16 roku życia i dlatego czują się potem w towarzystwie znacznie swobodniej od doktorów filozofii.

W dni poświęcone patronowi wsi, mieszkańcy tworzą dookoła świątyni malownicze grupy. Stoją w odświętnych, barwnych strojach, z wstążkami na kapeluszach, obwieszeni mosiężnymi ozdobami, z fajkami w zębach i wyszywanyymi kapturkami z machorką na piersi. Nadprzyrodzone potęgi schodzą tego dnia, unosząc się nisko nad głowami zebranych, jak w greckiej tragedii. W obliczu *mysterium tremendum* gmina stoi dumna i podniosła. W takie dni młodzież dowiaduje się o godności człowieka tego, co przy pewnym wysiłku wyobraźni wykształceni mogą przeczytać u Seneki.

Do pracy i rzemiosł młodzież górską bierze się wcześniej, w tym wieku, kiedy młodzież szkolna nie umie jeszcze samodzielnie rysować. Wychowanie jej zbliża się bardzo do tego, co wiemy o wychowaniu u ludów starożytnych, należy zatem do klasycznych tradycji humanistycznych.

Przypadek zaprowadził mnie raz o zmroku do odludnej wsi górskiej, gdzie nie każdego roku widziano kogoś obcego. Zaledwie zsiadłem z konia na pobliskim wzgórzu, otoczyła mnie grupa chłopców grających z wielką wprawą i sztuką na fujarkach, niby *pifferari*, których słuchał Hektor Berlioz jako stypendysta Ecole de Rome. Melodie tańców rytualnych i weselnych goniły jedna drugą. Koncert i manifestacje przyjaźni trwa-

ły przy ognisku do późna w noc. Starsi zdawali się być tego dnia nieobecni.

Dopiero nazajutrz, w dalszej drodze, uświadomiłem sobie, że chłopcy od pierwszego rzutu oka rozpoznali we mnie przyjaciela, oceniając trafnie, że niczym nie zrobią mi większej przyjemności, jak wydając na moją cześć *un concert champêtre*. Znacznie później dowiedziałem się o źródle tej przenikliwości. Wieś ta zamieszkała była przez przemysłowców, którzy tego dnia byli na robocie. Chłopcy od bardzo młodego wieku brali udział w ekspedycjach granicznych, rozpoznając teren i ostrzegając o niebezpieczeństwie. Mimo kilkakrotnych spotkań — zawsze połączonych z koncertami — żaden z nich nie zdradził się, że bywał nie raz za granicą i zna wszystkie zwyczaje i chytrności gwardii finansowej. Wczesne wtajemniczenie w zawód przemysłowca nauczyło ich od razu trafnie oceniać intencje i charakter nieznanego przechodnia.

Z ich ciemnymi, uważnymi oczami, z ich drobnymi, zręcznymi rękami, przypominali raczej dzieci dobrych wrótek niż dzieci człowieka. Myślę o nich z wdzięcznością i smutkiem. Ich życzliwa, swobodna i wesoła postawa była szczerą i prawdziwą. W kilka lat później, podczas wojny i prześladowań, przeprowadzili przez granicę wielu uchodźców, tak samo bezinteresowni i życzliwi jak wówczas, kiedy grali nieznanemu na fujarkach. Wielu z nich zginęło w obozach koncentracyjnych, strzeżonych przez ich szkolonych rówieśników.

4

W okresie międzywojennym studia artystyczne zdawały się mieć dla młodzieży większą siłę przyciągającą od studiów filologiczno-historycznych. W wielu krajach pociągnęło to za sobą wzrost poziomu i liczby zakładów naukowych odpowiadających tym gustom. Część nauczania ogólno-kształcąca została w nich rozszerzona. Od końca ubiegłego stulecia wzrosła też znacznie publiczność artystyczna. Artyści nie są więcej drobną grupą odosobnioną wśród profanów. Zajmujące ich sprawy są dyskutowane w szerokich kołach publiczności. W odróżnieniu od szkół technicznych i uniwersytetów, szkoły artystyczne nie otwierają swym absolwentom drogi do żadnej utartej i łatwej kariery. Dlatego — zwłaszcza w Europie Wschodniej — studia artystyczne przyciągnęły do siebie najbardziej samodzielną i przedsiębiorczą część młodzieży. Dla wszystkich tych względów formacja artystyczna zasługuje dziś na szczególną uwagę.

Studia artystyczne chodziły zawsze odrębnymi, własnymi drogami, nie mieszcząc się dobrze w żadnym powszechnym planie szkolnictwa. Przez długie okresy czasu artyści mogli się kształcić tylko prywatnie. Szkoły pretendowały jedynie do uczenia rzemiosła, techniki wymaganej w danej gałęzi sztuki. Do ostatnich czasów większość szkół artystycznych posiadała statut średnich szkół rzemieślniczych, odmawiając swym adeptom

rangi i uprawnień przysługujących słuchaczom szkół wyższych. Sytuacja tych szkół nie odpowiada ani roli, jaką sztuka gra w życiu umysłowym naszego czasu, ani ambicjom i charakterowi sztuki, zwłaszcza modernistycznej, w znacznej części ateistycznej, intelektualnej i eschatologicznej tj. zajmującej się ostatnimi problemami egzystencji.

Rozbieżność ta wynika częściowo z odmiennych celów, jakie stawiają sobie szkoły artystyczne i uniwersytety. Te ostatnie zajmują się zjawiskami artystycznymi tylko w niewielkim zakresie, ucząc analizować i klasyfikować dzieła sztuki. Nawet naukę pisania pozostawiają szkołom średnim. Czasy, kiedy od studentów wymagano napisania łacińskiego wiersza, należą do odległej przeszłości. Szkoły artystyczne natomiast pretendują przede wszystkim do nauczania praktycznych umiejętności technicznych. Uniwersytety formują więc tylko historyków, krytyków, znawców biernych, co najwyżej degustatorów sztuki, gdy szkoły artystyczne formują twórców i wykonawców.

Ostrożność i odległość, z jakiej świat uniwersytecki ogląda zjawiska artystyczne, ma swą głębszą przyczynę. Doktryna pozytywistyczna, z jakiej wyrósł współczesny uniwersytet nie umie oswoić się z elementem irracjonalnym, magicznym, który odgrywa znaczną rolę w twórczości artystycznej.

Dla patrzącego na dzieło sztuki z zewnątrz rozstrzygającym jest fakt delektacji artystycznej. Wychodząc zeń można opisać i wytłumaczyć cały świat sztuki niejako *ex naturalibus*, nie używając żadnych niejasnych lub wątpliwych terminów. Zazębieńia się jego o rodzaje, formy i procedery mogą dostarczyć tematu dla wielu jeszcze pokoleń badaczy.

Inaczej przedstawia się sprawa z punktu widzenia artysty. Gdyby chodziło jedynie o dostarczenie publiczności przedmiotów delektacji artystycznej, mało zapewne znalazłoby się chętnych do podjęcia się tego zadania. Sztuka posiada tradycje, których żadną miarą nie można sprowadzić do takiej prostej formuły.

W istocie rzeczy sztuka nie oddaliła się bardzo od swych magicznych początków. Magia jest systemem myślenia opartym na omnipotencji słowa. Poprawnie wypowiedziana formuła magiczna przynosi zdrowie lub śmierć, deszcz lub posuchę, może zmienić człowieka w osła i odwrotnie, pozwala wywoływać duchy, widzieć przyszłość i uzyskiwać wpływ na potęgę nadprzyrodzone. Z tych pojęć zrodziło się poczucie formy słowa jako czynnika rozstrzygającego o jego sile magicznej. Mimo wieków racjonalizmu, i dziś jeszcze słowo nie zupełnie utraciło te właściwości. Niepoprawna forma słowna może pozbawić urzędnika posady, studenta dyplomu, w krajach zaś dyktatorialnych może nawet zaprowadzić na dłuższy pobyt do kryminału.

Poezja liryczna powstała w znacznej części z formuł magicznych. Otwierając jakikolwiek tom wierszy, znajdziemy tam for-

my hymnów, inwokacji, inkantacji itd. Wiersze zwracające się do pięknych pań noszą zazwyczaj formy słowne, jakimi starano się zjednać lub przebiłgać siły nadprzyrodzone. Podobieństwa te nie są bynajmniej przypadkowe. W niektórych okolicach górskich magia posiada jeszcze stronników. Formuły używane tam dla odczynienia czarów, zażegnania chorób, pobudzenia do działania lub uspakajania wężów itd. posiadają formę wierszowaną, pełną alliteracji i asonansów, godnych ze wszech miar uwagi osób zajmujących się studiami literackimi.

Artysta słowa posiada zawsze mniejszą lub większą świadomość magicznej siły formy. Bez szczypty magii, słowo poety byłoby tak samo skromne i ostrożne jak słowa autora niniejszego szkicu, stawiającego sobie tylko zadania rozpoznawcze.

Słowo artysty jest wspomnieniem wszechpotężnego *fiat*, którym Stwórca wywołał świat z chaosu. Dzieło sztuki jest fragmentem stworzonego przez artystę świata fikcyjnego, uporządkowanego według wartości inaczej niż świat znany nam z pozostałych doświadczeń. Poszczególne rodzaje literackie zachowały często właściwe sobie schematy porządkujące: melodramat dzieli swe postacie na czarne i białe, komedia na poważne i śmiechu warte, akcja tragedii odbywa się w kosmosie niewielkiego rozmiaru, w którym bogowie patrzą z bliska na szaleństwa człowieka.

Jeden z twórców *Gestaltpsychologie*, Wolfgang Köhler, pisze w swej książce o teorii wartości, że osoby, które nie pracowały w laboratoriach, nie mogą sobie wyobrazić, jakim nietaktem byłoby wypowiedzenie tam jakiegoś sądu wartościującego. Właściwa dziełom sztuki zdolność porządkowania według wartości zawartego w nich świata fikcyjnego stanowi linię graniczną, dzielącą sztukę od świata myśli pozytywistycznej.

Zwłaszcza w literaturze współczesnej uderza świadomość magicznej siły słowa, poruszającej związku nie widzialne dla myślicy w poprawnych terminach lub krzątających się z niewzruszonym optymizmem dokoła spraw materialnych. Wystarczy wspomnieć poetyckie formuły zniszczenia i zagłady, jakie ostrzegały nas od dwu pokoleń, zanim pokryta gruzami Europa stanęła na niejasnym rozdrożu, na samej granicy spraw ludzkich.

5

Magiczne początki sztuk plastycznych są również znane. Uroczyście linie posągów i świątyń wiązały siły nadprzyrodzone, udostępniając je w tym miejscu dla ofiar i modłów. Co pozostało sztukom plastycznym z tego okresu? Jak niegdyś ze światem olimpijszym i półbogów, tak dziś wiąże nas dzieło sztuki ze światem fikcyjnym o odmiennej hierarchii wartości. U starszych mistrzów, używających wielu symbolów, porządek tego świata dawał się łatwiej odczytać i nawet opowiedzieć. W nowszej sztuce zarysy jego są bardziej mgliste i indywidualne.

Nawet w przedmiotach mniejszej ambicji, w twórcach sztuki

stosowanej, odnajdujemy też związek ze światem niewidzialnym o innym porządku. Wystarczy pomyśleć o kontekście danego przedmiotu, o stosownym dlań otoczeniu. Niektóre meble maurytańskie o płomiennie-surowych kształtach, malowane złotem i purpurą, dają się umieścić chyba tylko pośrodku rajy, przed samym tronem Allaha. Właściciele trzymali je w półmroku, bo światło wymagałoby wzniesienia dla nich odrębnych budynków, jakich formy żaden budowniczy nie potrafił sobie dotąd wyobrazić.

Młodzież wychodząca z zawodowych szkół artystycznych ma ręce posiadające irracjonalną siłę formotwórczą. Zdolność tworzenia form pozwala jej przedstawić konkretnie i udostępnić sobie i innym istniejący w ich wyobraźni świat fikcyjny, który dla profanów jest tylko nieuchwytnym przecuciem, uciekającym wciąż i mglistym marzeniem.

Możliwość bliskiego kontaktu z rzeczywistością o innej hierarchii wartości była za wszystkich czasów źródłem zachwytu i nadziei. W dusznej atmosferze oblężonego miasta, w którym zamknęły się ludy starego świata, wykształcenie artystyczne zdaje się być najbardziej pociągającą odmianą formacji humanistycznej.

6

Nauczanie muzyki stoi jeszcze niżej w hierarchii szkolnej i pozostawia jeszcze więcej do życzenia. W szkołach muzycznych sztuka traktowana jest na poziomie skromnego rzemiosła. Sama znajomość jej jest ograniczona do bardzo niewielkiego repertuaru. Ranga i znaczenie humanistyczne muzyki pozostaje dla uczniów wstydliwie ukryte.

Oświecona publiczność muzyczna stanowi bardzo niewielką grupę, tonącą w tłumie uczęszczających na koncerty. Słuchacze na krótką chwilę tylko dają się wciągnąć w płynny świat dźwięków, który zaraz potem ucieka od nich, pozostawiając po sobie bardzo niejasne wspomnienie. W tłumie profanów artysta pozostaje samotny. W nim jednym płynne tworzywo muzyczne posiada swą ciągłość i konkretność.

Świat olimpijczyków nie odkrywał się łatwo i przed byle kim. Zbliżenie się doń wymagało przygotowania, odrzucenia od siebie trzeźwej wizji rzeczy i przeniesienia się w strefę uczuć podniosłych, rzadkich, niezwykłych. Muzyce przypisywano zawsze zdolność przenoszenia słuchacza w nową dlań strefę uczuć i stąd pochodzi jej rola w obrzędach religijnych. Uczony mułta petersburski, Musa Begijew, sądził, że muzyka będzie zapewne językiem przyszłych proroków, stojących w pół drogi między człowiekiem i Allahem.

Od tych początków, muzyka zubożyła niezmiernie swój język i zakres doświadczeń. Różnorodność wrażeń i przeżyć wywoływanych przez muzykę wydaje się nieskończona. I tu forma posiada też rozstrzygające znaczenie.

Wykształcenie muzyczne jest zjawiskiem złożonym. Składa się nań magiczna niemal siła formotwórcza rąk i znajomość różnorodnej skali wrażeń i przeżyć, jakie zawiera literatura muzyczna. Widziane zwłaszcza z tej strony wykształcenie muzyczne stanowi mało rozpowszechnioną i nową, lecz szczególnie obiecującą odmianę formacji humanistycznej.

7

Stan obecny wykształcenia literackiego i historycznego, uważanego dotąd słusznym tytułem za podstawę formacji humanistycznej, daje dużo do myślenia. Chcielibyśmy zatrzymać się nad jego dwoma aspektami.

W ubiegłym stuleciu istniała pewna — jeżeli nie jedność — to zbieżność między głównymi pojęciami przyrodników i humanistów. Nauki przyrodnicze, znajdujące się w stanie największego rozwoju, promieniowały na humanistykę, wnosząc do niej pewną ilość swych pojęć i tendencji.

Dziś, w okresie neopozytywizmu, łączność między obu formacjami wydaje się niemal zerwana. W ostatnich dziesiątkach lat nauki ścisłe wytworzyły pewien zakres pojęć i terminów uważanych za obowiązujące dla poprawnego rozumowania. Wiedza humanistyczna w sposób widoczny nie zdążyła za tymi wymaganiami.

Dla przykładu przytoczymy tak często używany przez humanistów termin «przyczynowości». Już przed 40 laty Bertrand Russel radził wykreślić ten termin ze słownika filozoficznego, jako nie posiadający dość określonej treści. Pewien niemiecki uczyony powtórzył mi rozmowę na ten temat z Albertem Einsteinem. Znakomity matematyk zajął stanowisko tolerancyjne. Jeżeli niższym dyscyplinom wiedzy — botanice czy historii — pojęcie przyczynowości potrzebne jest dla ich metodologii, należy im je zostawić, ale pojęcie to nie może figurować w słowniku osób stawiających sobie większe wymagania.

Historia nie posiadała nigdy bardziej przemyślanej metodologii i po dziś dzień postuluje się pojęciami z czasów Thucydidesa. Ten ostatni powziął ambicję wytłumaczenia *per causas* całej wojny peloponeskiej. Uważny czytelnik widzi już po krótkiej lekturze, że Thucydides napisał książkę pod wielu względami doskonałą, lecz nie zawierającą żadnego objaśnienia *per causas*. Niepowodzenie tej próby nie odstraszyło jego następców.

Dopóki dyscypliny humanistyczne nie przyswoją sobie głównych pojęć i terminów używanych dziś w naukach ścisłych i mowie potocznej, będą robiły wrażenie wiedzy wątpliwej, nie aktualnej, nie zdążającej za ogólnym poziomem nauk. Modernizacja metodologii humanistycznej jest jeszcze cała do zrobienia. Odwrócenie się młodzieży od tych dyscyplin utrudnia to zadanie, i przedział między formacją humanistyczną i przyrodniczą zdaje się nieustannie pogłębiać.

Próby modernizacji podjęte w zakresie badań literackich nie

dają większego zadowolenia. Przenoszenie w dziedzinę literatury procedurów i manierizmów laboratoryjnych grozi licznymi niebezpieczeństwami. Każdy kto bywał w laboratoriach, wie, jak dalece praca w nich zależy od instrumentów i jak bardzo zależność ta zmechanizowała badania, bardzo często nie wymagające nawet przeciętnego poziomu inteligencji. Próby przeniesienia do badań literackich postawy laboranta, któremu nie wypada wypowiedzieć sądu wartościującego, musi prowadzić do głębokich omyłek i rozczarowań. Na tę właśnie niepewną drogę weszły w ostatnich czasach studia literackie. Nie bez zniechęcenia czytelnik odkłada dziś na stronę setki tomów modnych analiz techniczno-literackich, wzorowanych na eksperymentach laboratoryjnych.

Jako wiernemu synowi pozytywizmu, piszącemu te słowa trudno jest robić proces pozytywizmu współczesnego. Nie można jednak ukryć, że lud laboratoryjny dostarczył w ostatnich czasach dotkliwych rozczarowań. Żyjąc w obawie wypowiedzenia sądu wartościującego, nie zajął stanowiska do najważniejszych zagadnień naszego czasu. W swych białych tunikach pozostał niemy, fabrykujący posłusznie bomby atomowe. Humanści nie mają mu tak wiele do zazdrośczenia. Od formacji humanistycznej oczekujemy czegoś innego.

Paweł HOSTOWIEC.

Preliminaria trzeciej wojny światowej

Studium Jamesa Burnham'a «O władzę nad światem» — jest książką apokaliptyczną. Tematem głównym jest problem czy cywilizacja współczesna, której kolebką było Morze Śródziemne, a kontynuatką główną Europa — przetrwa kryzys, który rozpoczął się w 1914 r. i którego najsilniejsze konwulsje stoją jeszcze przed nami.

Widmo trzeciej wojny światowej ciąży już nad polityką międzynarodową i żaden przebieg ani korzystna zmiana w sytuacji świata nie zdają się nam zapewniać, że cywilizacja, związana nieodłącznie z pojęciem wolnego człowieka, wyjdzie z tej trzeciej wojny zwycięsko.

W swym niewielkim, do maksimum skondensowanym studium, Burnham omawia po kolei wszystkie dane, które pozwoliłyby nam zdać sobie sprawę z warunków w jakich nastąpiłby ewentualny wybuch konfliktu, odbywał się jego przebieg i decydował ostateczny wynik.

Karkołomny postęp techniczny, którego punktem kulminacyjnym było zastosowanie energii atomowej jako środka zniszczenia, stał się nowym potężnym czynnikiem już nie rozwoju, ale zagrożenia cywilizacji, która zapewne przeżywa na naszych oczach ostatni etap swojego istnienia.

Technika wyzwoliła się w pewnym sensie spod wpływu człowieka i sama zaciążyła nad jego postawą i postępowaniem; przestaje być już narzędziem siły ludzkiej, a stać się może z łatwością narzędziem samobójstwa i samozniszczenia przodujących cywilizacyjnie narodów.

Broń atomowa spotęgowała do najwyższych granic groźbę wojny przez ryzyko obrócenia w perzynę właśnie najbardziej uprzemysłowionych i posiadających największe skupienia miejskie stron świata. Wraz z tymi skupiskami miejskimi ginęłyby przeważnie największe, najzasobniejsze ośrodki cywilizacyjne. Wszelkie szanse przetrwania kataklizmu mają jedynie terytoria mało zaludnione lub o ludności rozrzuconej na ogromnych terenach. Mniej «dosięgalne» byłyby na przykład Chiny i Indie choćby uległy zniszczeniu największe miasta tych kra-

jów. Podobna jest sytuacja Afryki i większości krajów Ameryki Południowej. Najbardziej zagrożoną byłaby za to Anglia, której ludność skupiona jest maksymalnie na bardzo niewielkiej stosunkowo przestrzeni.

Ale procesy technicznego rozwoju ciążyą nie tylko nad warunkami i metodami, które cechować będą przyszły konflikt wojenny. Przyspieszają one działanie przyczyn politycznych, stwarzających nieuchronność trzeciej wojny światowej. W roku 1914 istniało sześć potęg w świecie, tworzących Trójpromienie i Trójpzymierze: Francja, Rosja i Anglia z jednej strony, Niemcy, Austria, Włochy — z drugiej. Kraje te bądź nasycone i pacyfistyczne, bądź prowadzące politykę ograniczonego imperializmu i ekspansjonizmu mogły przez długie okresy współistnieć ze sobą, rozwiązywać wzajemne sprzeczności w drodze kompromisów i łatwo przez wzajemną grę sił unieemożliwiać ekspansję mocarstwa zbyt agresywnego, które by chciało naruszyć, w sposób istotny, równowagę słynnego «koncertu europejskiego».

W 1939 r. istniało tylko 5 mocarstw: Rosja, Niemcy, Japonia, Anglia i Stany Zjednoczone. Nie były już one związane z sobą systemem sojuszów, który by zapewniał trwalszą równowagę. Sam jednak fakt istnienia pięciu potęg umożliwiłby jeszcze grę, w której mocarstwo, sięgające po władzę nad światem, mogło być w swych planach ograniczone przez porozumienie czy kooperację potęg pozostałych. Ten stan rzeczy stwarzał, przynajmniej teoretycznie, możliwości odraczenia na czas jakiś grożącego konfliktu.

Druga wojna światowa doprowadziła do pozostania na placu już tylko dwóch potęg. Użycie energii atomowej zastosowane nad Hiroszimą zrewolucjonizowało raz jeszcze proporcję sił w polityce międzynarodowej. Zastosowanie nowej broni — możliwe tylko dla największych potęg — umniejszyło jeszcze bardziej znaczenie mocarstw «drugiej kategorii» i państw o «ograniczonych interesach». Jednocześnie broń ta stworzyła ze Stanów Zjednoczonych teoretycznie największą potęgę świata, zapewniając im materialną przewagę nad Rosją Sowiecką bądź nie posiadającą jeszcze tej broni, bądź nie zdolną na razie do jej produkcji na skalę masową. Jeśli używamy słowa «przewaga teoretyczna» to dlatego, że mimo niewątpliwej wyższości technicznej U.S.A. nad Rosją Sowiecką, pogłębionej nowym wynalazkiem, okres prawie trzyletni, który upłynął od zastosowania go po raz pierwszy, był okresem stałej — przerywanej tylko lokalnymi niepowodzeniami — politycznej ofensywy sowieckiej, którą w ostatnim okresie Stanom Zjednoczonym udało się co najwyżej powstrzymać, ale w żadnym razie nie zamienić w odwrót, w jakimkolwiek punkcie newralgicznym rozległych interesów światowych Z.S.R.R.

Wytlumaczenie tego fenomenu zajmuje w dużym stopniu uwa-

gę autora amerykańskiego. Analiza polityki dwóch głównych autorów przyszłego konfliktu: Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej stara się wyjaśnić to — z pozoru niezrozumiałe, a jednocześnie zasadnicze dla sytuacji międzynarodowej — zagadnienie.

Burnham jest z pochodzenia na wpół Anglikiem, na wpół Amerykaninem; dłuższe studia w Anglii dały mu pełniejszą perspektywę oceny polityki międzynarodowej. Ani wygląd jego ani jego umysłowość nie są «typowo amerykańskie», w potocznym znaczeniu tego terminu. Znakomity znawca Marxa, Burnham w początkowych okresach swej działalności był komunistą, ściślej trockistą, a już w okresie emigracyjnej działalności Trockiego wywiązała się pomiędzy nim a szefem Czwartej Międzynarodówki polemika, zakończona zerwaniem Burnhama z komunizmem. W pracach później ogłoszonych wystąpił on z tezą, że komunizm i marksizm, w jego formach mniej lub więcej ortodoksyjnych, nie doprowadzą do socjalizmu demokratycznego, ale przekształcą się w despotię o cechach totalnych.

Przeszłość polityczna Burnhama pozwala mu na dokładniejsze, bardziej bezpośrednie rozumienie Rosji Sowieckiej, jej rządzącej elity, jej psychiki i wogóle całej mechaniki wewnętrznej systemu. Jednocześnie kapitalistyczna Ameryka nie jest dla niego ideałem.

Burnham, ostatnio profesor filozofii na uniwersytecie nowojorskim, ocenia Rosję Sowiecką jako groźbę dla świata, jego cywilizacji i jego wolności — nie równie większą od Trzeciej Rzeszy w momentach kulminacyjnych jej sukcesów polityczno-militarnych. Ale ocena Stanów Zjednoczonych, jakkolwiek nie zrezygnował on z nadziei, że staną się one ośrodkiem krystalizacji przyszłego systemu «niekomunistycznego», jest także niezmiernie surowa. Przygotowanie Stanów do tej roli, poziom amerykańskiej opinii publicznej, brak elity politycznej, cały system polityki zagranicznej — o ile można tu mówić o systemie — poddane są miazdzącej krytyce. Parokrotnie Burnham powraca do określenia U.S.A. jako «półbarbarzyńskiego państwa, rzuconego na peryferię kulturalną świata».

Zasadniczy walor jaki przyznaje Amerykanom to zdolność organizacyjna na wielką skalę, umiejętność zorganizowania masowej i wysokowartościowej produkcji oraz sprawność i szybkość uruchamiania i użycia wytwarzanych środków wojennych. Podkreśla, że Amerykanie górują w tym nad Niemcami niezależnie nawet od faktu posiadania potężniejszych podstaw surowcowych.

Polityka, a zwłaszcza opinia amerykańska stoi bezradnie wobec obecnego układu sił w świecie, choć posiada wszystkie elementy przewagi w swym ręku. Zaczyna ona dopiero dyskutować możliwości i zasady przyszłej organizacji świata, nie zdając sobie dotąd sprawy jakimi środkami będzie mogła tę prze-

wagę osiągnąć. Zniszczenie potęgi Rosji Sowieckiej, bądź już tylko jej osłabienie przez redukcję sfer wpływów do granic z 1939 r., czy utrzymanie obecnej linii podziału świata i próba polityki współistnienia obu systemów, wreszcie program tzw. «appeasementu», kryjący w sobie dalsze jeszcze ustępstwa, — oto kilka zasadniczo z sobą sprzecznych polityk, między którymi nieustannie oscylują nie tylko opinie ale i kierujące czynniki rządowe.

W zagadnieniach zagranicznych nie można mówić o polityce amerykańskiej jako o jednolitej koncepcji. Polityka zagraniczna U.S.A. w «kategorii czasu» jest pozbawiona konsekwencji próbą kolejnego rozwiązywania piętrzących się trudności. Wobec posunięć przeciwnika podejmowane są decyzje ad hoc, bez dostatecznej troski o przyszłość i bez należytego analizowania przeszłości. Jaskrawą ilustracją możemy tu znaleźć chociażby w okresie — decydującym dla powojennego oblicza świata — kolejnych konferencji «trójki» czy «czwórki» od Moskwy i Teheranu w r. 1943 począwszy. To samo można skonstatować w «kategorii przestrzennej»; posunięcia amerykańskie nie są dostatecznie skoordynowane w rozmaitych punktach globu. Wobec uniformizmu polityki sowieckiej, U.S.A. próbuje na różnych terytoriach stosować odmienne metody — od kompromisu począwszy a na polityce «silnej ręki» skończywszy. Z tych niekonsekwencji i sprzeczności korzysta świadomy swych celów przeciwnik.

W okresie 1943-45 stosunek do Rosji był nieprzerwaną serią koncesji i kapitulacji, mimo że Sowiety wnikłane były w ciężką wojnę o własne istnienie, a Stany Zjednoczone z nietkniętą potęgą posiadały względną swobodę w wyborze dróg. Za kluczowy błąd tego okresu Burnham uważa nieprzeprowadzenie desantu anglosaskiego na Bałkanach. Opuszczenie gen. Michajłowicza na rzecz Tito w wyniku całkowicie przypadkowych decyzji i posługiwania się inspirowanymi przez Sowiety źródłami wywiadowczymi o sytuacji w Jugosławii — ostatecznie przekreśliło układ strategiczny, który w latach 1943 i 1944 łatwo było osiągnąć. Gdyby Żelazna Kurtyna zatrzymała się na ujściu Dunaju i Karpatach, a nie na morzu Adriatyckim i Wiedniu, ogólna sytuacja polityczna byłaby nierównie lepsza. Gdy w okresie tych dwóch lat polityka amerykańska nie zrobiła nic, aby wykorzystać swą niezmierną przewagę to od 1945 r. sytuacja powtarza się, choć w odmiennych okolicznościach. Słabością Rosji jest już nie wojna z potęgą niemiecką, ale broń atomowa w ręku Ameryki zademonstrowana pod Hiroszimą.

Seria błędów polityki amerykańskiej nie została niestety zakończona. Z jednej strony pozwolono na konsolidację okupacji sowieckiej w krajach naddunajskich, które Burnham uważa jeśli nie za kluczowe, to za strategicznie i gospodarczo niezmiernie ważne, z drugiej zaś kardynalne błędy popełniono w Chinach, gdzie odpowiedzialni kierownicy polityki amerykańskiej

widzieli sytuację miejscową nie jako funkcję polityki międzynarodowej, ale jako lokalny spór wewnętrzno-chiński. Z pomyłek i nadużyć reżimu Czang Kai Szeka wyciągnięto wnioszek fałszywy. Starano się doprowadzić do kompromisu i zgody narodowej między tym reżimem a komunistami, tak jak w skali światowej ludzono się szansami appeasementu pomiędzy Rosją Sowiecką i Stanami Zjednoczonymi i innymi krajami «kapitalistycznymi». Uratowano w ten sposób lokalne rządy komunistyczne w Yennan i umożliwiono Rosji Sowieckiej utrzymanie ważnego przyczółka mostowego w tej części świata.

Ciężka sytuacja w Grecji i Turcji, które wreszcie korzystały zaczęły z pewnej pomocy, jest wynikiem polityki prowadzonej na Bałkanach w latach 1943 i 1944.

Nawet nad tą częścią Europy, której Sowiety nie zdążyły zajęć w swoim zwycięskim marszu, ciąży potencjalna groźba rosyjska, paraliżująca możliwości prowadzenia istotnie niezależnej polityki państw zachodnio-europejskich. Szwecja i Dania ulegają presji bezpośredniego sąsiedztwa, zaś we Francji i Włoszech nacisk odbywa się przy pomocy potężnych sił komunistycznych wewnątrz tych krajów. Szwecja na przykład zmuszona jest do zawierania układów handlowych, które uzależniają w znacznej mierze ekonomię szwedzką od Z.S.R.R. Mamy więc u Burnhama ocenę polityki amerykańskiej podaną «bez obstonek». Można by zarzucić, że książka pisana w pierwszej połowie 1946 r. jest — przynajmniej w tej części wywodów — nieaktualna. Jednakże Burnham — w rozmowie z autorem niniejszych uwag, w połowie stycznia rb. — podtrzymał wszystkie swoje poprzednie zarzuty. Stwierdził, że obsesja appeasementu nadal góruje w umysłowości aparatu kierowniczego i że dość krótki okres czasu, jaki jeszcze Ameryka posiada na wyzyskanie w pełni swojej obecnej przewagi wojennej — nie został jak dotąd celowo wyzyskany.

Analizę polityki rosyjskiej cechuje wnikliwość spojrzenia i równa bezwzględność w ocenie motywów i metod działania. Sąd jest jednak niejako «odwrócony». O ile w postępowaniu Ameryki Burnham widzi dyletantyzm, brak myśli przewodniej i wahania w wyborze metod, o tyle politykę sowiecką ocenia jako pełną konsekwencji na przestrzeni lat trzydziestu, udoskonalającą stale swe środki działania. Książka Burnhama, wydana w Ameryce i przede wszystkim dla Amerykanów, w ustępach o Rosji zawiera niewątpliwie wiele rzeczy znanych dobrze czytelnikowi polskiemu. Tłumaczy ona, od podstawowych założeń, czym jest ustrój sowiecki, człowiek w Sowietach ukształtowany przez trzydziestoletnie istnienie reżimu, partia komunistyczna w swojej istocie organizacyjnej i w swych zagranicznych afiliacjach, system terroru jako najistotniejszy instrument rządzenia, polityka Sowietów w czasie wojny i cel ostateczny wciąż nieodłączny od doktryny, sformułowanej

przez Lenina, a modyfikowany jedynie w długim okresie dyktatury stalinowskiej.

Z przekonującą plastyką Burnham wyklada czytelnikowi amerykańskiemu, że dzieje błędu, popełnianego przez zachodnio-europejskich mężów stanu od Lloyd George'a aż do Roosevelta i Byrnesa wobec Z.S.R.R. polegają przede wszystkim na złudzeniu, że Rosja jest państwem «jak każde inne», a partia komunistyczna taką samą organizacją jak na przykład w Ameryce partia republikańska czy demokratyczna. Dopiero gruntowne zrozumienie zagadnienia, że Rosja Sowiecka znajdzie kres swojej ekspansji dopiero wówczas gdy utworzony zostanie światowy Związek Sowiecki — pozwoli zachodnio-europejskim mężom stanu zrozumieć istotne znaczenie gwarancji i obietnic sowieckich.

Wyjaśniając rolę partii komunistycznych poza granicami Rosji Sowieckiej, zwłaszcza po «rozwiązaniu» Kominternu w 1943 r. — Burnham daje dokładny obraz metod przenikania wpływów komunistycznych do społeczeństwa amerykańskiego, posuniętych nierównie dalej niżby to można było sądzić z nielicznej cyfry członków partii komunistycznej Stanów Zjednoczonych i niewielkiej liczby uzyskiwanej przez nią głosów z okazji rozmaitych wyborów.

Przy całej konsekwencji zasadniczych linii rozwojowych polityki Z.S.R.R., taktykę jej cechuje doprowadzony do perfekcji przez Stalina elastyczny oportunizm, który zagranicą stwarza wrażenie nagłych i daleko idących zmian politycznych, wyzyskiwanych bezpośrednio lub pośrednio przez sowiecką propagandę zagranicą i stanowiących dodatkowo poważne źródło błędów ze strony ignoranckiej opinii zachodu i również niemal ignoranckich jej politycznych kierowników. Burnham rozróżnia w ciągu 30 lat reżimu co najmniej siedem faz polityki sowieckiej, których linia rozwojowa częstokroć odchyłała się gwałtownie od przyjętej linii zasadniczej, ale tylko na to, aby do niej w korzystniejszych warunkach polityczno-gospodarczych znowu — po jakimś czasie — powrócić. Dzieli Burnham okresy te na «prawicowe» i «lewicowe» w sposób następujący: 1) lewicowy — to komunizm wojenny (1918-1921), zastąpiony 2) prawicowym okresem Nep'u, który Burnham przedłuża do roku 1928 (?) (1921-1928); 3) okres pierwszej i całej niemal drugiej piątilatki, najkrótsze lata terroru kolektywizacyjnego autor określa jako «lewicowy» (1928-1936); 4) rzucenie zagranicą hasła frontów ludowych (1935-1937) — określa jako prawicowy; 5) piąty okres walki z «kapitałizmem liberalnym» i paktu z Hitlerem (1939-1941) zaliczony jest do lewicowych; 6) wreszcie wojna, a w szczególności era Teheranu (1943-1945) to era prawicowa; 7) zastąpiona przez agresywną politykę z Jaltą jako punktem wyjścia.

Można mieć pewne wątpliwości co do ścisłości określeń i rozgraniczeń chronologicznych tych okresów, które w pewnych

wypadkach «niejako» zachodzą na siebie.

Rozumie to zapewne sam Burnham stwierdzając, że linia rozwojowa jest raczej spiralna. Oscylując na prawo i lewo posuwa się ona jednak naprzód w zestawieniu ze swym punktem wyjścia. W każdym razie — dodaje autor — niezależnie od swojej «lewicowości» czy «prawicowości» każdy zwrot, wystawiający na próbę coraz bardziej mechaniczną dyscyplinę aparatu partyjnego, poprzedzany był falą terroru, stosowanego na niebywałą skalę, raczej wzmagającego się niż malejącego z upływem czasu. Ostatnią z tych fal zanotować można w roku 1946 tj. w momencie, kiedy książka była już na ukończeniu. Terror sowiecki jest jednocześnie represyjny i profilaktyczny, zmierzający do usunięcia potencjalnych czy domniemyanych przeciwników i wykazuje jak kierownicy Rosji Sowieckiej mało są pewni swego własnego społeczeństwa.

Obecny etap polityki sowieckiej Burnham ocenia jako zaawansowane stadium politycznego i gospodarczego unifikowania terytoriów okupowanych, stanowiących dla Sowietów dodatkową rezerwę przemysłu, zaopatrzenia i poważny rezerwar ludzki. Jest to również odwracanie uwagi od trudności wewnętrznych przez politykę prestiżu i mocnych gestów w polityce zewnętrznej.

Centralnym zagadnieniem tej polityki, w rozumieniu Kremla, jest problem niemiecki, co kierownicy polityki anglosaskiej zrozumieli dość późno i z czego dotąd nie wyciągnęli dostatecznych wniosków. Polityka sowiecka od 1918 roku nie zmieniła swego założenia sformułowanego w oświadczeniach Lenina, że technika niemiecka skoondynowana z rezerwuarem ludzkim Rosji i jej surowcami zapewnić musi światowy triumf komunizmu.

Pakt Stalin-Hitler z 1939 roku był tylko efektywnym etapem tej polityki, kontynuowanym obecnie przez Kreml — na razie w odniesieniu do wschodniej części Niemiec — z jak największą energią. Sowiety przy tym nie rezygnują z hasła Niemiec zjednoczonych.

Burnham w pełni docenia punkty newralgiczne siły sowieckiej. Powszechne obniżenie poziomu kulturalnego, konieczność stosowania strajnych form terroru, leżących w logice systemu, ucisk stosowany wobec narodów nierosyjskich, skomplikowana i wadliwa organizacja przemysłu, niedostateczność sieci komunikacyjnej — wszystko to wraz z potencjalnym niezadowoleniem rozmaitych grup społecznych a w szczególności kolektywizowanych chłopów, może być źródłem słabości kolosa sowieckiego.

Te «wąskie miejsca» polityki sowieckiej nie grają dopóki Rosja znajduje się w politycznej ofensywie.

Zachodzi tu skrajne przeciwieństwo z tym co autor wytykał poprzednio polityce amerykańskiej. Wobec silnej Ameryki słabsze Sowiety kompensują te dysproporcje jednolitą wola działanią politycznego, wykonywaną przez stojące na ogół na

niskim poziomie kulturalnym, ale posiadające długotrwałe przygotowanie doktrynalne i polityczne, kadry sowieckie. Zamiast improwizowanych nominacji i ciągłych zmian personalnych, Rosja kierowana jest od szeregu lat przez tych samych ludzi. Ruchy partyjne i fale terroru w małym tylko stopniu uderzają w wyższe sfery rządzącej biurokracji. Mołotow, który od osiemnastu lat współkieruje polityką państwa nieprzerwanie, jako premier lub minister spraw zagranicznych — lub pełniąc obie te funkcje jednocześnie — może być symbolem ciągłości i solidnego przygotowania kierowniczej elity Z.S.R.R. Mimo niższości technicznej Rosja może przeciwstawić w Europie ogromne, stale zmobilizowane siły zbrojne niewielkim siłom amerykańskim, wśród których do niedawna jeszcze panoszyła się agitacja «powrotu do rodzinnych siedzib».

Gdy konflikt Rosji Sowieckiej z resztą świata wygląda tak niepokojąco, równie czarno wygląda strona psychologiczna i moralna zagadnienia. Wobec dezorientacji, braku planowego działania i nieposiadania przez Stany Zjednoczone określonej koncepcji organizacji świata, «mit» partii komunistycznej nie stracił dotąd swej siły atrakcyjnej. Jest on — jak określa autor — «jeszcze dla pewnej części ludzkości starym od dwudziestu wieków mitem królestwa niebieskiego na ziemi». Jedni przyjmują go jako zapowiedź szczęśliwszej przyszłości, inni widzą jako deterministyczną, nieodwracalną konieczność przyszłej organizacji świata, walka z którą byłaby wysiłkiem, z góry skazanym na niepowodzenie.

Hermetyczne odcięcie Rosji Sowieckiej, zręczność i elastyczność jej propagandy pozwalają na utrzymywanie się tej wizji przyszłości.

Prawdopodobieństwo i szanse konfliktu wojennego stanowią najistotniejszą część rozważań Burnhama. Niepokój autora o wynik zbliżającego się konfliktu dotyczy w mniejszym stopniu strony czysto wojskowej zagadnienia. Świadomość zbliżającej się burzy czyni w Stanach ostatnio duże postępy. Przy dysproporcji wydatków wojskowych w budżecie Rosji Sowieckiej i Stanów — te ostatnie jednak coraz intensywniej przygotowują się wojskowo do przyszłej rozgrywki.

Za to przygotowanie polityczne wojny znajduje się nadal w stadiach zupełnie początkowych.

Burnham, jako analityk pur sang, jest o wiele mniej konkretny tam, gdzie nie chodzi o ustalenie stanu faktycznego, o wyciągnięcie wniosków na przyszłość. Jednakże z jego rozumowania wnosić można, że jako istotne etapy przygotowania politycznego uważa on: 1) prace nad unifikacją Europy, tj. tej części, która nie znalazła się jeszcze w sferze wpływów sowieckich, 2) organizowanie i konstruktywne wciąganie do polityki międzynarodowej krajów, biorących dotąd ograniczony udział w polityce światowej oraz 3) ograniczenie działania i stop-

niowa eliminacja dywersyjnych sił komunistycznych w łonie obozu zachodniego.

Wahania i paniczny wręcz strach przed samą nazwą bloku zachodniego Burnham uważa za jeszcze jeden z kardynalnych błędów mocarstw anglosaskich. To niezdecydowanie i nieliczenie się z elementem czasu może przynieść niezadługo poważne konsekwencje. Powoli krystalizująca się teza Europy Zjednoczonej czy Federacji Europejskiej jest zresztą zupełnym przewróttem w polityce prowadzonej przez Anglię od przeszło trzech wieków, a przez Stany Zjednoczone od dwóch generacji. Elementy polityki międzynarodowej zmieniły się jednak zasadniczo w ciągu ostatnich lat trzydziestu i obecnie nie należy się cofać przed polityką, kojarzącą pomoc z naciskiem aby unifikacja ta nastąpiła możliwie szybko.

Olbryzi rezerwuar ludzki Azji — Chiny, Indie i Japonia — grać może ważną rolę w przyszłym konflikcie. Sytuacja w Japonii budzi najmniej wątpliwości gdyż i tam polityka, kojarząca ustępstwa na rzecz tego podbitego kraju, z umiejętnym naciskiem może stworzyć z Japonii wysuniętą naprzód bazę na wschód od Eurazji i włączyć naród japoński do systemu politycznego «niesowieckiego».

Podobna musi być polityka w Chinach. Pomoc udzielona temu krajowi dla zakończenia jego organizacji politycznej i przemysłowej jest jednym z najpilniejszych zadań polityki amerykańskiej.

Wreszcie Indie, kraj bardziej od Chin zacofany, nie mogą być odłożone dla posuwania się naprzód komunizmu. Nie są one zdolne — przynajmniej przez czas dłuższy — do obrony swej własnej niepodległości. I tu więc pomoc jest niezbędna.

Kwestionuje się nieraz, dodaje Burnham, że przez politykę tę państwa anglosaskie mogą sobie stworzyć potężnych rywali, którzy pewnego dnia zagrożą istnieniu swych własnych opiekunów. «Jeśli w przyszłości Chiny lub Indie miały podbić świat, to nie dlatego, że przyjąwszy materialną cywilizację zachodnią, zwrócą się przeciw Zachodowi, aby go zniszczyć. Gdyby to miało się stać to tylko dlatego, że cywilizacja zachodnia załamałaby się wewnątrz».

Wreszcie ostatnim zagadnieniem istotnym przygotowania politycznego do przyszłego konfliktu byłaby eliminacja partii komunistycznej z życia politycznego państw «bloku niesowieckiego». Nie można tolerować grupy, która nie uznaje przyjętych powszechnie reguł gry. Dotyczy to zarówno sportu jak i polityki. Jeśli prawo zakazuje i sankcjonuje obronę przed organizacjami masowych morderstw, czy wobec gwałcicieli i podpalaczy, to zakazy te tak samo nie są antydemokratyczne, jak polityka krępowania działań mniejszości politycznych zawsze gotowych do posługiwania się tego rodzaju metodami.

Te pierwsze stadia organizacji świata niekomunistycznego poprzedzać muszą próbę wytworzenia państwa światowego.

Wynalazek niszczyielski energii atomowej stwarza poważną przesłankę techniczną dla zbliżenia się do tego celu, którego osiągnięcie od dawna było przedmiotem dyskusji polityków i filozofów.

Państwo światowe może być rezultatem trzeciej wojny światowej; trudno jest liczyć się z prawdopodobieństwem jego organizacji przedtem i ludzić się, że proces taki mógłby dokonać się bez przymusu i głębokich wstrząsów na świecie.

Z konieczności przyszłe państwo światowe organizowane musiałoby być przy przewadze i pod kierownictwem jednego potężnego nadpaństwa, którym, jak to z dotychczasowych wywodów widać, mogłyby być tylko Stany Zjednoczone, albo Rosja Sowiecka.

Praca Burnhama ledwie szkicuje kontury obu rozwiązań. Cechy przyszłej federacji byłyby całkowicie odmienne w zależności od zwycięstwa jednej z tych dwóch koncepcji.

Federacja sowiecka to maksymalny triumf centralizmu i dominacji jednego narodu nad pozostałą resztą świata.

Związek, którego kierownictwo spoczywałoby w rękach Stanów Zjednoczonych byłby próbą nieskończenie demokratycznej organizacji współżycia narodów.

Tylko okoliczności historyczne wyjątkowej natury popchną mogłyby Stany Zjednoczone do pokuszenia się o objęcie kierownictwa nad federacją światową. «Nigdy» — pisze Burnham — «żadna grupa ludzka popychana przez siły, nad którymi nie może zapanować, nie podjęła drogi do władztwa nad światem z mniejszym pragnieniem władzy, oglądając się na spokojną przeszłość, spojrzaniem pełnymi nostalgii».

Amerykianie, zwolennicy rozwiązań praktycznych, mają głęboką niechęć do wszelkich konstrukcji ideologicznych, co immunizuje ich w dużym stopniu przeciwko wszelkim totalitaryzom.

Nie leży i zapewne nie będzie leżeć w ich celach narzucenie innym narodom form, ściśle odpowiadających ich ustrojowi i ich sposobom rządzenia. Amerykanie nie zdają sobie dotąd sprawy z możliwości jakie stawia przed nimi wykorzystanie ich przewagi fizycznej; nie posiadają wreszcie w przeciwieństwie do Rosji Sowieckiej przygotowanych kadr, specjalistów dla rządzenia czy kontrolowania innych narodów.

Ten przeciwny charakter obu imperializmów wkłada w ręce polityków amerykańskich potężną broń polityczną i propagandową. Jednakże inicjatywa i szybkość działania ze strony komunistów mogą zneutralizować silniejszą w istocie rzeczycę pozycję amerykańską. Broni ona choćby relatywnie pojętej wolności narodów i praw jednostki.

Jeżeli polityka wahań ze strony Stanów Zjednoczonych będzie kontynuowana — nawet gdyby broń atomowa była nadal jeszcze monopolem amerykańskim, wynik starcia może przekształcić się w klęskę Zachodu. Pierwszy okres wojny byłby

oczywiście dla Ameryki zwycięski. Jednakże przemysł sowiecki jest mniej skoncentrowany, posiada mniej punktów newralgicznych niż amerykański. Mimo centralistycznej administracji, cały organizm Z.S.R.R. doznałby mniejszego wstrząsu przy zniszczeniu niektórych głównych ośrodków przemysłowych niż w analogicznym wypadku Ameryka. Komuniści posiadaliby potężne możliwości uruchomienia swoich rozplanowanych «piątych kolumn» w krajach Europy, wyzyskania ksenofobii i sprzyjających im ruchów w Chinach, Indiach, czy nawet w Ameryce Łacińskiej. Przekształcenie wojny politycznej na wojnę ludową, mogłoby po pierwszych sukcesach amerykańskich przerodzić trzecią wojnę światową na upowszechnioną gerillę, z trudnym do przewidzenia rezultatem.

Sprawa wyglądałaby nierównie tragiczniej, gdyby moment wybuchu wojny odwiekł się tak dalece, że Rosja rozporządzałaby i ze swej strony także bronią atomową. Zdaniem Burnhama sparalizowanie punktów newralgicznych Stanów Zjednoczonych i Anglii mogłoby być dokonane nierównie szybciej i gruntowniej. Możliwość klęski mocarstw anglosaskich, a wraz z nimi i całego świata zachodniego, stanęłaby przed ludzkością w całej swojej grozie. W rozumowaniu swoim autor przewiduje jeszcze jedną możliwość: klęskę i wyniszczenie obu mocarstw kierujących w konflikcie. Rezultat znany w historii, jak w czasie wojny peloponeskiej, gdy potęga Sparty tak samo uległa zniszczeniu jak i zwycięskich Aten; olbrzymia siła niszcząca broni współczesnej rezultat ten czynić może jeszcze bardziej prawdopodobnym.

Będzie to takim samym zniszczeniem cywilizacji zachodniej jak i wygrana wojenna kierowanego przez Rosję Sowiecką bloku Eurazyjskiego.

Czy w wypadku zniszczenia obu potęg, obecnie kierujących światem, doprowadzi to do zapelnienia vacuum przez pozostałe dotąd na peryferii polityki międzynarodowej Chiny, Indie lub kraje Islamu — to przekracza już obecne możliwości przewidywania.

Burnham kończy: «Stany Zjednoczone zostały zawezwane na scenę zanim mogły skończyć próbę generalną powierzonych im roli. Ich siły i ich możliwości nie mogły dojrzeć przez mądrość doświadczeń i próbę cierpienia. Mają przed sobą do wyboru albo powierzone im przez los panowanie nad światem, albo zapadnięcie się w nicłość. Jeśli zdolni jesteśmy przewidywać klęskę, to ze względu na zrozumienie wielkości, jaką dalałoby nam zwycięstwo».

Książka Burnhama jest w publicystyce obecnej pozycją wyjątkową. Próba systematycznego ujęcia wszystkich elementów dojrzewającego konfliktu, analiza procesów politycznych, gospodarczych, społecznych i psychologicznych, które wpłynąć mogą na jego wybuch i jego wyniki nie ma, jak dotąd, w publicystyce światowej lat ostatnich żadnej poważniejszej konkurencji.

Rozmowa, jaką miałem w styczniu 1948 z autorem tej książki, dała mi sposobność stwierdzenia, że jego pesymizm, jego krytyka niedojrzałości, niekonsekwencji, wahań i minimalnej zdolności przewidywania, a wreszcie braku odwagi wobec faktów i wobec własnej opinii publicznej kierowników polityki amerykańskiej, nie straciła na ogół nic ze swojej ostrości.

Niektóre ustępy w książce Burnhama nasuwają poważne wątpliwości, w wielu ustępach można by konstatować nieścisłości lub poważne ominięcia.

Analiza ustroju sowieckiego, na przykład, zbyt mało związana jest z gruntem rosyjskim, na którym on wyrósł, z koniecznościami historycznymi, wpływającymi na jego charakter i linie rozwojowe, tym silniej im dłużej eksperyment ograniczony był do terenu byłego imperium rosyjskiego.

Może niezbyt plastycznie wypadło w ocenie Burnhama zjawisko tej nowej religii sowieckiej jaką jest współczesny komunizm z jego fanatyzmem i dynamiką, tak obcą i niezrozumiałą dla Zachodu.

Niemal całkowicie pominięte zostało w ustępach dotyczących Rosji doniosłe znaczenie zagadnienia narodowościowego w dziejach państwa sowieckiego na przestrzeni lat 30.

Książka Burnhama świetna w swej części analitycznej, pozostawia czytelnikowi wrażenie pewnej trudności uporania się autora z wyciągnięciem wniosków politycznych, z próbą nadszkicowania programu pozytywnego na tle zanarchizowanego i pozbawionego wiary w siebie świata zachodniego.

Nie może to umniejszyć jednak jej wartości dydaktycznej. Rozumowanie autora, które na przestrzeni trzystu niespełna stron daje nam tak plastyczny obraz świata współczesnego, potrafi w każdym niemal wypadku uchwycić element istotny, niejako klucz rozpatrywanego zagadnienia, uszeregować przyczynowość zjawisk, ich wewnętrzną logikę rozwoju.

Nawała faktów, dzieje wojenne, przewroty polityczne, zmiany rządów, rewolucje ustrojowe czy społeczne, nie zasłaniają mu widzenia głównych linii rozwojowych.

Rozumuje on epokami i kontynentami, nie przeładowuje książki gromadzeniem i analizowaniem faktów oderwanych.

Chłodny obiektywizm w ocenie zjawisk, o których pisze, pozwala mu być nie tylko wnikliwym analitykiem Rosji, którą ocenia jako groźbę dla cywilizacji, ale której dynamizm i umiejętność działania politycznego bierze w całej pełni pod uwagę. Jako Amerykanin, definiując Stany Zjednoczone jako «pół-barbarzyńskie nadpaństwo rzucone na peryferie świata» jest równie bezlitosny dla polityki własnego kraju, jak i w spojrzeniu na własne społeczeństwo.

Daje tu jednocześnie Burnham probierz niezależności i odwagi swoich poglądów. W Ameryce w początku 1946 r. konstatuje, co jeszcze wyglądało tam wówczas na herezję, iż totalizm sowiecki podpada nie tylko pod tę samą kategorię ustrojową

co Trzecia Rzesza, ale nierównie bezpośrednio zagraża światu w skali globalnej niż nacjonal-socjalizm u szczytu swoich powodzeń wojenno-politycznych.

Jeśli jednak wnioski w studium «O władzę nad światem» nie są dostatecznie skonkretyzowane (do wniosków tych powróci Burnham w następnej swojej pracy, o czym wspominał mi w naszej rozmowie) to w swej części analitycznej książka spełnia swoją rolę znakomicie.

GAMMA.

Twórczość literacka w kraju

W obszernym szkicu pod podobnym tytułem («Rzut oka na literaturę polską 1945 roku») zarejestrował i omówił K. W. Zawodziński plon literacki pierwszego roku powojennego, podsumowując go następującym wyznaniem wiary:

«Literatura polska nie zapatruje się, jak to nawet z żalem mogliśmy w ciągu naszych uwag stwierdzić, na żadną literaturę obcą; przerzucając most ponad latami wojny, kontynuuje ona swój własny rozwój, który — si fata sinant — poziomem swoim i bujnością dorówna rozkwitowi w dwudziestolecu niepodległości. Przegląd spraw literackich pozwala patrzeć w przyszłość oczyma pełnymi nadziei nawet surowemu sędziemu poszczególnych tendencji czy wyrażających je utworów.»

Autor niniejszego, czysto informacyjnego przeglądu, nie może się mierzyć z Zawodzińskim z wielu względów: nie posiada równie jak on wyrobionego i doświadczonego sądu o polskiej twórczości literackiej w latach 1918-1939, śledzi współczesną literaturę polską w sposób bardzo dorywczy i uzależniony całkowicie od zagranicznych przedstawicielstw «Czytelnika», nie przeżył sześciu lat okupacji, które na kształtowanie się tej literatury, na jej charakter i kierunek rozwojowy miały na pewno wpływ decydujący, nie podziela wreszcie optymistycznej wiary w jej bujny i piękny rozkwit.

Szkic niniejszy będzie więc w sensie znacznie bardziej dosłownym «rzutem oka», czyli czynnością krytyczną, dokonaną z oddalenia emigracji, mało wrażliwą na przesadnie ożywiony nurt polemik literackich w kraju i zupełnie niewrażliwą na kulis polityczne, jakie należałoby właściwie poznać, aby zrozumieć zawrotne kariery literackie niektórych współczesnych pisarzy krajowych. Pominie z konieczności twórczość dramatyczną, prześlizgnie się po samym naskórku produkcji poetyckiej, zatrzyma się dłużej na zagadnieniu powieści i sporu o realizm, podsumuje wreszcie bilans uwagami na temat krytyki literackiej.



Wybuch wojny zastał poezję polską w stanie niedokończonej fermentacji. Coraz wyraźniejszy zmierzch Skamandra zmuszał ruch awangardowy do przejścia od teoretycznej poetyki do ży-

wej poezji. Pierwsze próby poetyckie wczesnej Awangardy wykazały, że intelektualny bunt bez twórczego rozmachu jest czymś w rodzaju rewolucji, która programowym obrazoburstwem chce zastąpić trud kształtowania życia. W cieniu Peipera, z jego nauk, inspiracji i własnej twórczości, powstała «nowa» rzekomo poezja, która pod płaszczykiem kultu metafory realizowała ekspresjonistyczną drapieżność wiersza i barokową zawilóść stylu. Z tej «pierwszej awangardy» dochował się do naszych czasów tylko Przyboś, poeta na szczęście niepowtarzalny dla innych, a na nieszczęście powtarzalny dla samego siebie. Czytając tom wierszy zebranych Przybosia «Miejsce na ziemi» można dojrzeć całą przepaść jaka dzieli przepiękne jego wiersze z okresu «Równania serca» i dorobek poetycki z czasów wojny. Uwięziony w trudnej problematyce własnego warsztatu, Przyboś był w latach wojny królikiem doświadczalnym odkrytej przez siebie alchemii poetyckiej. Podczas gdy taki Aragon na przykład stał się dzięki wojnie poetą bardziej ludzkim i francuskim, Przyboś domknął tylko szczelnie obręcz swojego solipsyzmu. Przedmioty wyłonione przez ruch, urealnione dzięki dynamicznemu spojrzeniu poety tworzą ten sam świat rekwizytów, dając doń tylko inny klucz i inne zakłęcie poetyckie. Dziś trudno Przybosia czytać inaczej niż jako nudnego i akademickiego klasyka własnej, buntowniczej przeszłości artystycznej.

«Druga awangarda» wkroczyła w okres wewnętrznego kryzysu już przed wojną. Śmierć obu redaktorów «Pióra» (Czechowicza i Frydego) sprawiła, że dzisiaj jest o niej w Polsce bardziej głucho niż w latach «Sturm- und Drang Periode». Pisują wprawdzie wiersze Zagórski i Pięta, piękny ponoć dramat o Orfeuszu wystawiła Świrszczyńska, ale jako indywidualność poetycka, jako artysta którego rozwój wojenny wybiegł daleko poza problematykę jakichkolwiek szkół artystycznych dotrwał tylko Czesław Miłosz.

Tom wierszy Miłosza p. n. «Ocalenie» daje doskonałą okazję do spojrzenia na jego osiągnięcia i możliwości poetyckie. Pisząc o autorze «Trzech zim» w roku 1939 (w «Pionie»), zastanawiałem się czy poezja jego nie jest — podobnie jak twórczość Rimbauda — skazana na wizjonerski i katastroficzny spazm młodego profety, który dojrzawszy w błyskawicowym skrócie całą groźbę swoich czasów, wykrzykuje w uniesieniu i rozpacz: sztuka mi nie wystarcza! Nowe wiersze Miłosza świadczą o czymś zupełnie przeciwnym. Dziś dopiero okazuje się, że Miłosz pisał wiersze wojenne przed wojną, a wiersze przedwojenne w czasie wojny. Cały jego katastrofizm, który na kształt stłumionego grzmienia zwiastował niegdyś nadciągającą burzę, oczyścił się teraz w klasycznie pięknym, wzbogaconym o miłość do ziemi i ludzi, pokornym wreszcie powrocie do sztuki. Miłosz nie ucieka od naszych czasów, ale wraca do sztuki, wierząc w jej «wybawczy cel». W twórczości Miłosza, w twórczości

zaprawionej u źródeł samych gorzkim smakiem niepokoju katastroficznego, jest to naprawdę ocalenie przed wewnętrznym zwichnięciem, lub wiecznym szlochom narodowym:

Czyż na to jestem stworzony
by zostać płaczką żalobną?
Ja chcę opiewać festyny,
radosne gaje, do których
wprowadził mnie Szekspir. Zostawcie
poetom chwilę radości,
bo zginie wasz świat.

Zarysowany pięknie w «Ocaleniu» profil poetycki Miłozza przemawia do nas wyrazistością i spokojną głębią klasycyzującego humanizmu, w którym przecucie klęski, klęska sama i mądrość w klęsce «pogodzone zostały na zawsze spojrzeniem artysty».

Warto tu odnotować bardzo ciekawe zjawisko literackie. W okresie swych narodzin awangarda poetycka stanowiła hunt przeciwko irracjonalnemu witalizmowi Skamandra i sprzymierzyła się w sposób naturalny z tendencjami radykalizmu społecznego. Mówiąc jednak o Skamandrze nie można pamiętać tylko o «Wróblach na dachu», «Wiośnie i winie» i «Sokratesie tańczącym». Młodzieńcze i radosne upojenie się niepodległością zaczęło zwolna ustępować miejsca «chmurze na czole», poezji «wolności tragicznej», wierszem o państwie, nateżonej do bólu liryce klasycznego koturna. Ujednoczenie się skłóconego frontu Awangardy było reakcją na zwrot do klasycyzmu wśród poetów Skamandra. W ten sposób pogłębił się jeszcze bardziej związek Awangardy z opozycją na lewicy. Z Tuwima śmiano się po cichu jako ze «Stańczyka sanacji», upatrując w jego nadwornych wierszach o państwie bolesny grymas poety, który wśród zabaw i uczt pułkownikowskich zapowiada koniec Rzeczypospolitej urzędniczej. Wierzyńskiego zamianowano «poetą uczuć oficjalnych».

Zdawać by się więc mogło, że w zmienionych warunkach politycznych Awangarda święcić będzie swój wielki dzień. Stało się tak istotnie, ale tylko na samej powierzchni zjawisk. Przybóś jako «poeta laureatus» robi wrażenie zmartwychwstałego «za grobem zwycięzcy» i po paru nieudanych próbach zmontowania szkoły poetyckiej pojechał w misji dyplomatycznej do Szwajcarii. Narybek z dawnych lat przedwojennych opierzył się w roli... publicystów politycznych.

Tak więc «rewolucja w majestacie prawa» otarła się tylko o naskórek polskiego życia literackiego, nie wywołała żadnego wstrząsu duchowego, nie wydała swojego Majakowskiego. Najciekawszym i najpiękniejszym poetą «nowej rzeczywistości» jest Mieczysław Jastrun, którego «Rzecz ludzka» zachwyca głęboko odczutymi akcentami ludzkimi i artystycznymi. A Jastrun to przecież poeta klasyczny, wychowany i rozmiłowany w Ril-

kem i George'u! Klasycyzm jest dziś w Polsce awangardowej najbardziej twórczym kierunkiem poetyckim.

Poezja nie należy zresztą do najbardziej ożywionych dziedzin twórczości literackiej w kraju. Tomiki wierszy, zwłaszcza debiutantów, ukazują się rzadko, a parę książek poetyckich przysłanych na emigrację nosi na sobie w większym lub mniejszym stopniu stempel «utworów zebranych», w których dorobek sprzed wojny zajmuje miejsce bardzo znaczne, jeśli nie naczelne. Oprócz wymienionych ukazały się jeszcze tomy Iwaskiewicza, Gałczyńskiego i Ważyka. Nowe wiersze ogłasza niekiedy w czasopiśmie Leopold Staff. Rzadko odzywa się jako poeta Tuwim, pochłonięty zbieraniem owoców z minionych lat słodkiego urodzaju; milczy niepokojąco Broniewski. Z poetów średniego pokolenia literackiego przypomniat o swoim istnieniu Roman Kołoniecki, którego «Elegie zielonoświąteczne» są wielką i radosną niespodzianką dla wszystkich miłośników dobrej poezji. Z młodych trzeba wymienić Aleksandra Rymkiewicza i Tadeusza Różewicza. Sądząc z fragmentów ogłoszonych w prasie krajowej straciliśmy wielki talent poetycki w osobie zabitego w Powstaniu Krzysztofa Baczyńskiego.



Uwagi o powieści wypada rozpocząć od tzw. «sporu o realizm». Nie łatwo zorientować się o co w tym sporze chodzi, ponieważ polemiki literackie w kraju robią chwilami wrażenie zawitych tekstów kabalistycznych. Z grubsza jednak chodzi o to, żeby pisarze zwrócili się twarzą do rzeczywistości i dotknęli stopą ziemi. Oczywiście pisarze robili to zawsze bez poszturczenia krytyków, robili to nawet wówczas gdy tworzyli powieści fantastyczne. W tym sensie realizm jest bardzo stary, a tylko rozpolitykowanie krytyków czyni zeń od czasu do czasu zjawisko «nowe», nieledwie wczoraj odkryte. Natomiast formy realizmu bywają różne i gdy ktoś woła o «nowy realizm» chce przez to powiedzieć, że oczekuje od literatury spełnienia pewnego doraźnego zamówienia społecznego lub państwowego. «Walka o nowy realizm», którą prowadził przed wojną Leon Pomirowski miała na celu zmniejszenie przepaści jaka powstała pomiędzy literaturą i życiem polskim, ujętym w karby reżymu sanacyjnego. Zmartwychwstanie «pomirowsczyzny» dzisiaj i to zmartwychwstanie jej aż w tylu krytykach i ideologach kulturalnych naraz, oznacza, że ta przepaść pogłębiła się w sposób bardzo groźny. Ilekroć więc czytam o «nowym realizmie» dowiaduję się więcej o rzeczywistości, która go się domaga, niż o literaturze od której jest wymagany.

Nie wolno naturalnie zapominać, że prawdziwie dobre powieści o teraźniejszości ukazują się zazwyczaj w okresie, gdy zaczyna się ona już pokrywać patyną przeszłości. Ale brak jakichkolwiek wogóle oznak zainteresowania życiem powojennym w twórczości współczesnych pisarzy krajowych świadczy

o czymś więcej: o tym mianowicie, że i na teren powieści nie dotarł oczekiwany wstrząs nowego objawienia¹⁾. Drukowana w «Odrodzeniu» powieść Jerzego Andrzejewskiego «Zaraz po wojnie» nie ukazała się jeszcze w wydaniu książkowym; na podstawie lektury paru odcinków można jednak powiedzieć o niej już z pewnością, że będzie prawdopodobnie równie naciągnięta i bałamutna jak dyskusja o «nowym realizmie».

Znakomita większość utworów powojennej prozy polskiej powstała, rzecz prosta, pod bezpośrednim wpływem wojny. Trudno mówić o wartości literackiej książek, w których autentyczny i surowy materiał faktów wystarczy, aby wstrząsnąć sumieniem czytelnika. Cała ta literatura martyrologiczna pozostanie na zawsze w naszej pamięci jako bezcenny dokument czasów pogardy i głęboko ludzki głos o niehumanitarnej okupacji. Z nowych nazwisk spotykamy tu Sewerynę Szmaglewską, autorkę «Dymów nad Birkenau»; opisowi bestialstw niemieckich poświęcone są również książki Nałkowskiej («Medaliony»), Zofii Kossak («Z otchłani») i Gojawiczyńskiej («Krata»). We wszystkich tych trzech wypadkach mamy do czynienia z wielkim kunsztem pisarskim, oddanym w niezmięnionej przez lata wojny formie na usługi prawdy o okrucieństwach obozów i więzień niemieckich. Wyjątek pod tym względem stanowi jedynie książka Zofii Kossak, w której nieznośne moralizatorstwo kruchty kościelnej osłabia wrażenie mistrzowskiej relacji pisarskiej.

Osiągnięciem na najwyższym poziomie literackim jest w tej dziedzinie opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego «Apel». Ukazało się ono w tomie nowel pod ogólnym tytułem «Noc», obok wielkiego i zupełnie nieprzekonywującego opowiadania o zadrażnieniach polsko-żydowskich pod okupacją niemiecką («Wielki Tydzień»). Eksterminację Żydów ukazują między innymi utwory Kornela Filipowicza, Ludwika Heringa, Adolfa Rudnickiego. Ten ostatni stanowi piękny przykład pogłębienia indywidualności pisarskiej w czasie wojny. Rudnicki stał się jak gdyby bardziej Żydem, jednocześnie w swych przejmujących i smutnych opowieściach przywiązanie do polskości z biblijnym niemal tragizmem narodu wybranego.

Czysty żywioł wojny występuje w tomach nowel Piętaka («Front nad Wisłą»), Putramenta («Święta kulo») i Żukrowskiego («Z kraju milczenia»). Szersza wzmianka w tej klasie utworów należy się tylko Żukrowskiemu, największemu z nowoodkrytych talentów współczesnej literatury polskiej. Rzadko spotyka się pisarzy o tak wspaniałym wyczuciu piękna bitwy przy jednoczesnym, do głębi pacyfistycznym rozczarowaniu wojną. Żukrowski jest talentem naturalnym, spontanicznym

¹⁾ Dał to do zrozumienia Jan Kott pomiędzy wierszami głośnego artykułu o powieści współczesnej («Odrodzenie»).

i spośród młodych prozaików współczesnych zapowiada może najwięcej na przyszłość.

«Pozytywny stosunek do nowej rzeczywistości» nie znalazł jak dotąd wyrazu w książce, odślanającej «oblicze dnia» Polski powojennej. Tym gorliwiej wydawcy i pisarze reżymowi zabiegają o wzmocnienie uczuć pozytywnych wobec teraźniejszości budzeniem uczuć negatywnych wobec przeszłości. Pamflet na Polskę przedwrześniową jest dziś równie modny jak za czasów... Kadena. Palmę pierwszeństwa trzeba tu przyznać — w zupełnej zresztą zgodzie z Jury dorocznej nagrody «Odrodzenia» — «Murom Jerycha» Brezy. Ostatnio przybyła nowa pozycja w postaci «Rzeczywistości» Putramenta. Nie lada sensacją będą prawdopodobnie «Węzły życia» Nałkowskiej, jeśli się zważy, że ich autorka posiada jak mało który z pisarzy polskich gruntowną znajomość salonowego i zakulisowego życia sanacji, a nawet zjadła niejedną owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego w okresie gdy raj polski był jeszcze administrowany przez Sławoja-Składkowskiego.

Osobną i najbardziej może interesującą kategorię książek tworzą powieści młodych pisarzy, którzy rozpoczęli swą twórczość od rozprawienia się z własnym pokoleniem i z systemem wychowawczym międzywojennego mieszczaństwa. Ukazują one ludzi nie umiejących sprostać próbie wojny, prawdziwe «pijane dzieci we mgle». Mam na myśli «Drewnianego konia» Brandyśa i «Jezioro Bodeńskie» Dygata. Wnikliwość obserwacji, czarująca przekora życiowa i dowcipna, poetycka autentyczność narracji obu tych książek zdają się raz jeszcze potwierdzać regułę, że młody pisarz osiąga maksimum swobody twórczej, gdy pisze o sobie i o zjawiskach wśród których wzrastał. Mutatis mutandis należałoby tu również wymienić — niestety jednak bez pochwał — nieudane «Sprzysiężenie» Stefana Kisielewskiego.

Powieść psychologiczną reprezentuje śmiertelnie nudna i polarnie długa «Noc Huberta» Jerzego Zawieyskiego. Rewizjonistyczną powieścią historyczną jest «Próba ognia» Tadeusza Hołuj, obrazująca dzieje słynnego pułku czwartaków z Powstania Listopadowego. W tym gatunku trudno jednak napisać coś dobrego po «Kordianie i chamie» Kruczkowskiego.

Zupełnie osobną pozycję zajmuje we współczesnej literaturze polskiej Jarosław Iwaszkiewicz. Jako jeden z nielicznych przedstawicieli starszego pokolenia literackiego, owocuje on jeszcze ciągle i wzbogaca skalę swych możliwości twórczych. Można mówić o zaokrągleniu i domknięciu jego rozwoju pisarskiego w «Nowej miłości», ale już dwa opowiadania zawarte w tomie pt. «Stara cegielnia» ukazują zupełnie nieoczekiwane perspektywy w twórczości tego znakomitego i wielostronnego pisarza. Iwaszkiewicz dopuścił nareszcie w obręb swojego warsztatu i zainteresowań, ludzi, wznosząc się w tych dwóch arcydziełkach współczesnej nowelistyki polskiej na szczyty wiedzy o ludzkich

sprawach, rozgrywających się na skromnym marginesie narzmiętego od wielkich zdarzeń świata.

Osobno też, ale z innych względów, pragnę powiedzieć parę słów o dorobku powieściopisarzkim Jana Dobraczyńskiego. Pozostanie dla mnie wieczną zagadką czemu ten króliczo płodny pisarz zawdzięcza tak wyjątkowe miejsce na dzisiejszym Olimpie literackim w kraju. Chyba bowiem nie swoim książkom?... Ogromne studium krytyczne w «Twórczości» nie daje w żadnej mierze odpowiedzi na to pytanie. Już raczej artykuł Ksawerego Pruszyńskiego w «Odrodzeniu» mógłby nasuwać myśl, że Dobraczyński jako pisarz nie jest wprawdzie geniuszem, ale przedstawia w obecnej sytuacji pewien interes polityczny. Otóż polityka polityką, a Dobraczyński Dobraczyńskim. Z tysiącstronicowej książki pt. «Najeźdźcy» wynika tylko tyle, że Dobraczyński chce zostać milionerem powieści, tak jak bywali przed wojną milionerzy powietrza. «W rozwalonym domu» uznać można w najlepszym wypadku za epigoństwo Rodziewiczówny, jeśli się naturalnie przyjmie uprzednio, że amazonka z Czaharów i Dewajtisa błysnęła w swej twórczości pazurem męskim...

Milczy prawie zupełnie największa współczesna pisarka polska, Maria Dąbrowska. Sądząc jednak po paru pięknych drobniach ogłoszonych w prasie, nie osłabienie możliwości twórczych jest głównym powodem tego milczenia. Dąbrowska pisze podobno większą rzecz, która wymaga paru lat pracy.

Z najmłodszych trzeba wymienić koniecznie wschodzącą gwiazdę prozy polskiej, drapieżnego nowelistę i doskonałego obserwatora, Tadeusza Borowskiego. Obserwacja twórczości powieściowej w kraju doprowadza do następujących wniosków: pierwsze lata powojenne wyczyściły do dna szuflady pisarzy, którzy przeżycia okupacji zużytkowali jako materiał literacki. W obecnej chwili zapanował w dziedzinie prozy powieściowej niepokojący impas. Problematyka życia powojennego w kraju nie nastrocza żadnych tematów, jest widać zbyt uboga i zbyt drażliwa. Pamfletom na Polskę przedwrześniową wróżyć należy jak najgorszą passę w związku z coraz wyraźniejszym obnażeniem się faszystowskiego szkieletu «młodej demokracji ludowej». Zapowiadana w prasie książka Nałkowskiej czytana już będzie prawdopodobnie jak obraz z odwróconej lornetki. «Rzeczywistość» Putramenta stanie się niezadługo hymnem pochwalnym na cześć przedwojennej policji polskiej. Pisarzom pozostanie nowy — tym razem naprawdę nowy — realizm, polegający na odwróceniu się od rzeczywistości.

Wojna poczyniła najgłębsze wyrwy wśród krytyków literackich. Nie żyją Irzykowski, Napierski, Piwiński, Pomirowski, Blüth, Breiter, Fryde, Fik — że wymienię tylko tych, których nazwiska podsuwa mi pamięć. Zagranicą przebywają Stem-

powski, Weintraub i Terlecki. Wielu młodych przerzuciło się na publicystykę polityczną, albo wręcz na sejmowe politykierstwo. Wszystko to sprawiło, że w Polsce, która miała zawsze słabą krytykę literacką, piszą dziś o literaturze prawie wszyscy, czyli w praktyce prawie nikt. Pisma cierpią na chroniczny brak dobrych recenzentów. Pod artykułami o literaturze spotyka się albo ciągle te same nazwiska, albo nazwiska ludzi którzy wątpliwą naukowością zapełniają braki inteligencji krytycznej. Nierzadko pisarze świadczą sobie w braku krytyków wzajemne grzeczności zawodowo-towarzystwie. Jeśli się do tego doda, że w tygodnikach literackich panuje dziki zupełnie terror specjalistów od metodologii, skrótów eschatologicznych, poetyki normatywnej i prakseologii — obraz będzie pełny i niezbyt optymistyczny.

Nie można wskrzesić umarłych, ale można pokusić się o zrozumienie na czym polegają błędy żywych. Widzę właściwie tylko jeden, choć ma on cały szereg rozgałęzień. Inwazja świeżo upieczonych marksistów i seminaryjnych dębaczów polonistycznych na łamy prasy literackiej dała w niej prawo obywatelstwa monstrualnemu żargonowi, o którym świetny krytyk angielski Pritchett pisze co następuje: «Umysł środkowo-europejski wydaje się być szczególnie podatnym gruntem dla martwych formułek technicznych, które nie są ani ścisłe ani nie sprawiają nikomu przyjemności. Upodobanie do żargonu oznacza brak instynktu i zdrowego rozsądku i znamionuje natury głuche i arbitralne».

Celuje w tym szczególnie Stefan Żółkiewski, a wszystko co robia za jego przykładem inni jest już tylko nędzną imitacją wspaniałych porykiwań tego Iwa niezrozumiałstwa. Taki np. Ryszard Matuszewski z «Kuźnicy», pisząc o jednej z książek Zawieyskiego, odkrywa z zabawną i namaszczoneą powagą uczonego, że «śmierć nie determinuje życia, śmierć je tylko przerywa». Skłonność do łatwych i uproszczonych syntez marksistowskich zadławiła inteligencję krytyczną tak żywą i oryginalną, jaką jest niewątpliwie Jan Kott. Jego «Mitologię i realizm» trzeba czytać tak, aby móc się swobodnie rozkoszować Kottem-maskatorem i nie dostrzegać zupełnie Kotta-ideologa. Prawdziwie żywą i interesującą krytykę marksistowską reprezentuje jedynie bezkonkurencyjny Andrzej Stawar.

Trąd żargonu nie oszczędził również krytyków niewiele z marksizmem mających wspólnego. Można nieomal mówić o jakiejś szlachetnej rywalizacji, której celem jest zamącenie obrazu dzieła literackiego i spowicie go dymną zasłoną terminów, tajemniczych formułek i wielopiętrowych określników przymiotnikowych. W wypadku krytyków z wykształceniem polonistycznym nowy kamień filozoficzny polega na połączeniu drobniagowej analizy seminaryjnej z wrażliwością krytyczną typu impresjonistycznego. W wieku bomby atomowej dochodzimy w ten sposób do zupełnej prawie atomizacji dzieła literackiego.

Zamiast oglądać książkę w szerszej perspektywie kulturalnej rozbija ją się na ledwie dostrzegalne drobiny, z których każda podlega dokładnemu i nieomal mikroskopijnemu oszacowaniu. Przy zastosowaniu takiej metody obraz sumaryczny nie daje żadnego pojęcia o utworze, a co więcej — często go zakłamuje. Wystarczyło, że Kazimierz Wyka wziął na swój skomplikowany warsztat krytyczny jedną z książek Otwinowskiego, aby grafo-manstwo zaawansowało do rangi poważnego pisarstwa. Wyka jest zresztą na pewno najwybitniejszym dziś w Polsce krytykiem literackim i z tym większym niepokojem śledzi się ostatnimi czasy jego niezawsze czytelne szkice w «Twórczości». Sekunduje mu dzielnie w tej koronkowej robocie krytycznej młody Wilhelm Mach.

Wiedzą, czytaniem, wnikliwością sądów, smakiem literackim i rzadkim u krytyków talentem pisarskim zwraca na siebie uwagę Artur Sandauer. Jest to właściwie jedyny dziś krytyk w Polsce, który pisze o literaturze ze znanstwem, nieustępującym jasności w formułowaniu myśli. Dwa jego szkice o Leśmianie i Valerym są we współczesnej krytyce literackiej pozycjami o nieprzemijającej wartości. Sandauer wprowadził do studium literackiego nową technikę, polegającą na kondygnacyjnej rekonstrukcji utworów w porządku styl-tematyka-wnioski socjologiczne. («Styl zdradza i określa pisarza»).

O literaturze współczesnej pisują również niekiedy K. W. Zawodziński i Wacław Kubacki. Tradycje skromnej i dobrej recenzji literackiej podtrzymują Stefan Lichański i Hieronim Michalski.

Przegląd spraw literackich w kraju nakazuje patrzeć w przyszłość oczyma pełnymi niepewności. Czy literatura polska zwróci się z zainteresowaniem ku literaturom obcym? Czy potrafi, przetrzuciwszy pomost ponad latami wojny, kontynuować swój własny rozwój, który poziomem swoim i bujnością dorówna rozkwitowi w dwudziestoleciu niepodległości?

Próba odpowiedzi na te pytania wykraczałaby poza ramy, jakie autor nakreślił sobie we wstępie do niniejszego szkicu informacyjnego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.

Lew i nosorożec

ANGLIA, TWOJA ANGLIA

1

Nie można sobie wytworzyć obrazu nowoczesnego świata odpowiadającego rzeczywistości, zanim nie uzna się wszechwładnej siły patriotyzmu, narodowej lojalności. W niektórych okolicznościach uczucie to może się załamać, na pewnych szczeblach cywilizacji nie istnieje wcale, ale jako *pozytywna* siła, nie podlega żadnej konkurencji. Chrześcijaństwo i międzynarodowy socjalizm są mdłe w porównaniu z nimi. Hitler i Mussolini doszli do władzy w swoich krajach głównie dlatego, że potrafili w lot uchwycić tę prawdę, na co nie mogli zdobyć się ich przeciwnicy.

Należy także przyznać, że różnice zachodzące pomiędzy jednym a drugim narodem polegają na istotnie odmiennym sposobie myślenia i ujmowania zjawisk. Do niedawna utrzymywano, że wszyscy ludzie są bardzo do siebie podobni, lecz kto umie patrzeć wie dobrze, że zwykłe zachowanie się człowieka różni się niesłychanie od kraju do kraju. Pewne rzeczy mogące przytrafić się w jednym, są nie do pomyślenia w drugim; czerwona czystka Hitlera, na przykład, nie mogłaby wydarzyć się w Anglii. Jeśli zaś chodzi o zachodnie narody, Anglicy wyodrębniają się wśród nich w sposób jaskrawy. Wtórny objawem tej odrębności jest antypatia, z jaką prawie wszyscy cudzoziemcy odnoszą się do naszego sposobu życia. Niewielu Europejczyków może się zdobyć na stałe przebywanie w Anglii, a nawet Amerykanie czują się bardziej swojsko na kontynencie.

Gdy powracasz do Anglii z jakiegokolwiek obcego kraju, doznajesz natychmiast uczucia że oddychasz innym powietrzem. Nawet w ciągu kilku pierwszych minut tuzin drobnostek sprzyiega się, aby wywołać to wrażenie. Piwo jest bardziej gorzkie, monety cięższe, trawa zieleniejsza, reklamy krzykliwsze. W wielkich miastach tłumy ludzi o łagodnych, kanciastych twarzach, zepsutych zębach i uprzejmym sposobie bycia, różnią się od tłumów innych krajów Europy. Po czym przestronność Anglii wchłania ciebie i przez jakiś czas wyzbywasz się uczucia, że cały naród ma ten sam osobliwy, rzucający się w oczy charakter. Czy to co zwiemy narodami istnieje w rzeczywistości? Czyż

nie składamy się z 46 milionów jednostek z których każda jest inna? I cała różnorodność, chaos tego wszystkiego!... Łoskot chodaków w bogatych w przędzalnie miastach hrabstwa Lancaster, uwijanie się ciężarówek po Wielkim Północnym Trakcie, ogonki przed lokalami Urzędów Pośrednictwa Pracy, gadanina przy sosnowych stołach szynków na Soho, stare panny pedałujące na rowerach do Świętej Komunii w mglistość jesiennych poranków — wszystko to są to nie tylko fragmenty, lecz i charakterystyczne realia angielskiej sceny. Jakże można wysnuć jakąś syntezę z takiego powikłania?

Ale spróbuj rozmawiać z cudzoziemcami, czytaj obce książki i dzienniki, a nawrócisz do tej samej myśli. Tak, *jest* coś osobliwego i znamiennego w angielskiej cywilizacji. Jest to kultura tak indywidualna jak w Hiszpanii. Coś poniekąd związanego z solidnymi śniadaniem i ponurymi niedzielami, zadymionymi miastami i krętymi drogami, z zielonością pól i czerwienią skrzynek pocztowych. Coś co ma własny smak. Przy tym coś co zachowuje ciągłość, sięga przyszłości i przeszłości i posiada element trwały jak żywa istota. Cóż Anglia z 1940 może mieć wspólnego z Anglią z 1840? Lecz, w takim razie, co łączy cię z pięcioletnim dzieckiem którego fotografię matka postawiła na półce nad kominkiem? Nic, prócz tego że traf chciał że jesteś tą samą osobą. Zaś przede wszystkim to jest *twoja* cywilizacja, to jesteś *ty*. Jakkolwiek możesz drwić z niej, lub nienawidzić — przed dłuższy czas oddalony od niej, nie będziesz nigdy szczęśliwy. Puddingi na szmalcu i czerwone skrzynki pocztowe włoży ci do duszy. Złe czy dobre, to jest twoje środowisko, należysz doń i po tej stronie życia nigdy nie pozbędziesz się jego piętna.

A tymczasem Anglia przeistacza się wraz z resztą świata. I jak wszystko inne, może zmieniać się tylko w niektórych kierunkach, które dadzą się przewidzieć do pewnego stopnia. Nie oznacza to, że przyszłość jest utrwalona, lecz znaczy po prostu że pewne alternatywy wchodzą w rachubę, a inne nie. Ziarno może kiełkować lub zczernąć, lecz w żadnym wypadku z nasienia rzepy nie wyrosnie pasternak. Zadaniem pierwszorzędnej wagi wydaje się zatem próba zdefiniowania czym *jest* Anglia, nim zdołamy odgadnąć jaką rolę *może ona odegrać* w kolosalnych zdarzeniach, toczących się obecnie.

2

Nie łatwo jest uchwycić charakterystyczne cechy narodowe, zaś kiedy się je uchwyci wydają się często trywialne lub całkiem nie współmierne. Hiszpanie są okrutni dla zwierząt, Włosi niezdolni do czynienia czegokolwiek bez ogłuszającego hałasu, Chińczycy lubują się w hazardzie. Oczywiście te rzeczy same przez się nie mają znaczenia, niemniej nic nie dzieje się bez przyczyny i nawet fakt, że Anglicy mają zepsute zęby, może ujawnić część rzeczywistości angielskiego życia.

Oto kilka ogólnikowych uwag o Anglii, które uznają niemal wszyscy obserwatorzy. Jednym z tych spostrzeżeń jest, że Anglicy nie są obdarzeni talentami artystycznymi. Nie są tak muzykalni jak Niemcy i Włosi, malarstwo i rzeźba nie zakwitły nigdy w Anglii tak, jak w sąsiedniej Francji. Drugim: że Anglicy nie są intelektualni na miarę europejską. Mają wstręt do myśli abstrakcyjnej, nie czują potrzeby żadnego filozoficznego «światopoglądu». Nie z powodu tego że są «praktyczni», choć tak bardzo lubią chełpić się tą właściwością. Wystarczy spojrzeć na ich metody planowania miast i dostaw wodnych, na to z jakim uporem lgną do wszystkiego co jest przestarzałe i niedogodne, do pisowni urągającej wszelkiemu rozbiorowi, systemu wag i miar, dostępnemu jedynie dla kompilatorów podręczników arytmetyki, wystarczy przyrzeć się temu, aby zrozumieć jak mało dbają o prostą wydajność. Lecz posiadają pewną siłę działania bez rozmysłu. Ich słynna na cały świat hipokryzja — ich dwulicowość w stosunku na przykład do Imperium, — z tym właśnie jest związana. Także w momentach najbardziej krytycznych cały naród może raptownie stanąć ramię przy ramieniu i działać pod wpływem rodzaju instynktu, istotnie jakby jakiegoś kodeksu postępowania, który staje się zrozumiały dla każdego, choć nigdy nie bywa wypowiedziany. Formuła, którą Hitler ukuł dla Niemców: «naród lunatyków» stosowałyby się tu słusznie do Anglików. Nie dlatego by można było znaleźć cośkolwiek pochlebnego w tym, że się jest lunatykiem.

Lecz warto jeszcze zanotować bardziej bląką właściwość Anglików, która zaznacza się wybitnie, choć rzadko wzmiankuje się o niej, to jest ich miłość do kwiatów. Jest to jedna z pierwszych rzeczy która narzuca się uwadze, gdy przyjeżdża się do Anglii z zagranicy, zwłaszcza z południowej Europy. Czy nie kłóci się to z angielską obojętnością w stosunku do sztuki? W rzeczywistości nie, gdyż zamiłowanie do kwiatów spotyka się u ludzi, pozbawionych jakiegokolwiek zmysłu estetycznego. Łączy się to jednak z inną typową angielską cechą, która jest tak zrosnięta z nami że ledwo zdajemy sobie z niej sprawę: natóg do specjalnie ulubionych rozrywek, zazdrośnie strzeżona «prywatność» (*privateness*) angielskiego życia. Jesteśmy narodem miłośników kwiatów, lecz także narodem zbieraczy znaczków pocztowych, gołębiarzy, stolarzy z zamiłowania, odcinaczy kuponów, graczy w strzałki, amatorów krzyżówek i zagadek. Wszystko co jest najbardziej rdzennego w kulturze ludu angielskiego skupia się dookoła rzeczy które, nawet jeśli są dostępne wszystkim, nie mają piętna oficjalnego — dokoła szynku, meczu piłki nożnej, ogródka na tyłach domu, kominka i «dobrej filiżanki herbaty». Tu wierzą jeszcze w swobodę osobistą, omal jak w dziewiętnastym wieku. Ale nie ma to nic wspólnego z swobodą ekonomiczną, z prawem wykorzystywania innych dla własnego zysku. Jest to swoboda posiadania własnego domowego ogniska, rozporządzania się wolnym czasem według swego

widzi mi się, wybierania swoich rozrywek, miast tego żeby ci je narzucano z góry. Najbardziej zniechęconym nazwiskiem, którego dźwięk razi każde ucho angielskie, jest Nosey Parker¹⁾. Oczywiście nie ulega wątpliwości, że nawet ta czysto prywatna swoboda jest przegrana sprawą. Zarówno jak wszystkie inne nowoczesne narody, Anglicy podlegają procesowi rejestrowania, ostemplowania, powoływania do wojska, «koordynacji». Jednak ich impulsy idą w innym kierunku i rodzaj zszeregowania, który można im narzucić, zostanie przeto odpowiednio zmodyfikowany. Obejdzie się bez zjazdów partyjnych, ruchów młodzieżowych, kolorowych koszul, bicia Żydów, lub «spontanicznych demonstracji». Według wszelkiego prawdopodobieństwa, obejdzie się również i bez Gestapo.

Atoli we wszystkich społeczeństwach lud musi, do pewnego stopnia, prowadzić życie *wbrew* ustalonemu porządkowi. W Anglii rdzenna kultura ludowa jest czymś co płynie pod powierzchnią, co nie jest uznawane oficjalnie i na co krzywią się raczej władze. Kiedy z bliska, szczególnie w wielkich miastach, obserwuje się uboższą ludność, jedna rzecz rzuca się w oczy: nie są to purytanie. Są nałogowymi graczami, piją tyle piwa na ile starczą ich płace, przepadają za sprośnymi żartami i używają najplugawszego, zapewne, języka na kuli ziemskiej. Przychodzi im zadawałniać te swoje upodobania pomimo zadziwiających, obłudnych praw (licencje, ustawy loteryjne itp.), które są po to, aby kontrolować każdego, lecz, w praktyce, dopuszczają do wszelkich możliwych przekroczeń. Poza tym lud nie ma wyraźnie ustalonej wiary i tak było od wieków. Kościół Anglikański nie zapuścił tu korzeni, był on po prostu ostoją szlachty osiadłej na wsi, zaś sekty nieprawowierne miały znikomą ilość adeptów. A jednak lud angielski jest głęboko przesiąknięty chrześcijańskimi uczuciami, mimo że prawie zapomnieli imienia Chrystusa. Kult władzy, który jest nową religią Europy i który zaraził angielską inteligencję, nie dotarł nigdy do sfer ludowych. Nie dały zwabić się polityce siły. «Realizm», głoszony przez japońskie i włoskie dzienniki, byłby napełnił je grozą. Można dowiedzieć się wielu rzeczy o duchu angielskim, przyglądając się śmiesznym kolorowym pocztówkom w oknach tanich sklepów z materiałami piśmieniowymi. Te pocztówki są rodzajem pamiętnika, w którym Anglicy wypowiedzieli się mimowolnie. Ich przestarzałe poglądy, stopniowany snobizm, mieszanina sprośności i obłudy, niezmierna uprzejmość, ich głęboko moralna postawa w stosunku do życia — wszystko zostało tam odzwierciedlone.

Być może, iż najbardziej charakterystyczną cechą angielskiej cywilizacji jest uprzejmość. Uderza cię to natychmiast po wkro-

¹⁾ Przysłowiowa w Anglii, imaginacyjna postać wtrącająca się do cudzych spraw.

czeniu na ziemię angielską. Jest to kraj gdzie konduktorzy są pogodni i policjanci nie noszą rewolwerów. W żadnym kraju, zamieszkałym przez białych ludzi, nie jest tak łatwo rozpędzić tłum zgromadzony na chodnikach. Łączy się z tym coś co ludzie z kontynentu, którzy interesują się Anglią, przypisują stale naszej «dekadencji» lub «hipokryzji»: nienawiści Anglików do wojny i militarystyki. Jest to uczucie głęboko zakorzenione na przestrzeni dziejów, niższe warstwy burżuazji i klasa pracująca hołdują mu w pełni. Następujące po sobie wojny zachwiały je, lecz nie zdołały unicestwić. Jeszcze za naszej pamięci, człowiek ukazujący się na ulicy w mundurze wojskowym bywał często narażony na szyderstwo tłumu, zaś właściciele szanujących się szynków odmawiali wstępu żołnierzom. W czasach pokojowych, nawet przy dwóch milionach bezrobotnych, trudno jest skompletować szeregi małej armii regularnej, która jest dowodzona przez szlachtę prowincjonalną, oraz przez specjalny gatunek burżuazji, a składa się z robotników rolnych i ubożego proletariatu miejskiego. Masy ludowe nie mają wykształcenia wojskowego, ani żadnych tradycji militarnych i ich stosunek do wojny jest uprzejmie defensywny. Nie ma polityka, który by mógł dojść do władzy przez to, że mamby je zdobyciami terytorialnymi lub «laurami na polu chwały», żaden hymn nienawiści nie przyjął się tu nigdy. Podczas ostatniej wojny, pieśni, skomponowane lub śpiewane przez żołnierzy z własnej inicjatywy, nie były mściwe, lecz żartobliwe lub drwiąco-defetystyczne¹⁾. Jeśli w nich mowa o wrogu, to tylko o własnym sierzancie. W Anglii przechwałki, wywieszania flag, wszelkie ostentacje w stylu «Rule Britannia» uprawiane są tylko przez znikomą mniejszość. Patriotyzm zwykłych ludzi nie uzewnętrznia się wokalnie i nawet nie jest świadomy. Z dziejów swojego kraju, nie zapamiętali ani jednej nazwy militarnej zwycięstwa. Angielska literatura, tak jak i inne, jest pełna marsowych poematów, lecz warto zauważyć że jedyne, które uzyskały rodzaj popularności, są to zawsze opisy klęsk i odwrotów. Nie ma, np., popularnego poematu na temat Trafalgaru lub Waterloo. Wojsko Sir Johna Moor'a w Corunna, walczące desperacko na tyłach, by umożliwić sobie dostęp do morza i ucieczkę (zupełnie jak w Dunkierce!), to wojsko pobite, podoba się więcej od świetnego zwycięstwa. Najbardziej sensacyjny wojowniczy poemat w języku angielskim opiewa brygadę kawalerii, która szarżowała w zmylnym kierunku, zaś z czasów wojny 1914-1918 cztery nazwy które wraziły się istotnie w pamięć

¹⁾ Na przykład:

«Nie chcę iść do cholernego wojska,
Nie chcę iść na żadną wojnę;
Dość mam tego włoczęgostwa,
Wolę raczej siedzieć w domu
Zreć i pić z zarobków kurwy.»

ludową są Mons, Ypres, Gallipoli i Paschendale, — klęska za każdym razem. Nazwy wielkich bitew, które wreszcie złamały armię niemiecką, są wprost nieznanne ogółowi.

Angielski antymilitaryzm irytuje cudzoziemców przez to, że ignoruje istnienie Imperium Brytyjskiego. Wygląda to na zwykłą obłudę. Mimo wszystko, Anglicy wchłonęli ów pierzchy kuli ziemskiej, utrzymując się na tych terenach dzięki potężnej flocie. Jak śmieją odżegnywać się wobec świata od wojny twierdząc, że ją potępiają?

Nie można zaprzeczyć, że postawa Anglików w stosunku do Imperium jest obłudna. Wśród klasy pracującej obłuda ta przybiera formę niewiedzy o egzystencji Imperium. Ale ich niechęć do regularnego wojska wynika z trafnego instynktu. Marynarka zatrudnia stosunkowo mało ludzi i stanowi oręż na eksport, który nie może wpływać bezpośrednio na politykę wewnętrzną. Wojskowe dyktatury istnieją wszędzie, ale nie ma czegoś w rodzaju marynarskiej dyktatury. To, czego prawie wszyscy Anglicy nienawidzą z głębi serca to typu oficera fanfaronu, błysku ostróg i skrzypu butów. Na dziesiątki lat zanim ktokolwiek słyszał o Hitlerze, słowo «Prusak» miało w Anglii mniej więcej to samo znaczenie, co «hitlerowiec» obecnie. Ta antypatia jest tak żywiołowa, że od jakich stu lat oficerowie armii brytyjskiej ubierali się zawsze po cywilnemu, o ile nie znajdowali się na służbie.

Tręciwym lecz dość rzetelnym wskaźnikiem społecznej atmosfery danego kraju jest paradny marsz jego wojska. Rewia wojskowa jest istotnie rodzajem rytualnego tańca, czymś podobnym do baletu, wyrażającym pewną życiową filozofię. Tak więc gęsi krok jest jednym z najstraszniejszych widoków na świecie, o wiele bardziej przerażający od nurkującego bombowca. To wręcz stwierdzenie nagłej siły, zawartej w tym geście całkiem świadomie i celowo, to wizja buta rozdeptującego czyjąś twarz. Jego ohyma jest symboliczna, jak gdyby mówił: «Tak, jestem ohymny, a tobie wara ze mnie drzwi», podobny w tym do drepczyciela strojącego miny do swojej ofiary. Dlaczego gęsi krok nie jest w użyciu w Anglii? Bóg raczy wiedzieć ilu jest zawodowych oficerów, którzy nie posiadaliby się z radością, gdyby mogli zaprowadzić coś podobnego. Nie jest w użyciu, bo ludzie na ulicy parskałoby ze śmiechu. Włosi zaadoptowali gęsi krok w okresie kiedy Włochy przeszły na dobre pod kontrolę Niemców i — jak można było tego się spodziewać — uprawiali go mniej udatnie od Niemców. W wojsku brytyjskim musztra jest sztywna i skomplikowana, pełna naleciałości z osiemnastego stulecia, lecz nie ma w niej fanfaronady; marsz to ceremonialna przechadzka. Przynależy do społeczeństwa, które jest rządzone mieczem, to nie ulega wątpliwości, ale mieczem który nie ma być wyjmowany z pochwy.

A jednak łagodność cywilizacji angielskiej roi się od barbarzyństw i anachronizmów. Nasze prawo kryminalne jest również

przedawnione jak muszkiety z Tower. Jako przeciwstawienie hitlerowskiemu dowódcy oddziałów szturmowych, musisz zadłonić się tą typową angielską postacią, wieszającym się z jakąś starym chorym na podagrę ciemniejącą o umysłowości tkwiącej głęboko w dziewiętnastym stuleciu, wydającym dzikie wyroki. W Anglii wciąż jeszcze wieszają ludzi i smagają ich dyscypliną o dziewięciu rzemieniach. Obie te kary są równie bezwstydne jak okrutne, lecz nigdy nie wystąpiono przeciwko nim z żadnym autentycznie popularnym protestem. Ludzie znoszą je (i Dartmoor i Borstal) prawie z taką samą rezygnacją jak kapryśną pogodę. Wchodzi to w zakres «prawa», które uważane jest za niepodlegające zmianie.

Wychodzi tu na jaw najważniejsza cecha charakteru angielskiego: szacunek dla konstytucyjności i legalności, zaufanie do «prawa» jako do czegoś wyższego od państwa i od jednostki, czegoś co jest, oczywiście, głupie i okrutne, lecz bądź co bądź, nieprzekupne.

Nie należy sądzić, aby ktokolwiek wyobrażał sobie że prawo jest sprawiedliwe. Każdy wie że istnieje jedno prawo dla bogatych, a drugie dla biednych. Jednak nikt nie wyciąga wniosków z tego przeświadczenia, każdy z góry przesądza że prawo, jako takie, będzie dochowane i czuje się urażony, jeśli tak nie jest. Uwagi takie jak: «Nie mogą mnie przyłapać — nie zrobiłem nic złego», lub: «tego robić nie wolno, to przeciwne prawu» — są częścią atmosfery świata angielskiego. Zawodowi szkodnicy społeczni dzielają to uczucie na równi z innymi. Znać to w opowieściach więziennych jak Wilfred'a Macartnaya: «Walls Have Mouth» («Mur mają Usta») lub Jim'a Phelan'a: «Jail Journey» («Więzienna Wędrówka»), w uroczystych idiotyzmach głoszonych podczas rozpraw sądowych ludzi, którzy z powodu sprzeciwu sumienia nie chcą iść do wojska (*Conscientious Objectors*), w listach do prasy wybitnych Marxistów w stopniu profesorskim, podkreślających że to, lub tamto jest «uchybieciem brytyjskiej sprawiedliwości». Każdy wierzy w ducha, że prawo może być, powinno być i, na ogół, będzie sprawowane bezstronnie. Idea totalitarna, że prawo nie istnieje wcale, że jest tylko siła, nie zakorzeniła się nigdy. Nawet inteligencja zaadoptowała ją tylko teoretycznie.

Żłudzenie może stać się połowiczną prawdą, maska może przemienić wyraz czyjejs twarży. Znane argumenty dążące do wykazania, że demokracja jest «zupełnie to samo co» albo «tak samo nic nie warta jak» — totalitaryzm, nigdy nie liczą się z tym faktem. Wszystkie te dowodzenia starają się wymędrkować że pół bochenka chleba, to to samo co brak chleba. W Anglii wciąż jeszcze wierzą w takie pojęcia jak sprawiedliwość, swoboda i obiektywna prawda. Mogą to być złudzenia, lecz są to bardzo potężne złudzenia. Wiara w nie wpływa na postępowanie, życie narodowe przybiera inny kształt z ich powodu. Na dowód tego wystarczy się rozejrzeć. Gdzież są pałki gumowe,

gdzie olej rycynowy? Miecz jest wciąż w pochwie i jak długo tam pozostaje, rozkład nie może przekroczyć pewnych granic. Angielski system wyborczy, na przykład, jest wszystkim co się chce, lecz nie jawnym szalbierstwem. Na tuzin rzucających się w oczy sposobów, podlega on manipulacjom na korzyść klasy posiadającej. Ale dopóki jakaś głęboka przemiana nie zajdzie w umysłowości społeczeństwa, ten system nie może stać się *całkiem* sprzedajny. Nie przychodzisz do lokalu wyborczego, by zastać tam ludzi uzbrojonych w rewolwery, którzy ci powiedzą jak masz głosować, ani też głosy nie są fałszywie obliczane i nie ma mowy o żadnych wyraźnych łapówkach. Nawet obłuda jest potężnym zabezpieczeniem. Wieszający sędzia, ten zły starzec w purpurowej szacie i peruce z końskiego włosia, któremu nic, prócz dynamitu, nie uprzytomni w jakim stuleciu żyje, lecz który zawsze będzie interpretował prawo według ksiąg i w żadnym wypadku nie weźmie pieniężnej łapówki, nawet ten sędzia jest jedną z symbolicznych postaci Anglii. Jest on symbolem tej dziwnej mieszaniny rzeczywistości i złudzenia, demokracji i przywileju, matactwa i przyzwoitości — owej subtelnej sieci kompromisów, przez którą naród utrzymuje swój swoisty kształt.

3

Mówiłem cały czas o «narodzie», «Anglii», «Brytanii», jak gdyby można było traktować 45 milionów osobników jako jednostkę. Lecz czyż nie jest powszechnie znane, że Anglia składa się z dwóch narodów, bogatego i biednego? Któż ośmielił się twierdzić, że jest coś wspólnego pomiędzy ludźmi ze 100.000 funtów rocznego dochodu, a tymi którzy mają funta tygodniowo? Być może też, że walijscy i szkoccy czytelnicy poczują się obrażeni za to, że używałem słowa «Anglia» częściej niż «Brytania», jak gdyby cała ludność osiadła w Londynie i angielskich hrabstwach, zarówno na północy jak i na południu, posiadała odrębną, swoistą kulturę.

Ażeby łatwiej rozpatrzyć to zagadnienie, lepiej wpierv zastanowić się nad mniej ważkim jego aspektem. Nie ulega wątpliwości, że tak zwane rasy Wielkiej Brytanii mają wyraźne poczucie iż różnią się między sobą. Szkot, na przykład, bardzo nie lubi kiedy go nazywają Anglikiem. Niepewność nasza w tej dziedzinie ujawnia się tym, że wyspom naszym nadajemy aż sześć różnych nazw: Anglia, Brytania, Wielka Brytania, Wyspy Brytyjskie, Zjednoczone Królestwo i — w chwilach wielkiego uniesienia — Albion. Nawet różnice pomiędzy północną a południową Anglią zarysowują się bardzo wyraźnie w naszych własnych oczach, co nie przeszkadza, że znikają jakoś raptownie w momencie, kiedy dwaj Brytyjczycy staną przed człowiekiem z kontynentu. Niezmiernie rzadko spotyka się cudzoziemca który, nie będąc Amerykaninem, potrafi odróżnić Anglików od Szkotów, lub nawet Anglików od Irlandczyków. Dla Francu-

za, Bretończyk i Owerniak są to dwie odmienne istoty, zaś akcent marsulski stanowi niewyczerpane źródło dowcipów w Paryżu. Mimo to mówimy «Francja» i «Francuz», uznając Francję za jednoś, jako oddzielną cywilizację, czym jest istotnie. Tak samo jest z nami. Dla kogoś który patrzy z boku, nawet cockney¹⁾ i mieszkańiec hrabstwa York mają silne rodzime podobieństwo.

Nie idzie tylko o to. Różnice pomiędzy bogatym i biednym maleją nieco, jeśli patrzy się na naród od zewnątrz. Nie odnosi się to do nierówności stanu posiadania w Anglii, bardziej różącego niż w jakimkolwiek innym kraju w Europie; wystarczy rzucić okiem na najbliższą ulicę, aby to zauważyć. Ekonomicznie, Anglia składa się z pewnością z dwóch narodów, jeśli nie z trzech lub czterech. Ale jednocześnie znaczna większość ludzi poczuwa się do przynależności do *jednego* narodu i ci ludzie zdają sobie sprawę, że między sobą są bardziej do siebie podobni niż do cudzoziemców. Patriotyzm jest zwykle silniejszy od klasowej nienawiści i zawsze silniejszy od jakiegokolwiek internacjonalizmu. Poza krótkim momentem w 1920 r. (ruch «Wara od Rosji») brytyjska klasa pracująca nigdy nie myślała i nie działała pod wpływem internacjonalizmu. W ciągu dwóch i pół lat robotnicy angielscy przyglądali się temu jak powoli obronie choćby sporadycznym strajkiem²⁾. Lecz gdy ich własny kraj był w niebezpieczeństwie, (kraj Lorda Nuffielda i pana Montagu Normana) przybrali całkiem inną postawę. W momencie kiedy inwazja Anglii wydawała się prawdopodobna, Anthony Eden wezwał przez radio ochotników do Obrony Terytorialnej (*Local Defence Volunteers*). Uzyskał ćwierć miliona ludzi w ciągu pierwszej doby, zaś drugi milion w ciągu następnego miesiąca. Wystarczy porównać te cyfry choćby z ilością ludzi, mających «sprzeciw sumienia» przeciwko wstępowaniu do wojska, aby się przekonać jak daleko sięga siła tradycyjnego lojalizmu, w porównaniu z nowym.

W Anglii patriotyzm przybiera rozmaity kształt w poszczególnych klasach, lecz przewija się przez nie jak nić łącząca niemal wszystkie. Jedyne zeuropeizowana inteligencja nie podlega mu istotnie. Jako pozytywne wzruszenie miłość ojczyzny przejawia się silniej w warstwie średniej niż pośród elity — tanie internaty, np. skłonniejsze są do urządzania patriotycznych demonstracji od kosztownych zakładów wychowawczych — jednakowoż liczba wyraźnie zdradzieckich bogaczy, typów w rodzaju Laval'a lub Quisling'a, jest zapewne niska. Serce ro-

1) Typowy gatunek londyńczyka (przyp. tłum.).

2) Co prawda pomagali im pieniędzmi. Jednak sumy zebrane na rozmaite fundusze Pomocy Hiszpanii nie dosięgłyby pięciu procentów od obrotu zbiorowego wkładu publiczności, zgrywającej się na meczach piłki nożnej.

botnika nie drga na widok flagi brytyjskiej. Atoli słynne «wyspiarstwo» i «ksenofobia» Anglika tkwią znacznie głębiej w klasie robotniczej niż w burżuazji.

Wszędzie biedny jest bardziej zawziętym nacjonalistą od bogatego, ale robotnicy angielscy czują specjalny wstręt do obcych i cudzoziemskich. Nawet kiedy zmuszeni są żyć przez całe lata zagranicą, nie chcą przyzwyczaić się do miejscowej kuchni lub uczyć się obcych języków. Prawie każdy Anglik, który pochodzi z klasy robotniczej, uważa poprawne wymówienie obcego wyrazu za objaw zniewieściałości. W czasie wojny 1914-1918 angielscy robotnicy stykali się w minimalnym stopniu z cudzoziemcami. Jako jedyny rezultat tego zetknięcia wynieśli uczucie nienawiści do wszystkich narodów osiadłych na kontynencie, z wyjątkiem Niemców, których odwaga wzbudziła ich podziw. Po czterech latach pobytu na terytorium Francji, nie nabrali nawet smaku do wina. Wyspiarstwo Anglików ich lekceważenie cudzoziemców jest niekiedy bardzo ciężko odczuwanym szaleństwem. Mimo to odgrywa ono pewną rolę w angielskiej *mistyce* i intelektualistów którzy starali się je zwalczyć, uczynili na ogół więcej złego niż dobrego. W gruncie, jest to ta sama właściwość angielskiego charakteru, która zraża turystę i odpycha najeżdżcę.

Wypada tu nawrócić do dwóch naszych cech charakterystycznych, które, niby przypadkowo, podkreśliłem na początku poprzedniego rozdziału. Jedna, to brak artystycznych zdolności. Jest to może inny sposób twierdzenia, iż są Anglicy poza obrębem kultury europejskiej. Istnieje bowiem gałąź sztuki, w której wykazali moc talentu — mianowicie literatura. Lecz jest to także jedyna sztuka, która nie może przekraczać granic narodowych. Literatura, zwłaszcza poezja, zaś liryczna poezja przede wszystkim, stanowi rodzaj rodzinnej anegdoty o małej, lub nie istniejącej, wartości poza własną grupą językową. Z wyjątkiem Shakespeare'a, najlepsi angielscy poeci są ledwo znani w Europie, nawet z nazwiska. Jedyni poeci, których utwory rozeszły się szeroko po świecie, to Byron, podziwiany z niewłaściwych powodów, i Oscar Wilde, nad którym litują się jako nad ofiarą angielskiej obłudy. Łączy się z tym, choć niezbyt wyraźnie, brak zdolności filozoficznych, to, że niemal żaden Anglik nie odczuwa potrzeby uporządkowanego systemu myślenia, lub nawet dążności do posługiwania się logiką.

Do pewnego stopnia, poczucie narodowej jedności jest namiastką «szerokiego poglądu na świat». Właśnie dlatego że patriotyzm nie jest uniwersalny i że nawet bogaci niezdolni są wyzwolić się z jego pęt, zachodzą chwile gdy cały naród skupia się i czyni jedno i to samo, jak stado bydła, które ujrzało wilka. Bez wątpienia, podobna chwila zdarzyła się podczas klęski we Francji. Po ośmiu miesiącach mętnego zastanawiania się o co idzie w tej wojnie, ludzie raptownie zrozumieli co mają do zrobienia: po pierwsze wydostać armię z Dunkierki, po

drugie zapobiec inwazji. Było to jak przebudzenie olbrzyma. Gwałtu! Gore! Filistyni idą na ciebie, Samsonie! I wówczas pośpieszna, jednomyślna akcja — a potem, niestety, rychły powrót do snu. W poróżnionym narodzie byłaby to akurat chwila do rozpoczęcia wielkiej kampanii o pokój. Lecz czyż to oznaka, że instynkt Anglików podyktuje im zawsze właściwy postęp? Bynajmniej, nakaże im tylko aby wszyscy czynili to samo. W powszechnych wyborach w 1931 r. na przykład, wszyscy zgodnie popełniliśmy to samo głupstwo. Byliśmy tak jednomyślni jak świnię Gerazeńczyków. Jednakże wątpię byśmy mogli uczciwie twierdzić, że zepchnięto nas z urwiska wbrew naszej woli.

Okazuje się zatem, że demokracja brytyjska jest mniej szalibiercza niż na to niekiedy wygląda. Obcy obserwator widzi tylko olbrzymią nierówność dóbr, nierzetelny system wyborczy, ingerencję sfer rządowych w działalność prasy, radia, wychowania, i wnioskuje stąd, że demokracja jest po prostu uprzejmym mianem dyktatury. Dowodzi to ignorancji ważkiego porozumienia pomiędzy kierownikami a kierowanymi, które, niestety, istnieje. Bez względu na to jak przykre może wydać się podobne wyznanie, należy stwierdzić, nieomal z całą pewnością, iż w okresie 1931-1940 rząd reprezentował wolę ludności. Tolerował straszliwe nory ubogich dzielnic, bezrobocie i tchórzliwą politykę zagraniczną. Tak, lecz opinia publiczna tolerowała to również. Była to epoka stagnacji, której przewodziły odpowiednie miernoty.

Wbrew poczynaniom kilku tysięcy lewicowców nie ulega prawie wątpliwości, że ogół ludu angielskiego stał za polityką zagraniczną Churchill'a. Co więcej, jest prawie pewne, iż zwykli ludzie podlegali tej samej rozterce ducha, która dręczyła Chamberlain'a. Jego przeciwnicy okrzyknęli go jako ciemnego i podłego kombinatora, knującego zaprzędanie Anglii Hitlerowi, lecz był to raczej po prostu głupi, stary człowiek, który usiłował jak najlepiej postąpić, według wskazówek swego bardzo ograniczonego umysłu. Trudno inaczej wytłumaczyć sprzeczności jego własnej polityki, jego niezdolność do zaangażowania się po czyjejkolwiek stronie. Tak jak większość społeczeństwa, nie chciał zapłacić ceny ani za pokój, ani za wojnę. I opinia publiczna była cały czas za nim, w decyzjach politycznych całkowicie ze sobą niezgodnych. Była za nim, kiedy podążył do Monachium, kiedy próbował dojść do porozumienia z Rosją, kiedy dał gwarancję Polsce, kiedy honorował tę gwarancję i kiedy, bez przekonania, zaczął prowadzić wojnę. Lud angielski obrócił się przeciwko niemu jedynie wtedy, kiedy wyniki jego polityki zrobiły się widoczne, co znaczy, że powstał przeciwko własnemu letargowi siedmiu ostatnich lat. Po czym, lud wybrał sobie wodza bardziej dopasowanego do swego nastroju, Churchill'a, który w każdym razie potrafił zrozumieć, że nie wygrywa się wojen bez walki. Może kiedyś lud wybierze sobie

innego wodza, który potrafi zrozumieć, że tylko socjalistyczne narody potrafią walczyć skutecznie.

Czy chce przez to powiedzieć, że Anglia jest autentyczną demokracją? Nie, nawet czytelnik *Daily Telegraph*'u nie *byłby* w stanie całkowicie przekonać podobnej bzdury.

Nie ma kraju pod słońcem, który by tak uporcezywie trwał przy różnicach stanowych jak Anglia. Jest to kraj snobizmu i przywileju, przeważnie rządzona przez ludzi starych i głupich. Jednak, licząc się z tym, w każdym wypadku należy brać pod uwagę jej emocjonalną jedność, pamiętać o tym, iż w momentach najwyższego napięcia, prawie wszyscy jej mieszkańcy czują podobnie i działają wspólnie. To jedyne wielkie mocarstwo europejskie, które nie jest zmuszone zapędzać swoich obywateli do koncentracyjnych obozów, lub skazywać ich na wygnanie. W czasie wojny, dzienniki i ulotki wymyślające na rząd, chwalcące wroga i wzywające do kapitulacji, były sprzedawane na ulicach, niemal bez zastrzeżeń ze strony władz. I to nietylko ze względu na szacunek dla wolności słowa, ile z poczucia, że te rzeczy nie mają znaczenia. Można bezpiecznie pozwalać na kolportaż pisma w rodzaju *«Peace News»* (Wiadomości o Pokoju) ponieważ wiadomo, że dziewięćdziesiąt procent ludności nigdy nie zechce go przeczytać. Cały naród jest związany niewidzialnym łańcuchem. W normalnych czasach nie ulega wątpliwości, że klasa rządząca będzie źle zawiadywać wspólnym dobrem, że będzie kraść, sabotować, pakować nas wszystkich w błoto, lecz dajcie głos podnieść publicznej opinii, niech doły wstrząsną porządnie górą, a wyjdzie ze swego kwiatyzmu. Pisarze lewicowi, którzy głoszą, że cała klasa rządząca jest «profaszystowska», dają dowód wielkiego prostactwa umysłu. Nawet wśród ścisłego grona polityków, którzy nas doprowadzili do obecnej sytuacji, nie ma zapewne żadnego *świadomego* zdrajcy. Zepsucie w Anglii przejawia się rzadko w ten sposób. Prawie zawsze jest to raczej rodzaj ludzenia się, prawa ręka nie wie co czyni lewa. I będąc nieświadoma — jest ograniczona w swoich możliwościach. Ujawnia się to w sposób najbardziej oczywisty w angielskiej prasie. Czy prasa angielska jest uczciwa czy nieuczciwa? W czasach normalnych jest głęboko nieuczciwa. Wszystkie pisma, posiadające znaczenie, żyją z ogłoszeń, zaś agenci ogłoszeniowi pośrednio wywierają kontrolę nad pismem. Nie przypuszczam jednak, aby choć jedno pismo w Anglii dało się otwarcie przekupić gotówką. We Francji Trzeciej Republiki, z wyjątkiem kilku pism, wszystkie dzienniki można było notorycznie zakupić przy ladzie, jak tyle a tyle funtów sera. W Anglii, życie publiczne nie było nigdy tak *jaśnie* skandaliczne. Nie doszło jeszcze do tego stopnia rozkładu, przy którym można zaniechać komedianstwa.

Anglia nie jest zdołną w klejnoty wyspą z sławnej cytaty Shakespeare'a, ani też piekłem opisanym przez Dr Goebbels'a. Przypomina raczej rodzinę, zaśnieżdżoną wiktoriańską rodzinę,

o nielicznych czarnych owcach, lecz szafach pękających pod naporem szkieletów. Ma bogatych krewnych, przed którymi trzeba bić czołem, biednych krewnych, których przygniata okropnie, zaś na temat źródła dochodów rodziny panuje tu strogi spisek milczenia. Jest to rodzina, w której tamuje się zwykle wszelką inicjatywę młodych i którą przeważnie władają nie-poczytali wujowie i przykute do łóżka ciotki. Posiada ona swoisty, domowy język, wspólne wspomnienia i na widok nie-przyjaciela zamyka swoje szeregi. Rodzina prowadzona przez nieodpowiednich członków — to może, w przybliżeniu, naj-stosowniejsze określenie Anglii w jednym zdaniu.

4

Prawdopodobnie bitwa pod Waterloo *była* wygrana na sportowych boiskach Eton, lecz pierwsze bitwy wszystkich następnych wojen tam zostały przegrane. Jednym z dominujących faktów życia angielskiego w ciągu ostatnich trzech czwartych stulecia, był upadek zdolności klasy kierowniczej. W okresie pomiędzy latami 1920-1940 zdolności te zanikały z szybkością reakcji chemicznej. Mimo to, w chwili kiedy piszę, wciąż można mówić o klasie kierowniczej. Podobna do noża, który miał już dwa nowe ostrza i trzy nowe trzony, górna warstwa społeczeństwa angielskiego jest prawie tym, czym była w połowie dziewiętnastego wieku. Po 1832 r. stara ziemiańska arystokracja stała traciła władzę i znaczenie, lecz zamiast zniknąć lub skamienieć, ci ludzi zawierali po prostu związki małżeńskie z kupcami, fabrykantami i finansistami, którzy przyszli na ich miejsce, i wkrótce tamci pierwsy potrafili ich przerobić na wzór i podobieństwo swoje. Zamożny właściciel statków, lub fabrykant bawełny stwarzał sobie alibi jako gentleman osiadły na wsi, podczas gdy jego synowie nabierali właściwej afektacji w odpowiednich internatach. Anglia była rządzona przez arystokrację ustawicznie zasilaną parweniuszami. Zwłaszcza na kapitał energii, który posiadają ludzie idący o własnych siłach, oraz na to, że wkupili się do klasy, która, bądź co bądź, miała we krwi tradycję służenia krajowi, można było spodziewać się, że tym sposobem doczekamy się zdolnych przywódców.

A przecież klasa kierownicza podupadła jakoś, traciła swoje zdolności, swą przedsiębiorczość, wreszcie i swą bezwzględność, aż nadszedł czas, w którym uroczyste bałwany jak Eden lub Halifax mogły uchodzić za ludzi wyjątkowo utalentowanych. Co do Baldwina nie można go nawet zaszczylić mianem bałwana. Był po prostu zerem. W ostatnim dwudziestoleciu partackie rozwiązywanie wewnętrznych zagadnień Anglii było już złem dostatecznym, lecz nie to w porównaniu z brytyjską polityką zagraniczną lat 1931-1939, która jest jednym z cudów tego świata. Dlaczego? Co się stało? Co to było, że przy każdym

decydującym postanowieniu każdy brytyjski mąż stanu czynił rzecz niewłaściwą z tak nieomylnym instynktem?

Przyczyny tego należy szukać w fakcie, że cała pozycja klasy posiadającej od dawna przestała być usprawiedliwiona. Ci ludzie usadowili się tu, w samym środku olbrzymiego Imperium i sieci interesów rozgałęzionych po całym świecie, obracując procenty i zyski i wydając je — na co? Słusznie twierdzono, iż pod wieloma względami łatwiej było żyć w Imperium Brytyjskim jak poza jego obrębem. Wszelako, rozwój Imperium nie przedstawiał się kwitnąco, Indie drzemały w średniowieczu, Dominia wiały pustką, lecz nie dawały dostępu cudzoziemcom, sama Anglia zaś świeciła bezrobociem i ohydny miarą swych ubogich dzielnic. Tylko pół miliona osób, tych którzy posiadają wiejskie rezydencje, wyraźnie korzystało z istniejącego ustroju. Ponadto, skłonność małych przedsiębiorstw do zlewania się w duże, pozbawiła zajęcia coraz więcej przedstawicieli klasy posiadającej, tak że stawali się li tylko *właścicielami*, za których pracowali płatni technicy i zarządzający. Od dawien dawna istniała w Anglii warstwa ludzi całkowicie bezczynnych, utrzymujących się z kapitałów, których lokata ledwo im była znana, «próżnujący bogacze», których fotografie mógłby oglądać w tygodnikach «*Tatler*» i «*Bystander*», gdybyś przypadkiem miał na to ochotę. Egzystencja ich nie dawała się żadną miarą wytłumaczyć. Byli po prostu pasorzytami, z których społeczeństwo miało jeszcze mniejszy pożytek, niż ma pies ze swoich pcheł.

W roku 1920 wielu ludzi zdawało sobie sprawę z tego wszystkiego. W 1930 miliony zdawały sobie z tego sprawę. Ale widocznie brytyjska klasa kierownicza nie chciała przyznać się sama przed sobą, że jej rola się skończyła. Inaczej, członkowie jej musieliby abdykować. Nie było mowy o tym aby stali się bandytami, tak jak amerykańscy milionerzy, którzy czepiają się świadomie niesłusznych przywilejów i zwyciężają opozycję przekupstwem i łzawiącymi bombami. Bądź co bądź, należeli do klasy, mającej pewną tradycję, byli wychowani w szkołach, w których obowiązek umierania, w razie potrzeby, za ojczyznę, stawiano jako najpierwsze i najszczytniejsze z przykazań. Musieli *czuć się* prawdziwymi patriotami, nawet wtedy gdy ograbiali swoich współziomków. Jasne jest, że pozostawało im tylko jedno wyjście — pogrążenie się w głupocie. Mogli utrzymać istniejący porządek jedynie przez to, że nie byli w stanie pojąć możliwości jakiejś poprawy. Zadanie, którego się podjęli, przedstawiało sporo trudu, podolali mu głównie dla tego że, utkwivszy wzrok w przeszłości, nie chcieli zauważyć zmian pojawiających się dookoła.

Wiele z tego co dzieje się w Anglii, znajduje wytłumaczenie w owej postawie klasy kierowniczej. Tłumaczy ona upadek życia wiejskiego, spowodowany fałszywym feudalizmem odstręczającym inteligentniejszych pracowników rolnych, którzy

przenoszą się do miasta. Tłumaczy zaskorupiałość arystokratycznych internatów (Public Schools), które pozostały niemal takimi, jakimi były temu lat sześćdziesiąt. Tłumaczy wojskową niekompetencję, raz po raz zdumiewającą świat. Od połowy zeszłego stulecia, każda wojna, w którą wdała się Anglia, rozpoczęła się szeregami klęsk, po których sytuacja została wyratowana dzięki ludziom o względnie niskim stanowisku społecznym. Wyższe dowództwo, wywodzące się z kół arystokratycznych nie mogło nigdy unowocześnić metod prowadzenia wojny gdyż, przez to samo, ci gentlemeni zmuszeni byłiby przyznać, że świat się odmienił. Uporczywie trwali przy swych zaśniedziałych metodach i przestarzałym sprzęcie, ponieważ wydawało im się, że każda nowa wojna musi być powtórzeniem poprzedniej. Do wojny z Burami szykowali się jak na wojnę z Zulusami, przed 1914 r. — jak na wojnę z Burami, zaś do ostatniej wojny zbroili się jakby szło o rok 1914. W Anglii, aż do tej chwili, setki tysięcy ludzi odbywa ćwiczenia z bagnetem, bronią zdadną jedynie do otwierania puszek z konserwami. Warto zauważyć, że marynarka i — w ostatnim czasie — lotnictwo, okazały większą sprawność i wydajność niż wojsko lądowe. Bo też marynarka częściowo tylko wchodzi w zasięg działania klasy kierowniczej, którą nie już prawie nie łączy z lotnictwem. Dopóki życie płynęło spokojnie, przyznać należy że poczynania brytyjskiej klasy kierowniczej wychodziły jej raczej na dobre. Społeczeństwo otwarcie tolerowało swoją elitę. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o niesprawiedliwym ustroju Anglii, był to, bądź co bądź, kraj nie rozdarty walką klasową i nie nawiedzany tajną policją. Imperium zażywało spokoju, jakiego nigdy nie doznał jeszcze żaden obszar o podobnym rozmiarze. Na całych tych olbrzymich, równających się nieomal ćwierci globu przestrzeniach, było mniej uzbrojonych ludzi, niż odpowiadałoby to wymaganiom któregoś z mniejszych państw bałkańskich. W roli zwierzchników — z punktu widzenia czysto liberalnego i, rzec można, *negatywnego* — przedstawiciele brytyjskiej klasy kierowniczej mieli swoje dodatki strony. Byli więcej wariaci od prawdziwie nowoczesnych ludzi: hitlerowców i faszystów. Ale od dawna stało się oczywiste, iż okażą się bezradni wobec jakiegokolwiek poważnej napaści, przychodzącej z zewnątrz.

Nie mogli walczyć przeciwko hitleryzmowi lub faszyzmowi, ponieważ nie byli w stanie tego zrozumieć. Nie potrafili również zwalczać komunizmu, od chwili gdy komunizm stał się poważną siłą w zachodniej Europie. Aby zrozumieć faszizm, musieliby studiować teorię socjalizmu, która wykazałaby im czarno na białym, że system ekonomiczny, na którym opierali się, był niesprawiedliwy, ujemny w skutkach i przebrzmiały. Był to właśnie ten fakt, którego starali się nie dopuścić do swej świadomości. Ustosunkowali się do faszyzmu tak jak generałowie kawalerii z roku 1914 ustosunkowali się do karabi-

nów maszynowych — ignorując go. Po latach najazdów i krwawych łaźni uchwycili tylko to jedno: że Hitler i Mussolini byli wrogo nastroszeni do komunizmu. Wystarczyło to jako dowód, iż *muszą* być życzliwie nastroszeni dla Brytyjczyka, żyjącego z dywidendy od kapitałów. Stąd ten przerażający widok postów konserwatywnych, wiwatujących dziko na wieść ze okręty brytyjskiej, wiozące żywność rządowi republiki hiszpańskiej, zostały zatopione przez samoloty włoskie. Nawet wtedy, kiedy ludzie ci zaczęli pojmywać, że faszyzm jest niebezpieczny, jego wybitnie rewolucyjny charakter, zdolność do olbrzymiego militarnego wysiłku, rodzaj taktyki, którą będzie się posługiwał — wszystko to przechodziło ich wyobrażenie. W czasie wojny cywilnej w Hiszpanii, każdy człowiek uświadomiony politycznie, choćby na podstawie wiedzy, zaczerpniętej z broszury za sześć pensów o socjalizmie, zdawał sobie sprawę z tego, że o ile Franco wygra, rezultat jego zwycięstwa przyniesie Anglii strategiczną klęskę. Jednakże, generałowie i admirałowie, którzy spędzili życie na studiowaniu sztuki wojennej, nie mogli się w tym połapać. Ten brak myśli politycznej zaznacza się w całym życiu publicznym Anglii, chorują nań gabinety ministerialne, ambasadorowie, konsulowie, sędziowie, członkowie trybunału, policjanci, Policjant aresztujący «czerwonego» nie rozumie teorii, które głosi «czerwony», gdyż inaczej jego własna rola straży przybocznej klasy posiadającej, wydawałaby mu się mniej pożądana. Istnieją dane, aby przypuszczać, że nawet wywiad wojskowy przedstawia się beznadziejnie, gdyż działalność jego jest skrepowana nieznaną doktryn ekonomicznych, oraz brakiem orientowania się w rozgałęzieniach stronnictw ruchu podziemnego.

Brytyjska klasa kierownicza nie myliła się całkowicie, sądząc że faszyzm jest po jej stronie. Faktem jest iż, jeśli nie chodzi o Żyda — każdy bogaty człowiek może mniej obawiać się faszyzmu, jak komunizmu lub demokratycznego socjalizmu. Nie powinno się nigdy zapominać o tym, ponieważ prawie cała niemiecka i włoska propaganda usiłowała zamaskować tę prawdę. Instynkt wrodzony ludziom takim jak Simon, Hoare, Chamberlain itp. nakłaniał ich do dojścia do porozumienia z Hitlerem. Ale — i tu wchodzi w grę osobliwa właściwość społeczeństwa angielskiego, o której wspominałem, owo głębokie poczucie narodowej solidarności — mogli byli tak postąpić jedynie przez zaprzepaszczenie Imperium i wydanie własnych braci na dół pół-niewolniczą. Prawdziwie zgangrenowana klasa uczyniłaby to bez wahania, tak jak we Francji. Ale w Anglii nie poszło aż tak daleko. W angielskim życiu publicznym trudno znaleźć polityków, którzy by wygłaszali upadające mowy na temat «obowiązku lojalności w stosunku do naszych zdobywców». Miotani wątpliwościami wobec konieczności wyboru pomiędzy swoimi dochodami a zasadami, ludzie w typie Chamberlain'a nie mogli uczynić nic innego, jak sprzeniewierzyć się obu tym światom.

Próbnym, że angielska klasa kierownicza jest dość zdrowa *moralnie*, jest to, że zawsze w czasach wojny przedstawiciele jej raczej chętnie nadstawiali głowy. Rozmaiti książęta, hrabiowie i Bóg wie kto jeszcze zostali zabici podczas ostatniej kampanii we Flandrii. Nie mogłoby się to zdarzyć, gdyby ci ludzie byli tymi cynicznymi łajdakami, za jakich niekiedy uchodzą. Trzeba starać się zrozumieć ich pobudki, inaczej nie podobna przewidzieć ich uczynków. Można spodziewać się po nich nie zdrady lub fizycznego tchórzostwa, ale głupoty, bezwiednego sabotażu, nieomylnego instynktu co do posunięć błędnych. Nie są źli, lub przynajmniej niezupełnie źli, są po prostu niepoprawni. Jedynie kiedy utracą majątek i władzę, najmłodszy pośród nich zacząłby pojmywać w którym stuleciu żyją.

5

Stagnacja, w którą Imperium pogrążyło się w okresie pomiędzy dwiema wojnami, dotknęła każdego w Anglii, ale odbiła się bezpośrednio zwłaszcza na dwóch ważnych kategoriach ludzi stanu średniego. Jedna to militarna, imperialistyczna burżuazja, złożona z tzw. Blimpów, druga — lewicująca inteligencja. Emerytowany pułkownik o karku byka i zdrobniałym mózgu dinosaura, pyszałkowi intelektualista z swym wypukłym czołem i łodygowatą szyją — te dwa pozornie wrogie, symbolicznie sprzeczne typy — połączone są duchowym węzłem i wciąż oddziałują na siebie, w każdym razie, w znaczonej mierze, wywodzą się z tego samego pnia. Trzydzieści lat temu klasa Blimp'ów traciła już swoją żywotność. Mieszkańskie rodziny, sławione przez Kiplinga, płodne, bezpretensjonalne rodziny, których synowie służyli w wojsku i marynarce i roili się po lądach i morzach od Yukonu aż do Irrawaddy; te rezerwy zmarniały przed 1914 rokiem. Wykończył je telegraf. W kurczącym się świecie, coraz to bardziej rządzonej z Whitehall'u, pole do indywidualnej inicjatywy malało z każdym rokiem. Ludzie tacy jak Clive, Nelson, Nicholson, Gordon nie znaleźliby sobie miejsca w nowoczesnym Imperium Brytyjskim. Około 1920 r., niemal każda piędź kolonialnego Imperium znajdowała się w szponach Whitehall'u. Dobrze myślący, przeciwilizowani ludzie w ciemnych garniturach i czarnych, filcowych kapeluszach, z starannie zwiniętymi parasolami, zapoglądali na świat Nigerii i wyspom malajskim, Mombasie i Mandalay. Dawni budowniczy Imperium zostali zredukowani do roli pisarczyków tonących pod nawałą papierów i biurokratyzmu. W latach dwudziestych, na przestrzeni całego Imperium spotykało się jeszcze starszych urzędników, którzy zaznali szerszych horyzontów, wściekających się bezradnie na zmiany zaszłe w ich oczach. Odtąd, z biegiem czasu, namówienie inteligentnych młodych ludzi na przyjęcie jakiegokolwiek stanowiska w administracji imperialnej, graniczyło z niemożliwością.

I to, co się stało prawdą w świecie urzędowym, okazało się również prawdziwe w handlowym. Wielkie spółki zjadały drobnych kupców. Zamiast puszczać się na awanturnicze handlowanie w Indiach, zasiadało się przy biurku w Bombaju, czy Singapurze. I życie w Bombaju czy Singapurze było teraz nudniejsze i bezpieczniejsze, niż życie w Londynie. Uczucia imperialistyczne pozostały mocne w warstwie średniej, głównie dzięki rodzinnej tradycji, ale posada w administracji Imperium przestała być nęcąca. Jeśli można było unikano tego w jakikolwiek sposób; mało ludzi zdolnych zapuszczało się na wschód od Suez.

Jednakże ogólne osłabienie uczuć imperialistycznych i, poniekąd, moralnego wigoru Brytyjczyków, które zaznaczyło się w latach trzydziestych, było po części dziełem lewicującej inteligencji, która sama, jak narodził, wyrosła ze stagnacji Imperium.

Trzeba pamiętać, że nie ma teraz inteligencji, która by pod pewnym względem nie była «lewicową». Może ostatnim prawnym intelektualistą był T. E. Lawrence. Mniej więcej od r. 1930 każdy, kto odpowiadał mianu «intelektualisty», żył w stanie chronicznej niezgody z istniejącym porządkiem. Żył tak z konieczności, ponieważ w tak zorganizowanym społeczeństwie nie było dla niego miejsca. W Imperium w stanie zastój, które nie rozwijało się i nie rozpadało, w Anglii rządzonej przez ludzi, których głównym atutem była ich własna głupota, być «mądrym» znaczyło być człowiekiem podejrzanym. Jeżeli miałeś ten gatunek mózgu który pojmował poematy T. S. Eliot'a, albo teorie Karola Marxa, wyższe czynniki starały się o to, by nie dopuścić cię na żadne odpowiedzialne stanowisko. Intelektualiści mogli znaleźć sobie pole do działania jedynie w literackich czasopismach i w lewicowych partiach politycznych. Wystarczy przewertować pół tuzina tygodników i miesięczników, aby zapoznać się z umysłowością lewicującej inteligencji angielskiej. Co się natychmiast rzuca w oczy w tych wszystkich pismach, to ich ogólnie negatywna, kłótniwa postawa, stały, kompletny brak jakiegokolwiek myśli konstruktywnej. Trudno doszukać się w nich głębszej treści, poza nieodpowiedzialną krytyką ze strony ludzi, którzy nigdy nie wybili się na kierownicze stanowiska i wiedzą, że nigdy ich nie osiągną. Inną znaną cechą inteligencji angielskiej jest powierzchowność uczuć, przyrodzona ludziom, żyjącym w świecie idei i mającym nikły kontakt z twardą rzeczywistością. Wielu spośród intelektualnych lewicowców występowało jako zdecydowanie zniewieściali pacyfiści aż do 1935 r., ci sami ludzie nawoływali do wojny przeciwko Niemcom pomiędzy 1930-1939 r., i szybko ochłodli, kiedy wojna wybuchła. Poza pewnymi zastrzeżeniami prawdą jest, że ludzie będący najzarliwzszymi «antyfaszystami» w czasie wojny cywilnej w Hiszpanii, byli największymi defetystami w ostatniej. Daje się tu we znaki istotnie ważny fakt,

przejawiający się wśród lewej części angielskiej inteligencji — odcięcie od wspólnej kultury ojczystej.

Angielska inteligencja jest zeuropeizowana, a przynajmniej, chce nią być. Kuchnię swą zapożycza z Paryża, zaś opinie z Moskwy. W kraju, ogarniętym powszechnym patriotyzmem, intelektualisci tworzą rodzaj wysepki myśli heretyckiej. Anglia, to może jedyne mocarstwo, w którym inteligenci wstydzą się własnej narodowości. W kołach lewicowych zawsze uważa się, iż być Anglikiem jest rzeczą nieco uwłaczającą, ludzie ci poczytują sobie za obowiązek wyśmiewać się z wszystkiego co rdzennie angielskie, od wyścigów do puddingu włącznie. Faktem dziwnym, lecz niezaprzeczalnie prawdziwym, jest to, że prawie każdy angielski intelektualista mniej by się wstydził kradzieży skarbonki z pieniędzmi dla biednych, niż stanięcia na baczność w czasie odśpiewania «God save the King». Poprzez wszystkie te krytyczne lata wielu lewicowców podkopywało tężyznę ducha narodu, usiłując szerzyć pogląd na świat, który był czasem wstrętnie pacyfistyczny, czasem gwałtownie prorosyjski, lecz zawsze antyangielski. Nie wywarło to może wielkiego wrażenia, ale z pewnością nie przeszło bez skutku. Jeśli przez kilka lat lud angielski cierpiał na prawdziwy upadek ducha, tak że narody faszystowskie sądziły, że jesteśmy «w dekadencji» i że wojnę mogą wytoczyć bezpiecznie, w pewnej mierze winien jest temu intelektualny sabotaż lewicy. Oba pisma: «New Statesman and Nation» i «News Chronicle» wymyślały na układ w Monachium, ale nawet i one przyczyniły się, że doszło do tego układu. Dziesięć lat znęcania się nad Blimp'ami dotknęło nawet samych Blimp'ów; jeszcze trudniej było znaleźć inteligentnych młodych ludzi, którzy zechcieliby wstępować do wojska. Zważywszy na stagnację Imperium, wojskowy stan średni podpadłby w każdym razie, ale bezmyślna propaganda lewicy przyspieszyła ten proces.

Nie ulega wątpliwości, że w ciągu dziesięciu lat osobiwa postawa intelektualistów angielskich jako czysto negatywnych osobników, li tylko przeciwników Blimp'ów, była wtórnym przejawem głupoty klasy kierowniczej. Społeczeństwo nie mogło ich zużytkować i oni nie zespolili się z nim tak, aby się przekonać, że kraj kocha się «w dobrej i złej doli». Zarówno Blimpowie jak i intelektualiści uważali za pewnik, niemal za prawo przyrody, że patriotyzm i inteligencja nie mogą iść w parze. O ile byłeś patriotą, czytałeś «Blackwood Magazine» i publicznie dziękowałeś Bogu że nie jesteś «mózgowcem». Jeśli byłeś intelektualistą, kpiałeś z flagi angielskiej i uważałeś odwagę fizyczną za barbarzyństwo. Oczywiście, to absurdałne mniemanie nie może się długo utrzymać. Intelektualista z Bloomsbury 1)

1) Dzielnica Londynu, która była przed wojną ośrodkiem lewicowej inteligencji. — (Przyp. tłum.).

ze swym stereotypowym, drwiącym uśmiechem, trąci myszką na równi z pułkownikiem kawalerii. Naród nowoczesny nie może pozwolić sobie na żadnego z tych rarogów. Patriotyzm i inteligencja muszą znowu iść w parze.

6

Jednym z najważniejszych przeobrażeń, którym Anglia uległa w ostatnim dwudziestolecu, jest rozrost stanu średniego w zwyż i w dół. Przybrało to takie rozmiary, że dawna klasyfikacja społeczeństwa na kapitalistów, proletariuszy i drobno-mieszczan utraciła swoje znaczenie.

Anglia jest krajem gdzie własność i potęga finansowa koncentrują się w bardzo nielicznych rękach. We współczesnej Anglii mało kto posiada cokolwiek na własność, z wyjątkiem odzieży, mebli i, ewentualnie, domu. Chłopstwo zanikło od dawna, niezależny właściciel sklepu został wyrugowany, jest coraz mniej drobnych przedsiębiorców. Ale zarazem przemysł nowoczesny jest tak różnorodny i rozgałęziony, że wymaga wielkiego aparatu i nie może rozwijać się bez pomocy mnóstwa zawiadowców, sprzedawców, inżynierów, chemików i techników wszelkiego rodzaju, którzy pobierają dość wysokie płace. Z kolei ci sami przechodzą do wolnych zawodów, tworząc klasę lekarzy, prawników, nauczycieli, artystów itp. Dążeniem postępowego kapitalizmu było zatem rozszerzenie stanu średniego, nie zaś, jak mogło się kiedyś wydawać, wytipienie go.

Lecz jeszcze ważniejsze jest to, że klasa pracująca przejęła się poglądami i obyczajami górnych warstw stanu średniego. Położenie klasy pracującej jest niemal pod każdym względem lepsze, niż lat temu trzydzieści. Przyczyniła się do tego praca związków zawodowych, wynikało to też po prostu na skutek postępów wiedzy technicznej. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że stopa życiowa jakiegoś kraju może podnieść się do pewnych granic, nie pociągając za sobą odpowiedniej zwyżki formalnych zarobków. W pewnej mierze, cywilizacja ratuje się sama przez się. Bez względu na niesprawiedliwy ustrój społeczeństwa, pewne postępy techniczne muszą przynosić korzyść całemu społeczeństwu, ponieważ niektóre udogodnienia należą do wszystkich. Milioner nie może np. oświetlać ulic dla siebie, jednocześnie pozostawiając je w ciemnościach dla innych. Prawie wszyscy obywatele krajów cywilizowanych cieszą się obecnie używalnością dobrych dróg, nieskazoną wodą, ochroną policji, bezpłatnymi czytelniami i, prawdopodobnie, pewnym rodzajem bezpłatnej nauki. W Anglii skąpiono nikczemnie pieniędzy na wychowanie publiczne, jednak głównie dzięki wysiłkom oddanych nauczycieli, poczyniono postępy w tej dziedzinie, zaś czytelnictwo ogromnie się rozpowszechniło. Wzmagają się wciąż liczba bogatych i biednych, którzy czytają te same książki, oglądają te same filmy i wysłuchują tych samych audycji radiowych. Różnice w ich sposobie życia zmniejszyły się

przez masową produkcję taniej odzieży i poprawę warunków mieszkaniowych. Zatrzymując się tylko na wyglądzie zewnętrznym, ubiór bogatych i biednych, szczególnie jeśli chodzi o kobiety, jest o wiele bardziej jednolity niż temu lat trzydzieści, lub nawet piętnaście. Co do sprawy mieszkaniowej, Anglia posiada wciąż nory będące zakałą cywilizacji, lecz w ciągu ostatnich lat dziesięciu zrobił się ruch w budownictwie, głównie dzięki aktywności władz samorządowych. Zbudowany przez magistrat nowoczesny dom, z łazienką i elektrycznym światłem, skromniejszy jest od willi maklera giełdowego, lecz znać, że to ten sam rodzaj domu. Człowiek wychowany w posiadłości miejskiej będzie bardziej zbliżony wyglądem do przedstawiciela wyższej klasy społecznej, niż ten kto wyrósł w norze.

Te wszystkie okoliczności wywołały postęp w zewnętrznej ogładzie, co tłumaczy się także tym, że technika nowoczesnego przemysłu wymaga coraz mniejszego wysiłku mięśniowego, zostawiając ludziom większy zasób energii po skończonym dniu pracy. Lekki przemysł zatrudnia wielu robotników, którzy istotnie mniej pracują fizycznie od doktorów lub kupców kolonialnych. Robotnicy i klasa średnia upodabniają się coraz bardziej gustami, zwyczajami, sposobem bycia i zewnętrznym wyglądem. Różnice wynikłe z niesprawiedliwości społecznej trwają w dalszym ciągu, ale rzeczywiste różnice znikają. «Proletariusz» dawnego typu — nieogolony, bez kołnierzyka, o mięśniach nad-szarpiniętych ciężkim wysiłkiem — istnieje wciąż jeszcze, lecz coraz bardziej znika z widowni; góruje on tylko w okręgach ciężkiego przemysłu północnej Anglii. Od roku 1918 staliśmy się świadkami czegoś, co dotąd nie istniało nigdy na terenie Anglii: wyłonienia się ludzi o nieokreślonej przynależności stanowej. W r. 1910 każdy stwór ludzki na Wyspach Brytyjskich podpadał natychmiastowej «klasyfikacji» na podstawie swego ubrania, manier i akcentu. To się już przeżyło dzisiaj. Tanie samochody i zastępy pracowników przemysłowych w południowych prowincjach wytworzyły nowe mieszczaństwo. Zależków przyszłej Anglii należy szukać w okręgach lekkiego przemysłu i wzdłuż tętnicowych dróg. W Slough, Dagenham, Barnet, Letchworth, Hayes — istotnie, wszędzie na peryferiach wielkich miast — dawna nuta stopniowo przybiera nowy ton. W tych rozległych, nowych dżunglach ze szkła i cegły nie ma już ost-rych kontrastów właściwych dawnemu typowi miasta, z jego norami i pańskimi rezydencjami, albo wsi, na których pańskie dwory graniczą z nędznymi domkami. Rozpiętość dochodów jest znaczna, ale prowadzi się ten sam rodzaj życia na rozmaitych szczeblach, w mieszkaniach kooperatywnych, w domach magistrackich, wzdłuż cementowych dróg, czy też w nagim braterstwie basenów pływackich. Jest to raczej niespokojne, mało kulturalne życie, kręcące się dokoła jedzenia w puszkach, tygodnika «Picture Post», radia i domowego kominka. To cywilizacja, w której dzieci wyrastają z dokładną znajomo-

ścią aparatów magnoelektrycznych i w zupełnej ignorancji Biblii. Do tej cywilizacji należą ludzie, którzy czują się najbardziej swojsko w nowoczesnym świecie i są z tym światem zrośnięci: technicy i lepiej płatni, wyspecjalizowani robotnicy, lotnicy i ich mechanicy, eksperci radiowi, filmowcy, popularni dziennikarze i chemicy, pracujący w przemyśle. Oni to stanowią nieokreśloną warstwę, przy której dawne różnice stanowe zaczynają przyskać.

Ostatnia wojna wypleni większość przywilejów kastowych. Z każdym dniem jest coraz mniej ludzi, którzy by za nimi wdychali. Nie ma obawy o to, aby, z chwilą wejścia na nowe tory, życie w Anglii straciło swój właściwy smak. Nowe, czerwone osiedla powiększającego się Londynu rażą pewną brutalnością, lecz są to objawy zwykłe, jak skoki temperatury w momencie kryzysu. Bez względu na to, jaką formę przybierze Anglia w najbliższej przyszłości, będzie ona mocno przesiąknięta tymi cechami, które podkreśliłem przedtem. Intelktualiści pragnący widzieć ją zrusyfikowaną, doznają zawodu. Uprzejmość, dwulicowość, bezmyślność, szacunek wobec prawa i nienawiść do munduru pozostaną, wraz z puddingiem na szmalcu i mglistym niebem. Jedynie tak wielka klęska, jak długotrwałe ujarzmienie przez obcego wroga, jest w stanie zniszczyć kulturę narodową. Jeśli nawet giełda przestanie istnieć, traktor zastąpi orkę koniem, wiejskie rezydencje przekształcą się na wakacyjne obozy dla dzieci a mecz pomiędzy Harrow a Eton pójdzie w niepamięć — Anglia przetrwa; wieczysty stwór sięgający w przyszłość i przeszłość i — jak wszystkie żywe istoty — mająca dar zmieniania się nie do poznania, a przecież zawsze ta sama.

Tłumaczyła z upoważnienia autora

T. JELEŃSKA.

Kazanie i śmierć Ojca Paneloux

Od chwili wstąpienia do oddziałów sanitarnych, Paneloux nie opuszczał szpitali i miejsc dotkniętych dżumą. Wśród niosących ratunek zajął stanowisko, jakie według niego powinno było przypaść właśnie jemu, to znaczy — naczelne. Nie brakło mu widoków śmierci. I chociaż surowica zasadniczo go chroniła, myśl o własnej śmierci nie była mu obca. Późornie był zawsze spokojny, lecz od tego dnia, w którym długo przyglądał się konaniu dziecka, zmienił się. Na jego twarzy rysowało się wzrastające napięcie. I kiedy powiedział do Rieux z uśmiechem, że w tej chwili przygotowuje krótką rozprawę na temat: «Czy ksiądz może zasięgać porady lekarza?», doktor miał wrażenie, że chodziło o rzecz znacznie poważniejszą, aniżeli to mogło wynikać ze słów Paneloux. Gdy doktor wyraził chęć zapoznania się z tą pracą, Paneloux odpowiedział mu, że ma wygłosić kazanie podczas mszy dla mężczyzn i że przy tej sposobności wyłoży przynajmniej część swoich poglądów.

— Pragnąłbym, aby pan przyszedł, doktorze, temat zainteresuje pana.

Ojciec Paneloux wygłosił swoje drugie kazanie w dzień wielkiego wiatru. Prawdę powiedziawszy szeregi słuchaczy były bardziej przerzedzone, niż w czasie pierwszego kazania. Bo ten rodzaj rozrywki nie przyciągał już swoją nowością obywateli naszego miasta. W trudnych okolicznościach, w jakich miasto się znalazło, nawet słowo «nowość» straciło swój sens. Zresztą większość ludzi, jeżeli tylko nie uciekła zupełnie od obowiązków religijnych lub nie godziła ich z głęboko niemoralnym życiem osobistym, zastąpiła zwykłe praktyki niemądrymi przesadami. Ludzie ci chętniej nosili ochronne medaliki czy też amulety świętego Rocha, niż chodzili na mszę.

Jako przykład można tu przytoczyć zjawisko nadużywania przepowiedni, szerzące się wśród naszych mieszkańców. Na wiosnę, istotnie, oczekiwano z minuty na minutę końca choroby i nikomu nie przychodziło na myśl zapytać drugiego o szczegóły trwania zarazy, ponieważ wszyscy byli przekonani, że nie po-

1) Rozdział z powieści «La Peste» A. Camus'a.

trwa ona długo. Ale w miarę upływu dni zaczął ludzi ogarniać strach, że ta klęska naprawdę nie skończy się nigdy, z drugiej strony ustanie epidemii stało się przedmiotem wszystkich nadziei. I tak oto podawano sobie z rąk do rąk różne przepowiednie wróżbitów lub świętych Kościoła katolickiego. Miejscy drukarze, dostrzegłszy w mig korzyści, jakie można było ciągnąć z tego ślepego pasjonowania się wróżbami, rzucili na rynek liczne egzemplarze tekstów, które krążyły. Widząc zaś, że ciekawość publiczności była nienasycona, podjęli w miejskich bibliotekach poszukiwania wszelkich świadectw, jakich mogła tu dostarczyć podręczna historia, i rozpowszechniali je w mieście. A gdy w historii zabrakło wróżb, zamawiano je u dziennikarzy, którzy przynajmniej w tej materii okazali się równie miarodajni, jak ich przodkowie z minionych wieków.

Niektóre z tych przepowiedni ukazywały się w dziennikach nawet w formie felietonów i były czytane z nie mniejszą zachłannością, niż sentymentalne opowiadania, jakie można tu było znaleźć w czasach zdrowia. Wśród tych przewidywań, kilka opierało się na osobliwych wyliczeniach, do których wchodziła cyfra roku, liczba umarłych i ilość miesięcy przebytych już pod panowaniem dżumy. Inne czyniły porównania z okresami wielkich zaraz w historii, wyluskiwały z nich podobieństwa (nazywane w przepowiedniach stałymi) i, przy pomocy obliczeń nie mniej dziwacznych, starały się wyciągać z nich wskazania, odnoszące się do obecnego nieszczęścia. Ale najbardziej cenione wśród publiczności były bezspornie takie, co w apokaliptycznym języku oznajmiały szereg wydarzeń, spośród których każde mogło być tym, jakie właśnie spadło na miasto i którego złożoność dopuszczała wszystkie wytłumaczenia. Nostradamus i święta Odylia byli zatem codziennie zapytywani o radę, i zawsze z wynikiem dodatnim. Zresztą wszystkie przepowiednie posiadały tę wspólną cechę, że w końcu były pomyślne. Tylko że dżuma się z tym nie liczyła.

Tak więc przesady zastępowały obywatelom miasta religię i dlatego kazanie Paneloux było wygłoszone w kościele zapelnionym zaledwie w trzech czwartych. Gdy Rieux przyszedł, w wieczór kazania, wiatr wciskający się cieniutkimi strumykami powietrza poprzez wahadłowe drzwi, krążył swobodnie wśród zebranych. Rieux usiadł i widział Ojca wstępującego na ambonę w kościele zimnym i milczącym, wśród słuchaczy, składających się wyłącznie z mężczyzn. Paneloux przemawiał tonem łagodniejszym i bardziej rozważnym niż podczas pierwszego kazania, i zgromadzeni zauważyli kilkakrotnie pewne wahanie w jego słowach. Rzecz godna poza tym uwagi: nie mówił już «wy», ale «my».

Jednak zwolna głos jego okrzepł. Zaczął od przypomnienia, że dżuma była wśród nas od długich miesięcy i teraz, gdy znamy ją lepiej widząc tylekroć za naszym stołem lub u węzłowia naszych najdroższych, kroczącą obok nas i oczekującą naszego

przybycia w miejscach pracy, że teraz może lepiej moglibyśmy przyjąć to, o czym mówi nam ona bezustannie i czego w pierwszej chwili zaskoczenia mogliśmy dobrze nie dosłyszeć. To o czym Ojciec Paneloux mówił już w swoim pierwszym kazaniu, na tym samym miejscu, pozostawało prawdą — przynajmniej w jego przekonaniu. Ale być może, że poza tym, jak to się zdarza nam wszystkim — i tu uderzył się w pierś — wypowiedział był te myśli bez miłosierdzia. To jednak, co pozostawało prawdą, to było stwierdzenie, że w każdej rzeczy, zawsze, należy coś zapisać na korzyść. Najokrutniejsza nawet próba jest korzyścią dla chrześcijanina. I właśnie swojej korzyści, jej składników i sposobów osiągnięcia tej korzyści powinien poszukiwać prawdziwy chrześcijanin.

W tym momencie ludzie siedzący wokół Rieux jak gdyby rozparli się pomiędzy oparciami ławek i rozsiedli możliwie najwygodniej. Jedne z obitych skórą drzwi wejściowych zaopotały cicho. Ktoś wstał, by je przytrzymać. Ruch ten na chwilę rozproszył uwagę Rieux, tak że zaledwie dosłyszał Paneloux ciągnącego dalej kazanie. Mówił on, coś w tym sensie, że nie należy podejmować próby wytłumaczenia zjawiska dżumy, ale, że trzeba dążyć do nauczenia się zeń tego, czego można się nauczyć. Rieux zrozumiał niewyraźnie, że według Ojca nie było tu co wyjaśniać. Jego uwaga skupiła się, gdy Paneloux, uniósłszy głos powiedział, że są rzeczy, które można wytłumaczyć sobie sprawiedliwością Boga i są inne, których wyjaśnić w ten sposób nie można. Dobro i zło istnieją niewątpliwie i na ogół z łatwością można zrozumieć różnicę pomiędzy jednym a drugim. Lecz trudność zaczyna się wewnątrz zła. Istnieje na przykład zło pozornie konieczne i zło pozornie beзуżyteczne. Jest Don Juan pogrążony w czeluściach piekielnych i jest śmierć dziecka. Bo jeśli jest rzeczą sprawiedliwą, by rozpustnik został porażony gromem, to nie rozumie się cierpienia dziecka. A doprawdy nie ma na ziemi nic bardziej ważkiego od cierpienia dziecka, grozy jaką to cierpienie pociąga za sobą i przyczyn tego cierpienia, które należy odszukać. W całej reszcie naszego życia Bóg ułatwia nam wszystko i aż do tego punktu religia jest bez zasług. Tu — przeciwnie — Bóg stawia nas u stóp muru. Tak więc jesteśmy pod murami dżumy i to w ich cieniu śmiertelnym należy odnaleźć naszą korzyść. Ojciec Paneloux odmówił sobie nawet użycia łatwizn, które pozwoliłyby mu przeskoczyć ten mur. Mógł z łatwością powiedzieć, że wieczne rozkosze, oczekujące dziecko, były w stanie wynagrodzić jego cierpienie, ale — prawdę mówiąc — on sam nie o tym nie wiedział. Któż ze w istocie mógł zareczyć, że wieczysta radość potrafi wynagrodzić chwilę bólu ludzkiego? Na pewno nie byłyby to chrześcijanin, którego Pan cierpiał ciałem i duszą. Nie, on, Ojciec Paneloux, pozostanie u stóp muru, wierny temu rozdarciu, którego symbolem jest krzyż, twarzą w twarz z cierpieniem dziecka. I może odważnie powiedzieć słuchają-

cym go tego dnia: «Bracia, godzina wybiła. Musi się albo wierzyć we wszystko, albo wszystkiemu zaprzeczyć. A któż z nas śmiałyby zaprzeczyć wszystkiemu?»

Rieux zaledwie miał czas pomyśleć, że Ojciec ociera się o herezję, gdy tamten podjął kazanie z siłą i stwierdzał, że właśnie ten nakaz, to nagie żądanie jest korzyścią chrześcijanina. Jest ono także jego cnotą. Paneloux wie, że wszystko co przekracza pewną miarę cnoty, o jakiej zamierza mówić, razić będzie niemile wiele umysłów, przyzwyczajonych do moralności pobłażliwszej i bardziej klasycznej. Ale religia czasu dżumy nie mogła być religią dni powszednich i jeśli Bóg mógł zgodzić się, a nawet pragnąć, by dusza odpoczywała i radowała się w czasach szczęścia, to w nadmiernym nieszczęściu wymagał od niej ponad miarę. Bóg wyświadcza dziś swym stworzeniom łaskę, pogrążając je w klęsce tego rodzaju, że muszą w niej spełnić największą cnotę, którą jest Wszystko lub Nic.

Sto lat temu, pewien pisarz świecki utrzymywał, jakoby udało mu się odkryć tajemnicę kościoła, twierdził, że nie ma w nim Czyśćca. Rozumiał przez to, że nie ma w Kościele półśrodków i że, zgodnie z własnym wyborem, można być tylko albo zbawionym, albo przeklętym. Według Paneloux twierdzenie takie było herezją, mogącą się zrodzić wyłącznie w duszy rozwiązłej. Czyściec istnieje. Lecz są prawdopodobnie okresy, w których nie należy się zbyt spodziewać tego Czyśćca; są okresy, w których nie można mówić o grzechach powszednich. Każdy grzech jest śmiertelny, a wszelka obojętność zbrodnicza. Wszystko lub nic.

Gdy Paneloux przerwał, Rieux usłyszał wyraźniej w szparach drzwi żalosne wycie wiatru, dmącego na zewnątrz ze zdwojoną siłą. Ale jednocześnie Ojciec głośił dalej, że cnota całkowitej akceptacji, o której mówi, nie może być rozumiana w ciasnym znaczeniu nadawanym jej zwykle, że nie chodzi tu o banalną rezygnację ani nawet o trudną pokorę. Chodzi o upokorzenie takiego rodzaju, gdzie korzący się wyraża na to całkowitą zgodę. Zapewne; że cierpienie dziecka jest upokarzające dla ducha i serca. Ale oto dlatego należy przepoić się nim. Oto dlatego — i tu Paneloux zapewnił swoich słuchaczy, że to co powie nie łatwo jest wypowiedzieć — tego cierpienia należało pragnąć, gdyż chciał go Bóg. Tylko w ten sposób chrześcijanin nie oszczędzając sobie niczego i nie mając innego wyjścia, może dojść do kresu istotnego wyboru. Wybierze on wiarę we wszystko, by nie być zmuszonym do zaprzeczenia wszystkiemu. I tak, jak poczciwe kobiety, klęczące teraz w kościołach, dowiedziawszy się, że tworzenie się wrzodów jest naturalną drogą wydalania przez ciało zarazków, mówią: «Boże, daj mu wrzody», tak samo chrześcijanin potrafi zdać się na wolę boską, nawet niezrozumiałą. Nie można powiedzieć: «Rozumiem, ale — to jest nie do przyjęcia», lecz, aby dokonać wyboru, trzeba rzucić się w ramiona tej rzeczy nie do przy-

jęcia, która jest nam zaofiarowana. Cierpienie dziecka jest naszym gorzkim chlebem, ale bez tego chleba nasza dusza zginęłaby z głodu duchowego.

Tu przytłumiony ruch, jaki towarzyszył na ogół przerwom w kazaniu Ojca Paneloux, zaczynał stawać się bardziej wyraźny, gdy nagle kaznodzieja z siłą przemówił dalej przybierając taki ton, jakby to on znajdował się na miejscu słuchaczy i zapytał w jaki sposób, w sumie, należało się zachować. Przeczut doskonale, że padnie straszne słowo: fatalizm. Otóż i on nie cofnąłby się przed tym wyrazem, gdyby tylko pozwolono mu dorzucić do niego przymiotnik «czynny». Na pewno — i to podkreślił dobitnie — nie należało iść w ślady chrześcijan z Abisynii, o których mówił dawniej. Nie należało nawet myśleć o upodobnieniu się do tych perskich zadżumionych, którzy rzucali swymi łachmanami w strażników sanitarnych-chrześcijan, błagając głośno niebo o dżumę dla niewiernych, którzy chcieli zwalczać chorobę, zesłaną przez Boga. Ale na odwrót nie należało także naśladować tych mnichów z Kairu, którzy w czasie epidemii ubiegłego wieku, rozdawali komunie trzymając hostię pincetkami, aby uniknąć kontaktu z wilgotnymi i gorącymi ustami, w których mogła drzeć zaraza. I perscy zadżumieni i mnisi grzeszyli jednakowo. Bo gdy dla pierwszych cierpienie dziecka nie liczyło się w ogóle, u drugich, wprost przeciwnie, tak bardzo ludzka obawa przed bólem ogarnęła wszystko. W obydwu wypadkach problem został zreżcznie usunięty. Wszyscy byli głusi na głos Boga. Lecz były i inne przykłady, o jakich Paneloux pragnął mówić. Jeżeli można wierzyć kronikarzowi wielkiej dżumy w Marsylii, tylko czterech spośród osiemdziesięciu jeden zakonników z klasztoru Mercy przeżyło zarazę. A z tych czterech — trzech uciekło. Tak mówili kronikarze, a nie jest ich zadaniem mówienie więcej niżby należało. Ale czytając to, wszystkie myśli Ojca Paneloux biegły ku temu, który pozostał sam mimo siedemdziesięciu siedmiu trupów, a przede wszystkim wbrew przykładowi swoich trzech braci. I Ojciec, bijąc pięścią w krawędź ambony, wykrzyknął: «Bracia moi, trzeba nam być tym, który pozostał!»

Nie chodzi tu o odepchnięcie środków ostrożności, mądrego porządku jaki społeczeństwo wprowadza w zamęt, spowodowaną zarazą. Nie trzeba słuchać tych moralistów, którzy mówią, że należy paść na kolana i poniechać wszystkiego. Należy jedynie kroczyć naprzód, w ciemności, trochę po omacku i starać się czynić dobrze. Natomiast gdy idzie o resztę należy pozostać w miejscu i zdać się na Boga nawet w wypadku śmierci dzieci, i nie szukać pomocy w samym sobie.

Tu Ojciec Paneloux wspomniął o wielkiej postaci biskupa Belzunce podczas dżumy w Marsylii. Przypomniał, że pod koniec zarazy biskup, uczyniwszy wszystko czego powinien był dokonać, i sądząc, że nic więcej nie da się zdziałać, zamknął się z zapasem żywności w swoim domu, który kazał zamurować;

że mieszkańców, uważających go dotąd za swego półboga, uniósł wówczas gniew, jak to bywa z uczuciami, które zwykły odwracać się w chwilach nadmiernych cierpień i, że otoczyli jego dom trupami, aby go zarazić i nawet przerzucali zwłoki przez mury, aby śmierć tym pewniej mogła go osiągnąć. Tak oto biskup wiedziony krańcową słabością, sądził, że udało mu się odciąć od świata zagłady, a tymczasem umarli spadali mu z nieba na głowę. Tak też jest z nami i tu powinniśmy kierować się przeświadczeniem, że nie ma żadnej cichej wyspy w morzu dżumy. Nie, nie ma tu środka. Należy przyjąć gorszące zjawisko klęski ponieważ trzeba wybrać albo nienawiść albo miłość Boga. A któż ośmieliłby się wybrać nienawiść do Boga?

«Bracia moi, — powiedział wreszcie Paneloux, zapowiadając, że streszcza swe myśli, — umiłowanie Boga jest miłością trudną. Jej założeniem jest całkowite wyrzeczenie się siebie samego i pogarda własnej osoby. Lecz tylko ta miłość może zerwać cierpienie i śmierć dzieci, tylko ona może uczynić tę śmierć konieczną, ponieważ nie można jej zrozumieć i ponieważ w takim razie można jej tylko pragnąć. Oto, trudna nauka, jaką chciałem się z wami podzielić. Oto wiara okrutna w oczach ludzkich, lecz decydująca w oczach Boga; oto wiara, do której należy się zbliżyć. Trzeba abyśmy dorównali temu straszliwemu obrazowi. Na tym szczycie wszystko stopi się w jedną całość i wyrówna, prawda wytryśnie z pozornej niesprawiedliwości i krzywdy. To tak samo jak w wielu kościołach południowej Francji zadzumieli śpią od wieków pod kamiennymi płytami chóru, a księża przemawiają ponad ich grobami, zaś głoszona przez nich nauka wytryska z tego popiołu, w którym przecież i dzieci mają swoją cząstkę».

Gdy Rieux wyszedł, gwałtowny podmuch wiatru wcisnął się poprzez uchylone drzwi i chlasnął prosto w twarze wiernych. Wnosił do kościoła zapach deszczu, woń mokrych chodników, pozwalając jeszcze przed wyjściem na ulicę odgadnąć wygląd miasta. Wychodzący przed doktorem Rieux stary ksiądz i młody kleryk z trudem przytrzymywali kapelusze. Nie przeszkodziło to bynajmniej starszemu z nich w komentowaniu kazania. Uznawał on całkowicie zdolności oratorskie Paneloux, ale śmiałość myśli, objawiona przez Ojca, niepokoiła go. Według niego kazanie wykazywało więcej zaniepokojenia niż siły, a ksiądz w wieku Paneloux nie miał prawa być niespokojnym. Młody kleryk, chyłąc głowę, by ochronić się przed atakami wiatru, zapewnił, że widuje często Ojca Paneloux, zna linię ewolucji jego poglądów i wie, że jego rozprawa będzie jeszcze śmielsza i że prawdopodobnie nie uzyska imprimatur.

— Więc jakąż jest jego myśl przewodnia? — zapytał stary ksiądz. Weszli na dziedziniec kościelny, ogarnął ich skowyt wichru, zmuszając młodszego do chwili milczenia. Gdy mógł przemówić, powiedział tylko:

— Jeżeli ksiądz zasięga porady lekarza, wynika z tego sprze-

czność.

Tarrou, słuchając sprawozdania Rieux o kazaniu Paneloux, powiedział doktorowi, że znał księdza, który utracił wiarę w czasie wojny na widok twarzy młodego chłopca z wybitymi oczami.

— Paneloux ma rację, rzekł Tarrou. Gdy niewinność ma oczy wybite, chrześcijanin powinien albo utracić wiarę, albo zgodzić się na wybitego oczu. Paneloux nie chce stracić wiary i dojdzie do samego końca. To właśnie pragnął on wyrazić.

Czy ta uwaga, rzucona przez Tarrou, pozwala choćby na częściowe wyjaśnienie wypadków, jakie potem nastąpiły oraz niezrozumiałego dla otoczenia zachowania się Paneloux? Sami osądźcie.

W kilka dni po kazaniu Paneloux istotnie zajął się przeprowadzką. Był to okres, w którym rozwój choroby powodował w mieście ciągłe zmiany miejsc zamieszkania. I tak samo jak Tarrou musiał opuścić swój hotel, by zamieszkać u Rieux, tak i Ojciec zmuszony był opuścić mieszkanie, wyznaczone mu przez jego zakon i przeprowadzić się do pewnej starszej osoby, chodzącej często do kościoła i nie dotkniętej jeszcze dżumą. W czasie przeprowadzki Ojciec odczuł rosnące zmęczenie i głuchy niepokój. I wskutek tego utracił szacunek swej gospodyni. Bo gdy ta gorąco zachwalała mu zalety przepowiedni świętej Odylii, duchowny okazał lekkie zniescierpliwienie, spowodowane zapewne wyczerpaniem. Cokolwiek czynił później, aby pozyskać sobie choćby życzliwą obojętność starszej damy, wszystko pozostawało bez skutku. Wywarł na niej złe wrażenie. I co wieczór, przechodząc do swojego pokoju zalanego sztydelkowymi koronkami, musiał spoglądać na plecy swej gospodyni, siedzącej w salonie, i unosić ze sobą wspomnienie suchego «dobry wieczór, Ojczec», wypowiedzianego bez odwrócenia głowy. W jeden z takich wieczorów, gdy z ciężką głową kładł się do łóżka, poczuł w pulsach i w skroniach wściekły atak gorączki, tkwiącej w nim już od wielu dni i utajonej.

To, co nastąpiło potem, znane było jedynie z opowiadań jego gospodyni. Zgodnie z przyzwyczajeniem, wstała wcześnie rano. Po pewnym czasie, zdziwiona, że Ojciec dotąd nie wyszedł ze swego pokoju, po wielu wahaniach zdecydowała się zapukać do jego drzwi. Zastała go jeszcze w łóżku, po bezsennej nocy. Czuł ucisk na piersiach i twarz miał bardziej obrzękłą i czerwoną, niż zwykle. Według jej własnych słów, zaproponowała mu uprzejmie zawezwanie lekarza, lecz jej propozycja została odrzucona z gwałtownością, którą uważała za zgoła niewłaściwą. Nie pozostało jej nic innego, jak wyjść z pokoju. Po pewnym czasie ojciec zadzwonił i wezwał ją do siebie. Przeprószył ją za odruch złego humoru i oświadczył, że nie mógł być mowy o dżumie, że w jego wypadku nie było żadnych oznak tej choroby i że chodziło tu o chwilowe zmęczenie. Starsza pani odpowiedziała mu z godnością, że jej propozycja nie

wynikła z zaniepokojenia tego rodzaju, że nie myślała o własnym bezpieczeństwie, spoczywającym w rękach Boga, ale że zatroszczyła się tylko o zdrowie Ojca, za które uważa się częściowo odpowiedzialną. Gdy jednak Ojciec nic więcej nie powiedział, gospodyni — jak opowiadała — pragnąc do końca spełnić swój obowiązek, zaproponowała mu powtórnie zawezwanie lekarza. Ojciec odmówił znowu, dorzucając jednak szereg wyjaśnień, które, według orzeczenia starszej damy, były bardzo zamiatwane. Miała wrażenie, że rozumiała coś, co właśnie wydało jej się niezrozumiałe, a mianowicie, że Ojciec odmawiał porady lekarskiej, gdyż nie było to zgodne z jego zasadami. Wywnioskowała z tego, że gorączka przyćmiła myśli jej lokatora i poprzestała na podaniu mu ziółek.

Zawsze zdecydowana na dokładne wypełnianie obowiązków, stworzonych przez sytuację, odwiedzała chorego regularnie co dwie godziny. Bezustanne podniecenie, w jakim Ojciec spędził cały dzień, uderzyło ją najbardziej. Zrzucił z siebie prześcieradła, to znowu przyciągał je, przesuwając bez przerwy dłońmi po spoconym czole, unosząc się często i próbując zakaszeleć kaszlem zduszonym, ochrypłym i wilgotnym, który zdawał się wyrwać mu płuca. Wydawało się wtedy, że nie jest w stanie wyszarpać z głębi gardła groźących mu uduszeniem tamponów waty. Pod koniec tych ataków opadał bezwładnie w tył z wszelkimi oznakami wyczerpania. A potem unosił się jeszcze do połowy i przez krótką chwilę spoglądał przed siebie utkwivszy wzrok w jednym punkcie z wyrazem nierównie większej gwałtowności niż w czasie poprzedniego podniecenia. Ale starsza dama ciągle jeszcze wahała się czy, sprzeciwiając się choremu, wezwać lekarza. Wbrew wszelkim i bardzo gwałtownym objawom mógł to być zwyczajny atak gorączki.

Jednak po południu spróbowała przemówić do księdza i w odpowiedzi usłyszała kilka niewyraźnych słów. Ponowiła swą propozycję. Ale wówczas Ojciec uniósł się i na wpół się dusząc odpowiedział zrozumiale, że nie życzy sobie wizyty lekarza. Wtedy gospodyni zdecydowała, że poczeka do następnego ranka i że jeżeli stan Ojca nie ulegnie poprawie, zatelefonuje pod numer jaki agencja Ransdoc powtarzała wiele razy co dzień przez radio. Zawsze pilnująca skrupulatnie swoich obowiązków, miała zamiar odwiedzić swego lokatora w nocy i czuć przy nim. Ale wieczorem, po podaniu mu świeżego odwaru z ziół, chciała wyciągnąć się na chwilę, a obudziła się dopiero nazajutrz o świcie. Pobiegła do pokoju.

Ojciec leżał bez ruchu. Po wczorajszej czerwonoci i obrzęku nastąpiło coś w rodzaju zsinienia, tym bardziej widocznego, że twarz była jeszcze pełna. Ojciec wpatrywał się z uporem w wiszący nad łóżkiem żyrandol z różnokolorowych szkiełek. Przy wejściu starszej damy zwrócił ku niej głowę. Według tego co gospodyni opowiadała, mogło się wydawać, że bito go przez całą noc i że nie miał już zupełnie sił do jakiegokolwiek

reakcji. Zapytała go jak się czuje. Odpowiedział głosem, którego dźwięk dziwnie obojętny utkwiał jej w pamięci, że czuje się źle, że nie potrzebuje lekarza i że wystarczy przewiezienie go do szpitala, tak aby wszystko było zgodne z przepisami. Przeszraszona starsza dama pobiegła do telefonu.

Rieux przyszedł w południe. Po wysłuchaniu relacji gospodyni powiedziała tylko, że Paneloux ma rację i że jest już najprawdopodobniej za późno. Ojciec przyjął go z tym samym obojętnym wyrazem twarzy. Rieux zbadał go i był zaskoczony nie odkrywszy żadnego symptomu dżumy zwykłej czy płucnej, chyba że za taki można było uważać zaflegmienie i ucisk w płucach. W każdym razie puls był tak słaby a stan ogólny tak alarmujący, że nie było wiele nadziei.

Nie dostrzegam żadnych zasadniczych objawów choroby, powiedział do Paneloux. Ale w rzeczywistości wypadek jest podejrzany i jestem zmuszony Ojca odizolować.

Paneloux uśmiechnął się dziwnie, jakby uprzejmie, ale milczał. Rieux wyszedł by zatelefonować i wrócił. Spoglądał na Ojca.

— Zostanę przy Ojcu, rzekł łagodnie.

Tamten jakby ożywił się i zwrócił ku doktorowi oczy, w których jakieś ciepło zdawało się powracać. Po czym przemówił z trudnością, słowo za słowem, w ten sposób, że trudno było dociec, czy mówił to ze smutkiem, czy nie.

— Dziękuję, rzekł. Ale duchowni nie mają przyjaciół. Ulokowali wszystko w Bogu.

Poprosił o krucyfiks, zawieszony u wezłowania i kiedy go dostał, odwrócił się by nań spoglądać.

W szpitalu Paneloux nie odezwał się ani słowem. Poddał się biernie, jak martwy przedmiot, wszystkim zabiegom, ale nie wypuszczał z rąk krucyfiksu. Tymczasem wypadek księdza był nadal podejrzany. Zwątpienie nie opuszczało umysłu Rieux. To była dżuma i nie dżuma. Ona zresztą od pewnego czasu znajdowała jakby przyjemność w płataniu figlów diagnozie. Lecz w wypadku Paneloux dalszy przebieg choroby miał wykazać, że ta niepewność nie miała znaczenia.

Gorączka podniosła się. Kaszel stawał się coraz bardziej rzęśliwy i męczył chorego przez cały dzień. Wreszcie wieczorem Ojciec wypluł duszącą go wate. Była czerwona. W oszostomieciu, spowodowanym gorączką Paneloux zachował swe obojętne spojrzenie i gdy następnego dnia rano znaleziono go bez życia, wychylonego do połowy z łóżka, wzrok jego był bez żadnego wyrazu. Na jego karcie chorobowej zapisano: «Wypadek podejrzany».

Tłum. z upoważnienia autora

Andrzej BOBKOWSKI.

Obrona Justyny

Zenon Ziembiewicz z «Granicy» Nałkowskiej jest synem rządcy folwarku Boleborzy i tam poznaje Justynę Bogutównę, córkę robotnicy dworskiej. Żyje z nią, potem wyjeżdża na studia, a po powrocie żeni się z inną kobietą, jak się to mówi — z dobrego domu — z Elżbietą. Tak każe mu schemat socjalny, w którym Justyna staje się niby przelotnym człowiekiem w jego życiu, tym bardziej nie zobowiązującym, że on jest już burmistrzem, a ona prostą dziewczyną. Justyna jednak kocha i pamięta ciągle. Zenon mimo swego małżeństwa, korzysta z Bogutówny, zdając sobie sprawę z dwu rzeczy. Że miłość Justyny daje mu szczęście, choć dokuczliwe i że ta miłość nie może już być życiem jawnym, prawdziwym — właśnie z owych racji rodzinnych i społecznych. Justyna, nie mogąc sobie poradzić z tym wszystkim, załamuje się i wypala Ziembiewiczowi oczy kwasem solnym. Nałkowska o sprawie śmierci Zenona mówi w zakończeniu powieści tylko tyle, że Zenon po utracie wzroku został przewieziony z kliniki do domu i tu odebrał sobie życie.

«Obrona Justyny» jest próbą przedstawienia procesu, jaki musiał się odbyć w Ziembiewiczu, nim powziął straszną i niesprawiedliwą wobec życia decyzję. Ziembiewicz ściera się tu z dwiema osobami. Z sędzią śledczym którego w powieści nie ma i z księdzem Czerlonem, którego uznałem za jedynego człowieka z «Granicy», uprawnionego do takiej ostatecznej rozmowy o naturze zła, winy i odpowiedzialności za nią. «Obrona Justyny» nie jest teatrem. Jest dialogiem literackim.

W domu Ziembiewicza. Wczesny wieczór. Przez duże okna i szklane drzwi tarasowe jeszcze widać drzewka i pogodne obłoki. Sędzia bardzo życzliwie ściska na powitanie dłoń Zenona. Znajdują się w pobliżu drzwi na taras do ogrodu.

Sędzia: Panie Zenonie, panie Zenonie, cóż tutaj słowa pociechy. Ale niechże pan wie, że wszyscy, że całe miasto jest w tej chwili przy panu. Przy panu i przy pana małżonce. Przy drogiej pani Elżbiecie. Żal — powszechny żal. Niech to chociaż

pana wzmocni. Nasz żal i nasze nadzieje, że może jeszcze, no, że może jeszcze przy staraniach lekarzy —

Zenon: Nie, właśnie to ich orzeczenie ostatnie — ja już nie będę widział. Przecież to był kwas solny.

Sędzia: Ano, wyobrażała sobie, że gdy wpadnie do pana gabinetu i gdy zniszczy panu oczy — to już postawi na swoim. Taki absurdalny rachunek — miasto buduje domy robotnicze, miasto przerywa ich budowę, po wstrzymaniu tej pożyczki — więc winien niby burmistrz. Burmistrz, bez którego nie miałoby nic, literalnie nic. No i od razu plan gotowy — manifestować, a jednocześnie namówić kogoś — niech się zemści za wszystkich. Straszliwa logika dołów. *(Pauza).* Tylko że dochodzenie napotkało w swym toku na pewne sprzeczności. I przyznam się panu, że rozwiązanie ich jest dość trudne. Bo tamta uporczywie milczy i dalej odmawia wszelkich zeznań. Tak jakbym się natknął na jakieś niewiadome, które mi mylą postępowanie.

Zenon: I dlatego jest pan u mnie. Przecież ja to dobrze rozumiem. Niechże pan będzie w tej chwili pełniącym swoje obowiązki sędzią śledczym, a ja nie będę żadnym burmistrzem, żadnym nikim innym, tylko Zenonem Ziembiewiczem. Słucham.

Sędzia: Bo, proszę pana, śledztwo początkowo toczyło się zasadniczo w kierunku wykrycia tych działaczy spośród bezrobotnych, którzy mogli zorganizować i kierować całym napadem tej dziewczuchy. *(Zenon ze zdziwieniem podnosi głowę).* Ale okazuje się, że Bogutówna nie jest i nigdy nie była robotnicą Zarządu Miejskiego. Odpada więc podejrzenie, że to bezrobotna mści się za pozbawienie jej zarobku.

Zenon: Ta sprawa, panie sędzio, nie ma nic wspólnego z moją działalnością publiczną.

Sędzia (mała pauza wypełniona dyskretnym ruchem głowy sędziego): To mi już wiele rzeczy wyjaśnia. Inaczej, poznał ją pan już dawniej — tutaj, w naszym mieście?

Zenon: Jeszcze w Boleborzy. Gdym przyjechał do majątku na wakacje. Na takie studenckie wakacje. I tam się to zaczęło. *(Pauza mówi mocno, jakby tą siłą głosu chciał dodać sobie odwagi).* Justyna została tam moją kochanką. To była córka robotnicy dworskiej. Ale potem wyjechałem. A gdym po skończeniu studiów zaczął pracować w mieście, ona już tu mieszkała.

Sędzia: Czyżby znudziło się jej życie na wsi po tym wszystkim z panem?

Zenon: Nie, przyjechała tu ze swoją chorą matką. A jak ta matka umarła jej w szpitalu, Justyna służyła tu gdzieś. Bo już nie miała nikogo. Przychodziła do mnie — po tym moim powrocie z Paryża.

Sędzia: O, to rzuca już odpowiednie światło na tę Bogutównę. Dlatego proszę, panie Zenonie, rozmawiać ze mną po prostu, tak — między nami. Bo mówi pan o tym tak jakoś, jakby to nie było męską, tajną bo tajną, ale przecież prawie codzienną rzeczą. To tylko takie właśnie jak ona — robią z tego zaraz niby miłość, a zawsze chodzi wiadomo o co. O sytuację własną.

Zenon (z pewnym zdenerwowaniem): Kiedy ona wcale o te rzeczy nie dbała. I sama nie prosiła o nic więcej tylko o pracę. Ale nigdzie, gdziekolwiek się wystarałem o miejsce, nie mogła wytrzymać. Aż zachorowała. *(Pauza).* I wtedy chciała się otruć.

Sędzia: No, ale jakoś żyje. Rozumna dawka. To także, proszę pana, typowe teatralizowanie życia w stadium hysterii —

Zenon (przerwywając, jakby odcinając się): Ta jednak nie gryzie ziemi tylko dlatego, że zdążyłem w sam czas postać lekarza i posadzić koło niej pielęgniarkę. Żeby ją pilnowała. I właśnie kiedy udało jej się wymknąć z domu — wtedy ze mną zrobiła to wszystko.

Sędzia: To jest nie do wiary. Więc pan opiekował się nią do ostatniej chwili? Czyż ona sama nie zdawała sobie sprawy, że pan i ona — to dwa światy, które zejść się nie mogą? No, najwyżej w takiej Boleborzy, w czasie lata, kiedy wiele rzeczy jest usprawiedliwionych. Ale żeby tak zniszczyć, tak odciąć od życia męzczyznę — co za podłość.

Zenon (poruszony jeszcze bardziej): Pan się myli —

Sędzia: No bo, panie Zenonie, gdyby się tak miała kończyć każda dawna kawalerska przygoda, to — między nami mówiąc — ilu z nas nie miałoby oczu. Naprawdę, trzeba być, no trzeba być — urodzoną zbrodniarką.

Zenon (dotknięty do żywego): Pan nie ma prawa tak mówić.

Sędzia: Nie rozumiem pana.

Zenon: To jest tylko moja sprawa. Moja rzecz. W tej sprawie jestem tylko ja! Nie sąd! I nie pan! Nawet cały świat — nie. Tylko — ja! Tylko mój wyrok ważny — niczyj więcej. *(Uderzając w stół).* Tak nie wolno. Nie wol-no!

(W drzwiach staje zaniepokojony ksiądz Czerlon. Już samym sposobem wejścia narzuca swą organiczną ciekawość zła i osobisty tragizm).

Sędzia: Panie prezydencie —

Zenon: Nie sąd! Nie pan! Nawet cały świat — nie! Rozumie pan? Tylko — ja. Ja! *(Chwyta się za oczy).*

Sędzia (wstając): To już dzisiaj nie będziemy rozmawiać. Panie Zenonie! *(Trzęsie ramieniem Ziembiewicza).* No, panie Zenonie! *(Mówi powoli, akcentuje).* P r z e c i e ż t u c h o d z i o u k a r a n i e t a m t e j. *(Do Czerlona).* Dobrze, że ksiądz tu czuwa bez przerwy. Dzisiaj nie będziemy już mo-

gli spokojnie rozmawiać. Niechże go ksiądz uspokoi. *(Żegnając się z Czerlonem, mówi z głęboką troską).* Niechże go ksiądz uspokoi. *(Już przy drzwiach patrzy dłuższą chwilę ze współczuciem na Ziembiewicza. Wychodzi. Dłuższą pauza, w czasie której Czerlon patrzy na Zenona. Podchodzi do niego).*

Zenon (głosem zmęczonym, basowym): Czerlon —

Czerlon (uspakajająco): Jestem koło ciebie. Już poszedł.

Zenon: Otwórz okno. I drugie. I na taras. Bo zdaje mi się teraz ciągle, że jak są okna otwarte, to więcej mam koło siebie spokoju. Ja już nie chcę ludzi. Nie chcę, żeby mi jak psy obwąchiwali moje sumienie. Swoją sprawiedliwością i swoją liścieścią. Jakby mi mogli tę moją krzywdę wyrównać.

Czerlon: Chłopie, musisz przecież to wszystko jakoś uporządkować w sobie. Choćby tylko dla siebie samego załatwić. Żebyś mógł z tym żyć i wytrzymać. Musisz pomyśleć i o tamtym cudzym losie, o losie Justyny.

Zenon: Przez ten cudzy los jestem ślepy. Czy ty to rozumiesz? Nie widzę świata.

Czerlon: Ale teraz może zobaczysz co innego.

Zenon: Ja już ciągle będę widział jedno i to samo. Ostatnim moim obrazem wszystkich rzeczy jakie są, jakie mogą być przez byle kogo widziane, jest dla mnie mała butelka apteczna, którą wyciągnęła wtedy. Z której chlusnęła mi w twarz. Ostatnim moim smakiem widzianego świata — to kwas solny.

Czerlon: Mówisz tak, jakby twoja ślepotą była najważniejszą, najcięższą sprawą, jaka się odbyła w twym życiu.

Zenon (z rosnącą rozpaczą): Bo słuchaj, postaw najcudowniejszą rzecz przede mną — nie zobaczę. Mów, że są już kry — takie wiesz, śliczne kry na wiosnę — białe, z powiatrzem w środku jak z przezroczystymi owocami — nie zobaczę. Mów, że moje dziecko wypiękniało, a ja dalej będę na samym dnie ciemności. To straszne, mieć świat po ciemku.

Czerlon: Może być w tobie jeszcze straszniej, gdy ujrzysz całego siebie. Bo jeszcze tylko to jedno może ci być dane do zobaczenia.

Zenon (zniecierpliwiony): To policz, policz to wszystko razem ze mną. Moje życie tutaj, w tym domu — gruzy. Moje życie tam, cała społeczna robota, by to miasto jakoś podnieść, zagospodarować — gruzy. To com pomyślał, ułożył i przeciw już zaczęł, żeby robotnikom zbudować te domy — gruzy. To wszystko już nie moje. To wszystko — to już ciemność. Moja najostatniejsza krzywda. Dlaczego nie mogłem odrącić od siebie tej dziewczuchy — jak psa? Nie byłoby tego.

Czerlon: Uspokój się. Musisz się ująć w garść, jakoś uciszyć i zastanowić — czy u początku twojej krzywdy nie leży właśnie krzywda Justyny.

Zenon: Przecież Justyna w Boleborzy to zwyczajna męska uciecha z cudzego ciała. Taki był jej początek i sens. I na tym samym miała się skończyć. Nie mów, że to było jakąś tragiczną krzywdą dziewczyny, którą by i tak ktoś inny napoczął. U nich na wsi dzieje się to prędzej i prościej. I zaraz przechodzi. To tylko za mną wlokło się to jak zmora. Aż mnie zniszczyło.

Czerlon: Tkwisz tylko w swoim nieszczęściu, a tamtego nie chcesz dotknąć za nic. Zmierz zło, które ciebie spotkało — ze złem, które uczyniłeś innemu losowi.

Zenon (po malej pauzie, spokojniejszy): Dobrze. Ale cóż to jest to nasze zło? Czy ono się we mnie zaczęło wtedy w Boleborzy, gdym sypiał z Justyną, czy może wtedy, gdym zgodził się w sobie na Elżbietę? Bo już teraz nie wiem, gdzie było moje właściwe miejsce. Kiedy się zło w człowieku zaczyna, tego nigdy nie można spostrzec, a potem staje się za piękne, by je w sobie zniszczyć. Przecież któraś z tych kobiet musi być moim złem, a któraś moim dobrem. *(Pauza).* Tylko że ja może nie umiałem wybrać.

Czerlon: A czy próbowałeś zdać sobie jasno sprawę z tego, która z nich — Justyna czy Elżbieta — jest twoim najprawdziwszym życiem?

Zenon: A co to znaczy najprawdziwsze życie?

Czerlon: To takie, bez którego choćby nie wiem jak było uwierające, nie można się obyć. Będzie niebem ściągniętym między ściany twego domu — nazwiesz je pięknnością. Będzie nawet grzechem, a ty mimo wszystko powiesz, że to twoja najprawdziwsza piękność, najprawdziwsze życie. Które później rzucisz — i to na pewno — odejdziesz od niego w inne, lepsze, ale które kiedyś tam jest twoje i na to nic nie poradzisz. Bo i zło musi mieć swój czas, chociaż ostatecznie minie. Dlaczego odepchnąłeś Justynę?

Zenon: Dlatego, że moją żoną jest Elżbieta, dlatego, że Justyna była moim grzechem.

Czerlon: Tak, ale Justyna właśnie jest twoim najprawdziwszym życiem.

Zenon: Nie, nie chciałem i nie chcę grzechu. Ja i Justyna to tylko sprawa mego i jej ciała. To było zło, które może się zdarzyć, ale którego nie powinno być stale. Zło nie może mieć ciągu.

Czerlon: Zło, rzeczywiste zło zaczęło się wtedy, gdyś myślał, że z nim już skończyłeś. Gdy uznałeś Justynę za nieważną. Zrezygnowałeś, mój drogi, rzecz ciemna musi trwać przynajmniej dotąd, aż ją zmierzysz najprawdziwiej, najstuszniej. Żeby, gdy nazwiesz ją grzechem, była naprawdę grzechem, żeby gdy od niej odejdziesz — była naprawdę sprawą, od której trzeba było odejść i zostawić ją sobie samej. Żeby to jej zniszczenie było

naprawdę konieczne. A ty odszedłeś od Justyny, nie wiedząc, że mogła stać się twoim dobrem. Że jej los — to był jedyny los, który należało uczynić i swoim.

Zenon: Jakże? Przecież chciałem ten mój los wtedy nareszcie uporządkować. Wszystko rozsądnie ustawić w sobie i naokoło siebie. Chciałem, żeby nawet moja miłość była najcelniej wybrana ze wszystkich moich miłości. Żeby była syta od ciała i żeby to był także spokój. Spokój po tej całej psiej, aż zbitej od nieporządku młodości. I dlatego zgodziłem się w sobie na Elżbietę.

Czerlon: I wtedy właśnie zgodziłeś się na swoją nieprawdę, bo Justyna była twoją najmocniejszą miłością, czystym żywiołem miłości, na jaką cię życie skazało. I czas tej miłości nie został jeszcze wyczerpany. To tylko ty z nim skończyłeś, bo wolałeś małą spójność od niewygody życia, bardzo ciężkiej, ale i bardzo pięknej, rozumiesz?

Zenon: Rozumiałem jedno. Że każdy czas jest właściwy, w którym człowiek zechce dobra i że nie trzeba czekać, aż zło się samo wyczerpie.

Czerlon: Czy dobrem nazywasz to wszystko, co uczyniło z losu Justyny najgorsze dno życia, najostatniejsze opuszczenie, prawie obłąd? Bo na to się w ostateczności obrócił ten twój dobry uczynek.

Zenon: Ale ja nie chciałem jej zła. Pomyślałem o tym, żeby jej zabezpieczyć utrzymanie. Której sobie tylko sklep wybrała, żeby tam pracować, wystarałem się zaraz o miejsce. Nie miałaby źle. To przecież prosta dziewczyna.

Czerlon: Nie mów tak. Cierpienie nie omija prostych ludzi. Ani miłość. Może nawet oni bardziej nie mogą dać sobie z nią rady. Nie mów tak. Zdawało ci się, że zapłacisz jej za tę miłość i za to jej cierpienie tym, że będzie mogła zarabiać w sklepiku. I w sklepiku nie zapomina się o dniach, które mogła mieć z tobą i o nocach, które jej odjąłeś. Sam powiedz — jak mogła tam wytrzymać?

Zenon: Więc miałem się zgodzić na to, żeby być z nią — dokąd? Bo Justyna mogłaby trwać we mnie całe lata. Całe lata miałbym męczyć się w środku tej bezustannej zgrozy? Całe lata — żyć takim tymczasowym życiem? Elżbieta dała mi spokój.

Czerlon: Elżbieta dała ci pozór życia i pozór spokoju. Właśnie chroniłeś się w nią jak w spokój, a nie jak w miłość, bo tą miłością dla ciebie była tamta. Więc jakże mogłeś znaleźć ciszę w obcej sobie rzeczy?

Zenon: Co ty czynisz z mego życia, które było? To, które mam teraz — to zimny popiół. To, które miałem — stało na nieprawdzie? Czego ty chcesz ode mnie?

Czerlon: Mów o Justynie. Mów o tamtych z nią wakacjach w

Boleborzy. O tym, jaka była i później — na samym spodzie — ta wasza tajemna miłość —

Zenon (bezradny wobec ataku księdza): Dlaczego każesz mi schodzić na nowo w to wszystko, co mnie zniszczyło?

Czerlon: Bo chcę żebyś zobaczył tę swoją prawdę. Żebyś dotknął i cudzych gruzów.

Zenon (jakby do samego siebie): Moje tajne rzeczy z Justyną? Wtedy, kiedy się działy, to były łaską, jakiej nie zaznałem od nikogo więcej. I były ciągle ważne. Jeszcze przed Elżbietą ji już później. Tylko przecie z tym walczyłem jak z grzechem.

Czerlon: A kiedy przystałeś na Elżbietę?

Zenon: Kiedy się zaczęła ciąża Justyny. Ale ona to dziecko popsuła w sobie.

Czerlon: I to był dopiero początek twego grzechu — to odejście od tamtej dziewczyny, gdy ona miała już tę swoją czarną godzinę. Bo Justyna była twoja. Twoim człowiekiem. Twoim gdy nadeszło na nią to jej nieszczęście. Tylko żeś ty wtedy tego nie zauważył.

Zenon (przebijając się przez chaos myśli): Poczekaj — to znaczy, że mój grzech, to nie tylko to, co się stało przeze mnie z Justyną. Że mój grzech — to i życie z Elżbietą. Bo Elżbieta nie była konieczna. To gdzie jest teraz moje miejsce? Skoro tamto — z Justyną — zniszczyłem, a i to — w tym domu — też już jest nie moje. Powiedz mi — czy tyle zła jest w każdym?

Czerlon: Jest nieraz więcej niż w tobie. Tylko, że ludzie tego nie wiedzą. Nie wiedzą ile waży ich wina. Nawet taka wiesz — powszednia, prawie na oko żadna. (*Podchodzi do drzwi na taras. Mówi w stronę ogrodu.*) Bo gdyby mieli siłę ją zważyć — czy my wiemy — co to jest zbrodnia?

Zenon: Mów głośniej. Coś mówił?

Czerlon (po malej pauzie): Mówiłem o tym, że nie wiemy kim jesteśmy. I że dlatego możemy jeszcze żyć. (*Wraca do Zenona, kładzie mu dłoń na ramieniu.*) I że ostatecznie może tak jest nawet lepiej.

Zenon: Nie, ja nie żyłem nieporządnie. Nie bałem się tego. Że świat jest trudny. Gospodarowałem swoim losem rozsądnie. Zawsze wiedziałem o co mi chodzi. Bo to jest uroda rzeczy. Mieć świadomość, że człowiek powoduje światem jak złym koniem. I tak u mnie było — dopóki się nie zaczęło to wszystko najgorsze z Justyną.

Czerlon: Tak u ciebie było, dopóki nie okazała się twoja krzywda wobec tego świata.

Zenon: No tak, ale obok niej — przecie tylko jednej — robiłem więcej pożytku. Jego suma decyduje w ostateczności o

nas. I ta suma powinna mnie ocalić. Taki tylko rachunek jest sprawiedliwy.

Czerlon: Mylisz się bo my do ostatka nie wiemy — co jest ważniejsze w nas. Co będzie o nas świadczyć. Czy dużo naszego dobra, czy —

Zenon (wyzrywając): Czy co? No mów.

Czerlon: Czy tylko jeden nasz grzech. Bo tak trzeba żyć, jakby każdy mój uczynek miał być ostatnim moim uczynkiem na ziemi. Jakby po każdym uczynku miała już przyjść śmierć. A ja wiem o tym i chcę, chcę ze wszystkich sił postąpić najlepiej, najczystiej. Bo to przecie ma być niby ostatnia sprawa, jaką tu zdążę jeszcze uczynić. To jest straszne, ale tylko w taki sposób można żyć. I jakoś wytrzymać, jakoś znieść siebie. A ty tego nie wzięłeś pod uwagę.

Zenon: Kiedy wystarczy być ze sobą w porządku. W takim zwyczajnym, możliwym dla ludzi porządku. To tylko los obzedł się ze mną tak, jakbym — bo ja wiem — jakby mi chodziło tylko o najgorszy brud. Jakbym był ostatnim łajdakiem. I to właśnie teraz tak się ze mną policzył. Ja nie byłem złym człowiekiem. Rozumiesz, nie byłem. Nie byłem.

Czerlon: Mój kochany, odpowiedzialność za każdą sprawę ponosi się w byle jakim miejscu życia. Bo, widzisz, świat jest moralny i nic go więcej nie obchodzi. Nawet to, że uczyniłeś tyle dobra. Ważne jest — żeś raz uczynił zło. I ono się tylko liczy.

Zenon: Przecie zło czynią wszyscy. Tak już jest. To trzeba wziąć po prostu. Każdy nosi w sobie jakąś winę. I jakoś z nią żyje i jakoś nic z niej nie wynika. A tylko mnie to tak zmarowało.

Czerlon: To nas nie usprawiedliwia, Zenonie, że i ktoś drugi czyni zło. Winę trzeba przeżywać tak, jakbym to ja był jedynym człowiekiem, na którego ona spada. Jakbym tylko ja zgrzeszył. Jakby tylko mnie, rozumiesz, jakby tylko mnie ze wszystkich ludzi na ogromnym świecie groził za to palec boży. Nikomu więcej. Takie być musi przerażenie, że się przeze mnie stała rzecz niedobra.

(Długa pauza).

Zenon (powoli, szukając jeszcze ratunku): Zaraz, a co we mnie jeszcze ocalało? Co tutaj jest jeszcze moje? (*Pauza, złamany.*) Lato, moje śliczne lato w Boleborzy. Lato moje. Obłoki tamte — Justyna — Jus-ty-na —

Czerlon: No widzisz, czasami da się tylko jeden krok za dużo i już się wyminęło dobro i już się jakiegoś tam jednego lata więcej nie odnajdzie.

Zenon: To pokaż mi, to pokaż mi tę granicę, to miejsce życia, do którego tylko można dojść, żeby nie zniszczyć swego i cudzego losu. Człowiek może tego nie wiedzieć.

Czerlon: Kiedy, bracie, tej granicy nigdzie nie dojrzysz, dopóki idziesz przed siebie. Ją dopiero widać, gdy się jest poza nią. Gdy się spełni to zło. Tylko, że wtedy jest już wszystko jedno — czy ma się oczy, czy nie. Bo wtedy widać ją i po ciemku. Może być nią nawet jedna cudza łza. Jakiejś tam Justyny Bogutówny. I taka łza ma już prawo pomsty.

Zenon: Chcesz powiedzieć, że po sile mego nieszczęścia po sile tej kary mam się rozeznąć w sile mojej winy.

Czerlon: Chcę powiedzieć, że kara nawet największa, jest zawsze mniejsza od winy. Kara nigdy nie ma granicy. I nieraz może się wyczerpać dopiero razem z życiem. Może wymagać dla siebie aż tyle miejsca i aż takiej ilości życia. I dopiero wtedy się nasycą. Dopiero wtedy się ucisza.

(Długa pauza).

Zenon (jakby odkrył jakąś prawdę i zamysł, prawie nie swoim głosem): Dopiero wtedy się ucisza — powiadasz? (Pauza). Prawda, ja przecież mam jeszcze życie.

Czerlon: Widzisz — i to jest ocalenie —

(Razem z tym zdaniem, mocny skrzyp odsuwającego fotela Zenona, Zenon wybiega do ogrodu. Za nim Czerlon. Przerazone wołanie Czerlona z ogrodu):

Zenon!
Zenonie!
Ze-no-nie!

K o n i e c.

Tadeusz SUŁKOWSKI.

List do Juana Ramona

*Tam nie było tych sosen z rozżarzonej miedzi,
ni winnic, które ziemia swym potem odurza.
Lecz wieczór szedł tak samo przez znojne podwórze,
w drzwiach domów przystawali spokojni sąsiedzi,
kurzawa podnosiła się na mrocznych błoniach,
chtód ścinał srebrne lustra w ucichłym strumieniu
i pod jabłonią dźwięczała harmonia,
jakby ktoś własną młodość wołał po imieniu.*

*Nie dowołał się nigdy. Po miodowych lipach,
po łąkach, co przed wiekiem tubinem przekwitły,
przewaliła się burza i popiół przysypał
ostatnie ślady wykrwawionej bitwy;
mrok potłukł lustra wody, wiatr bagienną rudą
wypełnił śpiewające usta czystych źródeł,
dzieci rozpędził i wytruł zwierzęta,
wydeptał bujne trawy, zwałił ciężkie zboża.
Czy była jaka walka, dziś już nie pamiętam.
Podniosłem się i idę powoli przez pożar.*

*Wśród nocy, która głosem mordowanych krzyczy,
jakżem mógł wiedzieć, czy unieść podołam
strumień, przez mrok płynący ku wróżebnym ziołom,
gwiazdy wplątane we włosach koniczyń,
poświst derkaczy, wołanie kuropatw,
parskanie ciemnych koni, puszczonej na popas...
Jakżem mógł wiedzieć po tylu rozłękach,
czy, gdy w lęku rozgarnę gęstwinę jaśminów,
szaleństwem świerszczów zadyszana łąka
dotknie mej dłoni i pozna mnie: — Synu!*

Zbyt wiele gniewu, abym mógł z mroku wywołać
 życie w którym niczego nie byłoby oprócz
 lepkich witek brzozowych u młodego czoła,
 gorącej woni konopi i kopru;
 zbyt wiele krwi na stopach, bym w trosce nie wzdychał,
 kiedy ruda od pola podpełźnie ognicha,
 i, patrząc, jak gwiazd rosa na wzniesionym wiośle
 drży, też piekących na dłoniach nie poczuł.
 Noc dawno mnie opadła. Wędruję na oślepie,
 bardziej na głos i dotyk niż na światło oczu.

Aż w którymś dniu epoki kamiennej i głuchej
 przez gęstwę siwych oliw ku morzu się wziętem.
 Od sosen głos dobiegał młodego koniuchy,
 wśród tamaryszków ptactwo ćwierkało wesole.
 Słuchałem. I z doliny srebrzysty osiołek
 nadszedł, na grzbiecie niosąc jeźdźca w czerni;
 ten bardziej zdawał się zwierzęciu, jak powiernik
 i brat niżli poganiacz. Osiołek przystanął,
 uszami strzygł i pyszczkiem ku pęcinom sięgał,
 jakby dziwiąc się, czemu rajskim parafianom
 wchodzi w drogę obdarty i chmurny włóczęga.

Od morza wiatr zawiewał i liściem poruszał,
 siejąc gorący bursztyn przez zielone sita.
 Czarnego uchylwszy grzecznie kapelusza,
 skinieniem głowy włóczęgę-ś powitał.
 Odjechałeś. Patrzyłem długo w ślad Srebronia,
 jak w mgłę słoneczną śmiało się zanurza.
 Ku oczom wzniosłem ręce. Pustkę miałem w dłoniach.
 Spojrzałem wstecz. A już mnie dopędzała burza.

I między powiewami szalonego wiatru,
 co mnie unosił od cichych wybrzeży,
 raz jeszcze ujrzał na jawie i przeżył,
 raz jeszcze serce niepokorne zatrut
 szumem wezbranej rzeki, drżeniem konstelacyj:
 zieloną nocą majową, gdy ptacy
 archaniołom dyktują nuty swych partytur;

złotym oddechem łąki, słoną rosą świtu;
 wszystko, co się popiołem rozwiało po łądach,
 a teraz wstało i w oczy zagląda.

Pod zmierzchem, co łagodził złociste gorąco
 i granatowym cieniem biegł ku jasnym gajom,
 żegnałem długo ziemię w dal odpływającą,
 domy pełne spokoju, ludzi, co nie znają
 innych dróg, oprócz takich, co zawsze zawiiodą
 na pracę i spoczynek. I żegnałem młodość
 niepowrotną, dni, które niczyją jałmużną
 żyć nie chciały, ruszając w walkę nadaremna...

...Zebrałem się. Podniosłem mą laskę podróżną.
 Mrok był dokoła. Mrok był ze mną i przede mną.

Tylko w oczach, jak twarz ukochana pozostał
 ten dzień, kiedyś się z tobą w mej wędrówce minął:
 Wapienna droga w rozpalonych ostach,
 gromady drzew schodzące ku złotym dolinom;
 pożoga świerszczów w cieniu starego figowca
 i skrzyp wozów i wzgórze rozbiegane w owcach;
 niebo rozkwitłe w gwiazdzistych wersetach,
 —niebo, pod którym dzieciom jakże spać bezpiecznie!—
 i na grzbiecie osiołka spokojny poeta,
 wolno odjeżdżający w mrok nocy i w wieczność.

Józef ŁOBODOWSKI

Srebroń i ja (fragmenty)

I. Srebroń.

Srebroń jest maleńki, włochaty, łagodny; grzbiet ma tak miękki, że —zda się— jest cały z waty i bez kości. Jedyne lśniące karbunkuty jego oczu są twarde, jak dwa chrabąszcze z czarnego kryształu.

Gdy puszczam go wolno, biegnie na łąkę, aby, ledwie tykając, pieścić swoim ciepłym pyszczkiem różowe, niebieskie i złociste kwiaty. Wołam go słodkim imieniem Srebroń, więc przybiega do mnie wesółym truchtem, jakby zanosił się śmiechem do wtóru jakimś niewiadomym dzwoneczkom.

Je wszystko co mu daje. Lubi pomarańcze i mandarynki, muszkatełowe winogrona, granatowe figi, obsiane kryształowymi kroplami miodu...

Jest łagodny i figlarny, jak małe chłopię, jak dziewczynka, ale mocny i suchy jak z kamienia. Gdy co niedziela przejeżdżam na nim przez ostatnie uliczki osiedla, odświętnie przystrojeni i powolni wieśniacy zatrzymują się, aby mu się przyjrzeć:

— Jest ze stali...

Tak, jest ze stali. Ze stali i z księżycowego srebra.

VII. Wariat.

Muszę sprawiać dziwne wrażenie, gdy w żałobnej odzieży, z brodą Nazareńczyka i pod czarnym kapeluszem o wąskich skrzydłach cwałuję na szarym grzbiecie Srebronია.

Gdy, kierując się ku winnicom, przejeżdżam przez ostatnie uliczki białe od wapna rozżarzonego przez

słońce, cygańskie chłopaki, smagłe i kudłate, o sprężystych brzuchach, łyskających opalenizną spod zielonych, czerwonych i żółtych tachmanów, biegną za nami, wywrzaskując przeciągle:

— Wariat! Wariat! Wariat!

Przed nami zielone pole. Wobec bezbrzeżnej czystości nieba, gorejącego ciemno-sinym płomieniem, moje źrenice — jakże dalekie od mego słuchu! — otwierają się godnie, aby przyjąć tę nienazwaną ciszę, ten harmonijny spokój boży, który zaludnia bezkres horyzontów.

Gdzieś bardzo daleko za nami zostały ostre wrzaski, urywane, zdyszane, nużące...

— War... iat! War... iat! War... iat!

X. Księżyc.

Srebroń skończył pić przy studni dwa wiadra wody pełnej gwiazd i, powolny i zamyślony, powraca do stajni wśród wysokich słoneczników. Oczekiwałem go we wrotach, oparty o pomalowaną wapnem futrynę i porażony w ciepłym aromacie heliotropów.

Nad dachem okrytym wrześnie wilgocią drzemato dalekie pole, od którego dochodziła mocna woń sosen. Wielka czarna chmura, jak olbrzymia kokosz, co składa złote jaja, złożyła księżyc na wzgórzu.

Powiedziałem do księżycyca:

...Ma sola

ha questa luna in ciel, che da nessuno
cader fu vista mai se non in sogno...

Srebroń przypatrywał się uważnie i z chrzęstem strzygł jednym uchem. Zdumiony i zachwycony spogląda na mnie i strzygł drugim....

XIV. Zabawy o zmierzchu.

Gdy o zmierzchu Srebroń i ja zziębnięci wkraczamy do osiedla przez granatowy mrok nędznej uliczki, wychodzącej na wyschniętą rzekę, biedne dzieci bawią się, udając żebraków, aby się straszyc nawzajem. Jedno wciąga sobie worek na głowę, inne mówi, że nie widzi, jeszcze inne udaje kulawego....

Następnie, przerzucając się w drugą ostateczność, tak właściwą dzieciństwu, każde z nich, jako-że ma ubranie i parę butów i ponieważ matki dały im jeść — tylko one jedne wiedzą, jakim cudem! — każde z nich uważa się za księcia:

— Mój ojciec ma srebrny zegarek.

— A mój ma konia.

— A mój fuzję.

Zegarek, co poderwie z łózka o świtanu, fuzja, co nie zabije głodu, koń, co zawiezie w ubóstwo.

Oczywiście, tworzy się korowód. W gęstym mroku jakaś dziewczynka o głosiku słabym, jak nitka przezroczystego szkła świecąca w cieniu, śpiewa pewna siebie, niby prawdziwa księżniczka:

Ja jestem wdówka
po hrabim de Oré...

Tak, tak! Śpiewajcie, śnijcie, nędzarskie dzieci! Wkrótce, gdy wasze dzieciństwo skłoni się ku zmierzchowi, wiosna was przerazi jak żebrak w zimowej maskaradzie.

— Chodźmy, Srebroniu...

XVII. Zimny strach.

Księżyc płynie wraz z nami, okrągły, wielki i czysty. Na drzemiących polach, wśród tarnin widać niewyraźnie jakieś czarne kształty... Ktoś milczący ukrywa się przy naszym przejeździe. Za murem olbrzymie migdałowe drzewo całe w śniegu kwiatów i księżycy, zmieszane z białym obłokiem, przestania drogę rozśpiewaną gwiazdami przedwiośnia... Przenikliwa woń pomarańczy... Wilgoć i milczenie... Prawdziwa okolica czarownic...

— Srebroniu, jakże... zimno!

Srebroń, opanowany, nie wiem, przez mój strach, czy przez swój własny, zrywa się truchtem, wkracza do strumienia, depcze po księżycu i rozbija go w kawałki. Jest tak, jakby gęstwa jasnych róż z kryształu oplątała mu kopyta, chcąc go zatrzymać w tym biegu...

A przestraszony Srebroń śpieszy się i cwałuje w górę po zboczach, już czując łagodne ciepło zbliżającego się osiedla...

XVIII. Ona i my.

Srebroniu, czy to nie ona odjeżdżała — dokąd? — w tym czarnym i długim pociągu, co po wysokim nasypie, ginącym wśród białych obłoków, uciekał ku Północy?

Znajdowałem się wraz z tobą na dole, wśród żółtego, falującego zboża, zbroszonego we krwi maków, które lipiec już obsypywał popiołem. I chmurki niebieskiej pary — czy pamiętasz? — zasmucały na chwilę słońce i kwiaty, nadaremnie płynąc ku nicości...

Jasna głowo, cała w czerni, coś przemigęła! Była jak portret złudzenia w przelotnych ramach okna.

Być może, pomyślała: — I któż to jest ten człowiek w żałobie i ten osiołek ze srebra?

I kimże mamy być? My, jesteśmy my... nieprawdaż, Srebroniu?

XX. Asnografia.

Czytam w jakimś słowniku: «Asnografia: s. f.: określenie ironiczne opisu osła».

Biedny osioł! Taki zacny, taki szlachetny, taki roztropny! Ironiczne... Dlaczego? Nie zasłużyłeś nawet na poważny opis, ty, którego opis prawdziwy byłby bajką o wiośnie? Przecież człowieka, jeśli jest dobry, powinno się nazywać ostem! Przecież osła, jeśli jest zły, powinno się nazywać człowiekiem. Ironiczne... I to o tobie, prawdziwy mędrze, przyjacielu starca i dziecka, strumyka i motyla, słońca i psa, kwiatu i księżycy, cierpliwym i myślącym, melancholijny i uprzejmy, Marku Aureliuszu pastwiska...!

Srebroń, który naturalnie rozumie wszystko, wbija we mnie uważnie swoje błyszczące oczyska, twarde i łagodne, w których iskrzące słońce świeci jak na maleńkim i wypukłym, czarnym firmamencie. Ach, gdybyż jego idylliczna, włochata łepetyna wiedziała, że w tej

chwili oddaję mu sprawiedliwość, że jestem lepszy od tych ludzi, co układają słowniki, że jestem prawie tak dobry jak on!

Więc napisałem na marginesie książki: «Asnografia: s. f.: powinno się mówić ironicznie — oczywiście! — o opisie głupiego człowieka, który układa słowniki».

LXVIII. Melancholia.

Tego popołudnia poszedłem z dziećmi na grób Srebronia, znajdujący się w ogrodzie zwanym Pina u stóp macierzystej sosny. Dokoła kwiecień ozdobił ziemię kielichami wielkich, żółtych kosaćców.

U góry w zielonej kopule i w błękitie zenitu śpiewały sikorki; ich drobny trył, kwiecisty i śmiejący się, rozlegał się w złocistym powietrzu ciepłego popołudnia, jak czysty sen o nowej miłości.

W miarę tego, jak zbliżaliśmy się, dzieci przestały krzyczeć i hałasować. Poważne i spokojne, utkwivszy błyszczące oczy w moich oczach, zadawały mi pędliwe pytania.

— Przyjacielu Srebroni! — powiedziałem do pagórka ziemi: — Jeśli, jak sądzę, jesteś teraz na tacie niebieskiej i wozisz na swoim włochatym grzbiecie podrastające Anioły, być może, już o mnie zapomniałeś? Powiedz, Srebroni, czy pamiętasz jeszcze o mnie?

I, jak gdyby odpowiadając na moje pytanie, niepozorny biały motyl, którego dotąd nie dostrzegłem, zaczął przelatywać uporeczywie z kosaćca na kosaćca, zupełnie jak czyjaś duszyczka...

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

Galeria obrazów

Kiedy znalazłem się w salach oczyszczonych obrazów doznaniem olśnienia.

Gdy zdjęto z nich hipokryzję werniksu, płótna Rubensa i Veroneza stały się jaśniejsze i śmielsze w swych zestawieniach kolorystycznych od płócien Matisa.

Pomimo tego, że wrażliwy malarz, oglądając obrazy pożółkłe, mógł zawsze wyczuć ich prawdę kolorystyczną, ukrytą pod żółtą skorupą, nagle zobaczenie oczyszczonych obrazów jest wielkim przeżyciem.

Malarstwo wszystkich czasów było zawsze malarstwem kolorowym, ta prawda raz jeszcze została potwierdzona.

Kiedy stojąc przed obrazem Rubensa patrzyłem się na wielkie, czysto niebieskie plamy nieba, nie imitujące niczego, ale działające wprost swą czystą niebieskością na moje oko, odzulem jak potężną siłą jest kolor.

Przypomniały mi się nagle obrazy Zygi Waliszewskiego. Stał się on dla mnie w tej chwili bliski wielkiemu Rubensowi.

Ten skromny polski malarz, odważnym wysiłkiem całego swego życia, potrafił zbliżyć się do wielkiej i wspaniałej tajemnicy jaką jest KOLOR.

Zaraz po wyjściu z sal oczyszczonych obrazów natknąłem się na kopistę, który siedział skurczony w kącie i pracowicie imitował żółty werniks i brud, którymi był pokryty obraz wiszący przed nim na ścianie.

Prawda kolorystyczna była mu zupełnie obojętna. Cała jego uwaga była pochłonięta żółtością i muzealnością, była ona dla niego synonimem czcigodności i jakimś nieosiągalnym ideałem.

Rozkoszował się kurzem, który zakrył potencjalność obrazu i zgasił jego niebezpieczną siłę.

Zatrzymałem się koło tego człowieka.

W tej chwili przebiegła koło nas dziewczyna bez pończoch, obcasy jej mocno stukwały o podłogę, a białe nogi miały niebiesko-fioletowe odcienie.

Kopista powoli odwrócił głowę.

Zobaczyłem, że oczy jego były mętne i jakby niewidzące.

— Kultura to żółty sos, wyszeptał cicho i odwrócił się z po-

wrotem do ściany.

Odchodząc, zauważyłem pod ścianą cały stos kopij, wykonanych przez tego pracowitego malarza. Były one przeznaczone do wysyłki na prowincję. W celu szerzenia «przyćmionej kultury».



Przedemną była otwarta wielka perspektywa sal, z daleka zbliżała się do mnie gromada ludzi.

Posuwali się w podskokach, robiąc różne dziwne gesty.

Jedni stawali na głowach, inni starali się schwycić prawą ręką lewą piętę.

Wyglądało to tak, jakby chcieli za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę.

Okazało się, że są to malarze za wszelką cenę współcześni.

Kobieta w spodniach, siedząca na głowie mężczyzny w okularach mówiła szybko:

«Malarstwo naprawdę współczesne polega przede wszystkim na odzwierciadlaniu, ale nie tego co uderza nasz wzrok, ale tego czego dowiadujemy się z gazet».

«Zatarg w łonie Narodów Zjednoczonych wyraża się za pomocą bladego-różowych i jasno-niebieskich zestawień z czerwonymi akcentami w środku, a niewłaściwe zachowanie się biskupów podczas ostatniej dekady odzwierciadla czarna kreska w połączeniu z ciemnym fioletem».

«Wstecznicy tworzą swoje obrazy na podstawie obserwacji świata za pomocą oczu, ale to przestarzała metoda».

«Drzewa i kwiaty istnieją tylko dla prostaków, my współcześni odczuwamy tylko abstrakcyjne pojęcia za pomocą naszych powiększonych i wrażliwych uszu».

«Oczy są nam niepotrzebne!»

«Racja», zawołał wysoki i chudy człowiek z rozwianymi włosami.

Był to, jak się później dowiedziałem, nowy Towiański.

«Nie wolno jest patrzeć się na świat który nas otacza, — wołał — niebo, ziemia i woda to raj utracony».

«Nasze ponure zbrodnie zasłoniły wszystko czarną kurtyną, nie wolno jej uchylać».

«Oślepnijmy się dobrowolnie, to jedyna droga do odzyskania prawa do patrzenia na świat w dalekiej przyszłości».

«Obecnie, musimy oddać się całkowicie na usługi współczesności, to znaczy tworzyć obrazy bezpośrednio z pojęć, pomijając stronę widzialną».

«Takie obrazy będziemy przykładać wprost do siebie jak plastry, będą one palić nasze ciała i podniecać nasze bezsilne nienawiści».

Ktoś stanął na przyniesionej pace od mydła wołając:

«Musimy zdusić i zgniebić tę siłę nieokiełznaną, która jest w nas i która wymyka się spod kontroli naszego rozumu».

«Żądam racjonalnego, praktycznego malarstwa à la mode du jour».

Ktoś inny zaczął wdzierać się na pakę spychając mówcę.

Wszczął się zamęt, paka z trzaskiem załamała się, tuman kurzu zasłonił wszystko, ludzie się gdzieś rozbiegli, zostałem sam.

Ale już za chwilę na progu ukazała się nowa gromada, byli to ludzie poprzebierani w cudze ubrania.

Przebiegali od obrazu do obrazu jęcząc cicho i jakby przyciągani jakimś potężnym magnesem przyklepiali się do powierzchni płócien całymi gromadami.

Odrywali się z trudem, aby za chwilę przylgnąć bezradnie do jakiegoś nowego płótna.

Były to ofiary swojej własnej wrażliwości. Obrazy, które podobają się im najwięcej, przyciągały ich najmocniej, rozplaszczając biedaków zupełnie na swych czarujących powierzchniach.

Obrazy Picassa były po prostu pokryte czarną, ruszającą się masą, wyglądało to strasznie.

Chyba są to eklektycy — pomyślałem — muszą być bardzo wrażliwi na ideje, które powstały w cudzych głowach.

Odczuwając całe ich piękno, chcieliby posiadać je, nie zdając sobie sprawy, że idee zrealizowane można tylko oglądać z daleka.

Chciałem otworzyć okno i wypuścić tych zgłodniałych w świat widzialny, pełen nieograniczonych możliwości wynajdywania nowych idei, ale okno było szczelnie zamknięte i zabite gwóźdźkami, a szyby pokryte gęstą drucianą siatką.

Zawiązałem sobie prawą ręką chustką i chciałem rozbić tę zakopconą szybę, ale w tej chwili podskoczyło do mnie paru woźnych. Otoczyli mnie szczelnie dokoła, wykręcili moje ręce w tył i wyprowadzili z sali.



Kiedy w parę dni potem powróciłem do Galerii, zatrzymałem się w szatni i pozostawiłem wszystko czym byłem obarczony.

Największą ulgę sprawiło mi pozbycie się wszystkich przesądów o malarstwie.

Kiedy wszedłem do wielkich sal, mogłem przyglądać się obrazom w taki sam sposób, jak kobietom, które mijałem.

Niektóre były ładne i patrzeć na ich wdzięczne postacie sprawiało mi przyjemność.

Ale dopiero po przejściu wielu sal, gdzieś na końcu Galerii zostałem oczarowany nagłym zjawiskiem. Była to kobieta w białej sukni w kwiaty, siedząca na fotelu. Prawa jej ręka lekko wspierała głowę. Za nią było lustro ciemne i głębokie, a w nim odbicie jej profilu potężne i przejmujące swą prostotą.

Kiedy podszedłem bliżej, przekonałem się że była to pani Moitessier namalowana przez Ingresa.

Cała konstrukcja tego obrazu polegała na zestawieniu dwóch ściśle określonych płaszczyzn o zdecydowanie różnym natężeniu światła.

Jasna przestrzeń, w której przeważał czysto biały kolor, przedstawiała siedzącą kobietę za pomocą bardzo delikatnych zestawień, reszta była gorącą i ciemną głębią.

Dziwnym malarzem był ten Ingres. Nazywany często zimnym akademikiem, podszedł w tym obrazie do wielkiej tajemnicy, którą jest rzeczywistość, bliżej niż ktokolwiek z jego współczesnych, może nawet bliżej niż Delacroix.

Ingres malując ten obraz musiał w jakiś cudowny sposób odzyskać niewinność oka i to pozwoliło mu na zobaczenie prawdy świata tak prosto i przejmująco.

Może wydać się to dziwne, ale patrząc się na ten obraz odczułem pokrewieństwo pomiędzy Ingrem i Douanier Rousseaux.

Pisząc o Ingresie, Moris Denis nazwał go człowiekiem bez kultury. Jednostronność umysłu Ingesa jest widoczna, ale to właśnie pomogło mu do tej olbrzymiej koncentracji wszystkich sił nad zagadnieniem najbardziej istotnym, a właściwie jedynym, jakie malarz musi rozwiązać.

Tym zagadnieniem jest znalezienie formy dla tego fragmentu rzeczywistości, który zdołał zobaczyć swymi szeroko otwartymi oczami.

Malarstwo to tylko jeden ze sposobów poznawania świata.

Tadeusz POTWOROWSKI.

Ścieżki

Swoboda tajemna

«ze słowu jeżeli brak powietrza...»

Pisma francuskie podały wiadomość z Moskwy z 12. I., że pisarze sowieccy Simonow, Fadijew (Prezes Związku Pisarzy), Ehrenburg, Fiedin i Makarow zaatakowani zostali przez organ Partii bolszewickiej «Kultura i Życie», pod kątem krytyki ideologicznej i odchyłań ideologicznych. Simonow miał zgrzeszyć w «Dymach nad Ojczyzną», bo «to dzieło nie wykazuje dostatecznie przewagi systemu socjalistycznego w stosunku do systemów burżuazyjnych współczesnych», a Fadijew zgrzeszył, bo, opowiadając w «Młodej gwardii» historię wioski rosyjskiej, okupowanej przez Niemców, opisał panikę, która oparowała ludność, nie zaznaczając, że mógł to być jedynie wypadek wyjątkowy. Bo naturalnie, chłop rosyjski i chłop sowiecki jest zawsze bohaterski i strach nie może istnieć w państwie bolszewickim.

A więc już nie Achmatowa, nie Zoszczenko, ale ci podlegli z podległych, którzy przy każdej sposobności w swoich wypowiedziach opiewają wspaniałość kultury sowieckiej i przewagę jej nad Zachodem, są dzisiaj brutalnie karceni za to, że piszą o Sowietach nie dosyć «patriotycznie» nie dosyć dytyrambiczenie.

Literatura rosyjska, która w przeciągu zaledwie 150 lat urosła do jednej z największych literatur świata usycha, podcięta w korzeniach przez trzydziestoletnią «*politykę kulturalną* sowiecką». Czytając książki dziś wydawane o Rosji Sowieckiej, trudno nawet o miary porównania z tym cośmy przywykli uważać za literaturę rosyjską, która zdobyła kulę ziemską. Bo przecież nie ma dziś na świecie większej biblioteki czy księgarni, gdziebyśmy nie znaleźli chociażby Tołstoja, Dostojewskiego, Czechowa i Gorkiego, bo nie ma kraju, który by, tak czy inaczej, wpływu rosyjskiej literatury nie odczuł. Świeci ona wspaniałym blaskiem wszędzie, ale świeci tak, jak gwiazdy, które w rzeczywistości już dawno zagasty, a których światło jeszcze

oświeca ziemię, stwarzając złudzenie, że ognisko tego światła jeszcze płonie.

Ilość wydawanych poza granicami Rosji: tłumaczeń z rosyjskiego, studiów o literaturze rosyjskiej, o życiu rosyjskim, o historii rosyjskiej, o dzisiejszej sytuacji w Rosji, rośnie od szeregu lat jak lawina. Po okresie ogromnej popularności Tołstoj (jeszcze przed rokiem 1900), która zresztą wcale nie wygasa, następuje «odkrycie» Dostojewskiego i spopularyzowanie go, przede wszystkim dzięki książce Gide'a o Dostojewskim, jego wykładom o nim w Vieux Colombier około 1908 r. Po tamtej wojnie problem polityczny rosyjski, rewolucja rosyjska oraz ogromna fala emigracji rosyjskiej na Zachodzie potęgują stokrotnie zainteresowanie do rosyjskiej literatury. W tamtym okresie dla Gide'a, dla Malraux, dla Mauriac'a i plejady innych pomniejszych pisarzy, Stawrogin i Szatow, bracia Karamazowy, a nawet Smierdiakow czy Lebiadkin byli postaciami, które cytowano w rozmowach, jak bliskich znajomych. Cały Dostojewski był na nowo tłumaczony, jego «Zapiski iz Podpolia» wyszły wówczas jednocześnie u dwóch wielkich wydawców w dwóch różnych tłumaczeniach francuskich. Feux Croisés wydały «Apokalipsę naszych czasów» i «Ujediniönnoje» Rozanowa ze świetnym studium o tym pisarzu, Guehenno cytował odczyty Błoka, Aragon jeszcze wówczas surrealista, świetnie tłumaczył Majakowskiego, nie mówię już o tym, że Gorki i Czechow byli we wszystkich księgarniach. Szła fala tłumaczeń już całej literatury rosyjskiej. Gogol z ilustracjami Chagalla, Szchedrin, no i plejada pisarzy sowieckich, jak zlikwidowany później ale hypersowiecki w swoim czasie Pilniak, włącznie do drugo- i trzeciorzędnych pisarzy. Jednocześnie pisarze emigracyjni Mereżkowski, Berdiajew, Remizow, Bunin wydawani byli we wszystkich językach. Bunin otrzymał nagrodę Nobla.

Dziś zgasł płomień literatury rosyjskiej na ziemiach sowieckich. Pisarze rosyjscy zostali tak czy inaczej polikwidowani lub zwyczajnie wymarli, Ci, którzy jeszcze żyją, zamilkli, drukują i hałasują przeważnie «lokaje i zalotniki czasów», którzy mimo najlepszej chęci i ślepego posłuszeństwa «polityce kulturalnej» jeszcze są karceni z wyżyn partyjnych. Ilość emigracyjnych pisarzy niezmiernie się skurczyła, część już pisze bezpośrednio po francusku.

Niemniej jednak zainteresowanie literaturą rosyjską i wpływ klasycznej literatury rosyjskiej wciąż trwa. Tu, w Paryżu, przygotowuje się nowe tłumaczenie francuskie Puszkina, coraz to ukazują się nowe wydania Dostojewskiego. Sypią się życiorysy tegoż Puszkina, tegoż Dostojewskiego, nagradza się Romans Fleuves sfrancuziałych Rosjan, piszących o życiu rosyjskim.

Wśród tej powodzi wydawnictw zasługuje na specjalną uwagę książka o Błoku która się niedawno ukazała na półkach księgarskich. Nas, Polaków, powinna ona specjalnie zainteresować,

dlatego że losy tragicznego poety są jakby prefiguracją tego, co czeka każdą sztukę, godną tego imienia, w atmosferze sowieckiej czy prawie sowieckiej «polityki kulturalnej».

Książka została napisana bezpośrednio po francusku przez poetkę rosyjską Ninę Berberową, wdowę po poecie Chodasewiczu¹⁾. Nie jest ona wspominkami tylko o epoce literackiej, która by mogła się nam zdawać nieaktualna czy obojętna. Losy największego poety, z okresu przedrewolucyjnego Rosji, który od 1907 r. przepowiadał kataklizm, a rewolucję rosyjską przyjął z bolesnym entuzjazmem, historia jego krótkiego «romansu» z władzą sowiecką jest zbyt mało znana, zbyt uproszczona w opinii ogólnej i pod wpływem źródeł sowieckich zdeformowana. Piękna książka Berberowej naświetla losy poety wielostronnie.

My, nie Rosjanie, znamy Błoka przeważnie nie jako symbolistę, jako autora wierszy o «Pięknej Damie», który nawiązał ponad głowami poetów utylitarnych drugiej połowy XIX wieku do wielkiej poezji Puszkina, Tiutczewa i Lermontowa (nawet poemat jego «Wozmiedzie» o silnych filopolskich akcentach jest nam mało znany), a przede wszystkim jako autora «Dwienadcat». Ten poemat wyrósł bezpośrednio z rosyjskiej piosenki ludowej «czastuszki» i z głodnej rewolucyjnej ulicy Piotrogradu w styczniu 1918 r., wyrósł również bezpośrednio, jak kiedyś «Wesele» z wsi podkrakowskiej. Otóż wiemy, że ten poemat afirmował niejako prawdę rewolucji październikowej, że prześwietała go nadzieja, że z ówczesnych walk, z krwi, zbrodni i głodu narodzi się nowy świat. Na czele dwunastu bolszewików z karabinami idzie lekko, poprzez śnieżną zawieję i ciemne ulice Piotrogradu błądzą Chrystus w białym wianuszkach z róż.

Już od 1908 r. Błok prorokował zagładę Europy, badał stonki inteligencji z ludem i twierdził, że właśnie w Rosji inteligencję od ludu dziełi przepaść, że idzie na cywilizację współczesną katastrofa żywiołowa, że w Rosji lud zmiecie obca sobie kulturę, tak jak trzęsienie ziemi zmiołło Messyne.

Po rewolucji, właśnie po rewolucji październikowej, bolszewickiej, Błok widzi w Sowietach, we władzy sowieckiej, wyraz zwycięstwa dotychczas dławionych w Rosji żywiołów, i w odczycie swoim z 1918 r. «Inteligencja i rewolucja» pisze: «Myśmy kochali dysonanse, ryki, dzwony, nieoczekiwane przejścia... w orkiestrze, ale jeśliśmy n a p r a w d ę kochali te dźwięki, jeżeli nie tęchały one jedynie nerwów w ludnej sali teatralnej, po obiedzie, to musimy słuchać i kochać te same dźwięki, gdy wylatują one z orkiestry świata.» W innym odczycie już po rewolucji, Błok stawia wyraźnie tezę: inteligencja

1) Alexandre Blok et son temps, suivi d'un choix de poèmes. Edition du Chêne, 4 rue de la Paix, Paris, 1947.

rosyjska pragnęła zlikwidowania władzy carskiej, pragnęła przewrotu, musi być logiczna, musi się dzisiaj wypowiedzieć za władzę sowiecką. W tymże miesiącu styczniu, w którym Blok pisze «12», powstaje również jego poemat «Scyci»¹). W tym poemacie Blok czci ślepy żywioł, zaprasza Europę na braterską radę, *grożąc*, że jeśli nie zechce przyjąć tego wyzwania braterstwa, to

«Ujrysz Ty owiana krwi żalobą
Naszą prawdziwą twarz Azjaty....

.....
Nie drgnie nam brew, gdy syn Mongolii dziki
Będzie was szarpał, bił i prażył,
Podpalał wsie, miasta i fabryki,
I białych braci mięso smażył».

Tej zimy z 1917 na 1918 Blok wierzył w niszczyielską, ale i odradzającą siłę rozpętanego żywiołu.

Uobóstwienie tego żywiołu połączone z genialnym przecuciem idących kataklizmów, obostrzony słuch wewnętrzny («podczas pisania i po skończeniu «12» kilka dni odczułem fizycznie, słuchem, wielki szum naokoło siebie, na pewno szum od rozpadania się starego świata»), to był Blok z lat tamtych.

Dla inteligencji rosyjskiej w ogromnej większości wrogiej rewolucji październikowej, «12», «Scyci», niektóre odczyty poety były hołdem złożonym październikowej rewolucji, były zdradą. Co tu znaczy Chrystus, ten symbol afirmujący jakby wojnę domową i krew, pytano ze zgorzeniem w obozie anty-sowieckim.

Ale ten poemat wcale również nie zachwycał zwycięzców. Chrystus na czele bolszewików?

Łunaczarskiego, Komisarza Ludowego Oświaty, drażni ten symbol «zniewieściaty i przestarzały». Kamieniew mówi Błokowi: «uświeciliście to, czego my starzy socjaliści wystrzegamy się najbardziej». Trocki radzi Błokowi Chrystusa zastąpić... Leninem. Niemniej jednak Blok, najwybitniejszy poeta epoki, a przynajmniej jeden z najwybitniejszych, nawołujący do przyjęcia władzy bolszewickiej, to *na razie* cenny sojusznik, którego należy oszczędzać.

Ale jest jeszcze drugie oblicze Błoka, o którym się dowiadujemy poprzez książkę Berberowej. Po r. 1918 krótko trwa u poety entuzjazm chaosu i rewolucji, to *złudzenie lotu*. Po ślepym poddaniu następuje gorzyc przebudzenia. Nie ma skrzydeł. Z płonącego gmachu Rosji poeta nie wyleciał na skrzydłach rewolucji wyżej i dalej, ale runął na bruk. W urywkach

1) Ten poemat został kongenialnie przetłumaczony przez Balińskiego. Dopiero w porównaniu z tłumaczeniem francuskim w książce Berberowej, w którym nie jestem w stanie wyczuć nawet cienia muzyki wiersza Błoka, możemy ocenić osiągnięcie Balińskiego.

jego wypowiedzi, jego notatek lakonicznych widzimy, że już zimą 1920 poeta leży na tym bruku skrwawiony. Wtedy właśnie, pisze o «12»: «W styczniu 1918 r. ostatni raz poddałem się ślepo żywiołowi. «Kto w «12» widzi wiersz polityczny, albo jest bardzo ślepy w stosunku do sztuki, albo siedzi sam po uszy w politycznym błocie»... «Sam mogę o tym (o «12») teraz mówić tylko z ironią». O polityce wogóle pisze poeta więcej niż z ironią, ze wzdumą i wstrętem.

W styczniu tegoż 1920 roku notuje u siebie w dzienniku: «Sztuka jest nie do pogodzenia z naciskiem wywieranym przez jakąkolwiek władzę (podkreślenie moje). W styczniu 1921 r. zapisuje: «Mój przysły zbiór poezji będzie się nazywał «Dni czarne». A w kwietniu, zaledwie parę miesięcy przed śmiercią: «Wesz zwyciężyła świat, to jest fakt, a teraz wszystko się zmieni, ale wcale nie w kierunku spodziewanym, w kierunku, który kochaliśmy i dla któregośmy żyli: w zupełnie przeciwnym».

W lutym 1921 r. Blok przemawia w Piotrogradzie w rocznicę śmierci Puszkina. Trzykrotnie musi powtórzyć swój odczyt. Sala nie może zmieścić ilości słuchaczy, poeta jest bardzo wychudły, włosy mu posiwały, ma czerwone plamy na twarzy, spojrzenie ciężkie i zgaszone. Jest zawsze w tym samym białym swetrze i w czarnej kurtce.

«Poeta jest synem harmonii. Ma on spełnić rolę w kulturze świata» mówi Blok. «Trzy sprawy są na jego odpowiedzialności: 1) uwolnić dźwięki z rodzimego żywiołu, w którym przebywają, 2) doprowadzić te dźwięki do harmonii, dać im formę, 3) wnieść tę harmonię w świat zewnętrzny». Dalej, gdy mówi poeta o Puszkynie, cała sala czuje, co on chce powiedzieć. Że mówi już nie o Puszkynie, mówi o sobie: «Poeta umiera, bo nie ma czym oddychać. Życie straciło swój sens... niech się strzegą ci urzędnicy, którzy chcą kierować poezją ku jakiemś ich własnemu łożysku. Ci urzędnicy, którzy wyciągają ręce po tajemną wolność i przeszkadzają poezji w jej tajemnym przeznaczeniu».

Gdy na jednym ze swych ostatnich wystąpień publiczność prosi by deklamował «12», twarz jego wykrzywia przykry grymas, poeta *tego* wiersza nie chce deklamować. Co robią w tym okresie poeci, pisarze rosyjscy, Błokowi współcześni? Jeden Briusow wstępuje do partii bolszewickiej i staje się sowiecką personą grata. Hipius i Mereżkowski już w 1920 r. uciekają do Polski, Sołogub w tym samym czasie czeka rozpaczliwie na wizę zagraniczną wraz z żoną. W ostatniej chwili otrzymują oni rozkaz pozostania w Rosji i żona Sołoguba rzuca się z rozpaczą do Newy, poeta odnajduje jej zwłoki no roku na wiosnę. Rozanow, «rosyjski Nietzsche» umiera w ostatniej nędzy w jeszcze niezamkniętym wówczas klasztorze. Nawet Bielyj, który w 1917 r. pisał entuzjastyczne wiersze na cześć Mesjasza Rosji, opuszcza kraj rewolucji, by do niego po latach wrócić. Gumi-

łow, wódz grupy akmeistów i mąż poetki Achmatowej, zostaje rozstrzelany 3-go sierpnia 1921 r.

Cztery dni po nim umiera Błok. Umiera, bo nie ma czym oddychać. Zostają na placu poeci przez rewolucję całkiem zaadoptowani. Jesienin i Majakowski. Obaj zakończą życie samobójstwem. Czy im również zabrakło powietrza? Od tego czasu, od śmierci Błoka, Sowiety systematycznie i konsekwentnie tną żywe pędy, które coraz to próbują wyrosnąć na starym pniu sztuki rosyjskiej. Przemówienie Zdanowa, likwidacja Achmatowej i Zoszczenki to już etapy czyszek z ostatnich lat. Wszystko co następuje potem brutalne, płaskie artykuły o literaturze w «Izwestiach» o pisarzach rosyjskich, o obowiązkach pisarzy, fala wypowiedzi opiewających przemówienie Zdanowa jako datę historyczną literatury rosyjskiej, to morze optymistycznej frazeologii o rozkwicie sowieckiej literatury, wszystko to wykazuje, do czego się stoczyło to, co się dzisiaj ośmiela nazywać literaturą. Dotyka to wcale nie tylko pisarzy rosyjskich. Kornijczuk i jeszcze drugi ukraiński poeta sowiecki piszą artykuły naszpikowane donosami, w których stwierdzają z zachwytem, że łatwiej, lżej jest pisać po wspaniałych przemówieniach towarzysza Zdanowa. Szczęśliwe, nowoprzyłączone do Związku republiki: Estońska, Litewska, Łotewska, wszystkie śpieszą potwierdzić to samo. Na zjeździe sowieckich pisarzy, sekretarz odpowiedzialny Związku Pisarzy Łotwy, chwali historyczne decyzje centralnego Komitetu CKWKPB o gazetach «Zwiazda» i «Leningrad» (rozporządzenie zakazujące druku Achmatowej i Zoszczenki i udzielające nagany tym pismom) i stwierdza, że ta decyzja, to rozporządzenie, «współdziela we wroście ideowym łotewskich pisarzy»; litewski pisarz sowiecki stwierdza również błogosławione skutki decyzji CKWKPB w literaturze litewskiej, a delegat pisarzy estońskich zaręcza, że ta decyzja «odegrała ogromną rolę w rozwoju estońskiej i sowieckiej literatury». Cóż to ma wspólnego z literaturą poza tym, że jest jednym z przejawów jej zagłady, bo się to dzieje w państwie, w którym żadna literatura poza oficjalną istnieć nie może. Ma się wrażenie, czytając to oświadczenie, że czytamy «Budujemy kanał» Olszewskiego. Ale naprawdę żadnej się nie ma ochoty do śmiechu czytając wypowiedzi zastraszonych, przekupionych czy do ostatnich granic naiwnych pisarzy.

Sytuacja w Polsce jest jeszcze inna i etapy dzisiejszej «polityki kulturalnej» u nas przypominają może bardziej tę samą robotę polityki kulturalnej w Rosji Sowieckiej przed 20 laty. W pismach polskich tłumaczy się sporo Błoka, jeszcze trafić można na ciekawe o nim studia krytyczne, i Borejsza cytuje także Błoka, ale naturalnie jego «dumny» wiersz o «Scytach» z 1918, gdy w «Przekroju» rzucając wyzwanie polskiemu czytelnikowi, pisze: «Tak, jesteśmy agentami Moskwy».

Stefan Żółkiewski na Walnym Zjeździe Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu, wygłasza tezy

aktualnej problematyki literatury współczesnej, podszyte cytami z Lenina, Feuerbacha i Gorkiego, jakby żywcem przeniesione ze Wschodu. Ta sama robota, co tam po śmierci Błoka, te same metody, te same cytaty.

«Literatura społeczna, użyteczna w nowoczesnym sensie, to literatura świadomie powiązana z ogólnymi wytycznymi polityki kulturalnej kraju», tak Żółkiewski rozpoczyna swoje programowe przemówienie. Te ogólne wytyczne, ten «nurt ludowego optymizmu», którego konieczność w literaturze akcentuje Żółkiewski i wszyscy reżimowcy, te wskazówki, że sztuka musi być przede wszystkim zrozumiała, to pouczanie nie tylko co należy pisać, malować, czy komponować, ale jak, ależ to wszystko znamy, zanadto dobrze znamy u naszych sąsiadów. Jeżeli wśród tych ideologów są ludzie naprawdę dobrej wiary, a tacy są prawdopodobnie, niech czytają uważnie dzisiejsze krytyki literackie «Literaturnej Gazety», niech się przekonają, do jakiego poziomu dyskusji i kultury literackiej prowadzi ta metoda. (W Nr. 66 z 24. XII. 47 w wielkim artykule znęcającym się nad Dostojewskim, czołowego krytyka Jermaszowa. spotykamy taki przeciw Dostojewskiemu argument: «Jego dzieła są szeroko i wszechstronnie wyzyskiwane w dzikim, we wściekłym pochodzie na człowieka, rozpętanym przez literaturę lokajów Wallstreet'u»).

Jakże nie wspomnieć teraz właśnie Błoka i słów jego z przedśmiertnego dzienniczka:

«Sztuka jest nie do pogodzenia z naciskiem wywieranym przez jakąkolwiek władzę».

Gdy w Rosji już nie tylko Achmatowa, ale Fadiejew i Simonow są stawiani do kąta, a w Polsce Borejsza i wszyscy Żółkiewscy zabierają się konsekwentnie czapką, papką i groźbą do reformowania literatury polskiej, do wymyślenia od fałszywistów i reakcjonistów wszystkim, którzy nie chcą iść po łożysku ich instrukcji — tragiczna postać Błoka i jego słowa występują przed nami, jak groźne memento.

«Niech się strzegą ci urzędnicy, którzy chcą kierować poezją ku jakimś ich własnemu łożysku. Ci urzędnicy, którzy wyciągają ręce po tajemną wolność i przeszkadzają poezji w jej tajemnym przeznaczeniu».

Marek SIENNY.

Najnowsza historia Polski

Dziennik AnkarSKI

Transport złota Banku Polskiego odbył się w zupełnie innych warunkach niż te, jakie przypuszczał Zażuliński. Dowiedziałem się o jego istotnej drodze telefonogramem ze Stambułu, wieczorem w piątek 15 września: Bukareszt donosił, że transport wyrusza w sobotę 16 z Konstancy, będzie więc 17 w Stambule; należy go jak najszybciej skierować, pod opieką angielską, dalej.

W ten sposób żadnych poleceń Rządu Polskiego w tej doniosłej sprawie nie otrzymałem, tak samo wskazówki, jakie otrzymał z Ambasady w Bukareszcie nasz Konsulat, były ogólnikowe i niewystarczające. Żadnych zwróceń się do Anglików czy Francuzów tutaj mnie nie zalecono. Działać musiałem sam, na ciemno i na własną odpowiedzialność.

W południe 16 byłem u Saraçoglu «avec une démarche très confidentielle», chcąc go zawiadomić o przybywającym transporcie; dopiero, gdy zaczął — «Et pour votre information personnelle j'ajouterais» — przerwał mi i przyznał, że o sprawie tej już wie i już zdecydował. W piątek telefonował do niego Ambasador turecki z Bukaresztu¹⁾, prosząc o decyzję Rządu do godziny 17, po porozumieniu z Premierem, Saraçoglu mógł donieść, że Rząd turecki transport przepuści, a ewentualnie zapas złota Banku Polskiego umieszczony być może w piwnicach Merkez Banku w Stambule.

W niedzielę 17, po godzinie 14-ej, statek *Eocene*, należący do *Socony Vacuum Oil Co.*, wpłynął do portu w Stambule, przywożąc ładunek złota i eskortę 20 urzędników z ministrem Matuszewskim²⁾ i dyrektorem Banku Polskiego Orczykowskim³⁾

1) Suphi Tauriover, ambasador Turcji w Bukareszcie, 1938-1944.

2) Ignacy Matuszewski, pułk. Szt. Gen., były Minister Skarbu, zmarły w New Yorku 3. VIII. 1946.

3) Orczykowski, Dyrektor Banku Polskiego.

na czele. Jednocześnie, we wczesnych godzinach południa, przyszedł do mnie Massigli z telegramem swego Rządu: na życzenie Rządu Polskiego, krażownik *Jean Bart* gotów jest odebrać ładunek złota; wymagałoby to jednak zezwolenia Turcji na wejście krażownika przez Dardanele. Interwencja Massigliego nie odniosła skutku, wobec wyraźnego brzmienia postanowień Konwencji Cieśnin¹⁾. Saraçoglu wysunął w odpowiedzi dwie alternatywne propozycje: 1) przewóz transportu drogą lądową do Syrii, 2) zaliczenie tego złota na poczet pożyczki francusko-angielskiej dla Turcji.

Z Matuszewskim, którego nie wypuszczano ze statku, wogóle nie mogłem się skomunikować, a łączność z Konsulatem okazała się trudna: *claris* nie można było w tej sprawie telefonować, a na telefonogramy szyfrowane nie wystarczaliśmy w pracy, będąc sami we dwóch ze Szczerbińskim. Wobec tego, w poniedziałek 18 rano, przyjechał ze Stambułu Hempel przywożąc notatkę spraw ułożonych.

Fakty Hempla były następujące: w nocy z 17 na 18, miał przybyć do Stambułu statek angielski *Lascelle*; możliwe jest przeładowanie na morzu Marmara; na morzu Śródziemnym znajdują się łodzie podwodne nieprzyjacielskie, a wobec szerokiego rozkspirowania transportu, możliwy wjazd ich na Marmara; tak samo storpedowanie na morzu Egejskim, po wyjściu z Dardaneli. Druga alternatywa — to droga lądowa, pociągiem tureckim do Syrii. Niebezpieczne są chwile postoju na Bosforze, niebezpieczny także przejazd przez morze do stacji azjatyckiej *Haydar Pasza*; natomiast zarówno przeładunek na wagony, jak transport koleją, trudności nie przedstawiają.

W trakcie konferencji z Hemplem zatelefonował Rychlewicz²⁾ konferencja wszystkich zainteresowanych wypowiedziała się za drugą alternatywą. Wobec tego powziąłem decyzję, która od początku odpowiadała mi najwięcej: wybrałem drogę lądową. Hempel zawiózł moją decyzję samolotem po południu do Stambułu. Szczerbiński poszedł omawiać z Acikalinem, primo przedłużenie postoju statku — przepisy obowiązujące pozwalają tylko na 48 godzin bez rewizji celnej, secundo ułożenie ceny transportu; ta kwestia od początku wydawała mi się trudna i niejasna. U Massigliego byłem tegoż dnia rano, układając współdziałanie Syrii. Pokazał mi telegram Daladiera

1) Rząd turecki opierał się w danym wypadku na art. 19 Konwencji w Montreux: «...il sera interdit aux bâtiments de guerre de toute Puissance belligérante de passer à travers les Détroits, sauf dans le cas rentrant dans l'application de l'Art. 25 de la présente Convention (obligations découlant du Pacte de la Société des Nations) ainsi que dans le cas d'assistance prêtée à un Etat victime d'une agression, en vertu d'un traité d'assistance mutuelle engageant la Turquie...».

2) Wojciech Rychlewicz, kierownik Konsulatu R. P. w Stambule, 1937-1944.

wyrażający zgodę na to, aby Rząd polski przeniósł się i urzędował we Francji, podobnie jak Rząd belgijski w 1914; w ten sposób, kończył Daladier, zarówno Rząd jak kapitał narodowy polski znajdują schronienie i opiekę na terytorium francuskim.

O godzinie 18 przyjął mnie Saraçoglu. Spotkanie nastąpiło w gmachu Parlamentu. Przed wejściem żandarmi i służba Parlamentu oczekują mnie w szeregu i oddają honory. W kuluarach tłumy posłów w przerwie posiedzenia. Przechodząc widzę ministra Saraçoglu za stołem, w zagłębieniu pod schodami, otoczonego kręgiem posłów: słyszę głośne debaty, zadawane ministrowi gorączkowe pytania, i kiedy powoli wchodzę na pierwszą kondygnację schodów wiodącą na piętro, słowo *Polonya* powtarzane po kilka razy ze wszystkich stron.

— Co się tyczy kwestii przedłużenia postoju statku na Bosforze, zapadła już przychylna decyzja; Premier wydał już polecenia, aby zrobiono nam wszelkie ułatwienia i dogodności. W kwestii ceny transportu, minister komunikuje, że opłata przewozu złota wynosi, według prawa, 0,05% ad valorem; Turcy nie myślą jednak o tym, aby na tym transporcie zarabiać; Minister postara się, aby wyznaczyć taryfę dla nas najdogodniejszą.

Rozmowa z Ministrem trwała krótko. Saraçoglu oświadczył mi niespodziewanie, że dostał zaproszenie i wyjeżdża do Moskwy: — nie obiecał żadnego określonego terminu; będzie odwlekał tak, aby sytuacja najpierw się nieco wyjaśniła; wyjedzie pewno za tydzień. — I nagle mi mówi: «*Je m'efforceraï, peut-être, à panser cette plaie*». Mówił o Polsce. Odpowiedziałem: — Polska trwa i stać będzie przy swoim... Ja sam, bez względu na wszystko co nas spotkać może, pozostanę na stanowisku.

Było już po godzinie 1-szej w nocy (rankiem 19 września) gdy dostałem dwa telefonogramy Matuszewskiego; widocznie nie brał on udziału w konferencji rannej i nie wiedział o jej jednomyślnej opinii¹⁾; protestował przeciw obraniu drogi lądowej; żądał, abym wziął na siebie pełną odpowiedzialność za lojalność władz tureckich; ostrzegał przed prowadzeniem transportu daleką drogą przez kontynent anatolijski wtedy, gdy lada chwila można się znaleźć w obliczu następstw interwencji sowieckiej; żądał nadania transportowi charakteru urzędowego francuskiego i przydzielenia zastępcy attaché wojskowego Ambasady francuskiej, kapitana Lelou.

¹⁾ Płk. Matuszewski nie miał, podobnie jak cała załoga statku, prawa wysiadać na ląd w Stambule, gdyż cały transport traktowany był przez władze tureckie jako będący w tranzycie. Stąd powstały znaczne trudności w komunikowaniu się między Ambasadą, Konsulatem a statkiem na Bosforze.

Odpowiedziałem Matuszewskiemu w godzinach przedpołudniowych: 1) niebezpiecznie opóźniać transport; 2) niebezpiecznie, bez konwoju, kierować go drogą morską; 3) transport lądowy daje możliwe maksimum bezpieczeństwa; 4) mam pełne podstawy liczyć na lojalne wykonanie umów przez Rząd turecki.

W parę godzin po wysłaniu telefonogramu Szczerbiński przyszedł mi powiedzieć, że Dyrektor Departamentu Kolei żąda zapłaty według jedyniej legalnej taryfy ad valorem, oraz że wymaga zapłaty z góry. Po południu dowiedziałem się od Francuzów, że Saraçoglu wyjeżdża do Moskwy nazajutrz, we środę, zamiasz na tydzień, jak mnie informował w przededniu. Dodawano, iż Rząd sowiecki zaproponował przysłanie po niego torpedowca — zresztą już rano w naszym otoczeniu tureckim rozeszła się pogłoska, że Turcja zmienia orientację i że statek wojenny sowiecki znajduje się już na Bosforze.

Wszystko to wyglądało podejrzanie. Między godziną 4 a 5 wydałem polecenie do Stambułu: wstrzymać załadunek, przygotować projekty innej drogi. Po godzinie 18 byłem u Numana w Klubie Anatolijskim: prosiłem o interwencję zarówno co do wysokości opłaty, jak co do jej terminu. Przez długi wieczór oddawaliśmy się złym myślom. O północy wezwałem Szczerbińskiego i kazałem mu być gotowym do wyjazdu nazajutrz samolotem.

Weźnie rano, we środę 20 września, kazałem sprawdzić, czy statek sowiecki znajduje się na Bosforze; raport kapitana Zaleskiego¹⁾ był negatywny. Po 11-ej przyjął mnie Numan: opłata ad valorem oparta jest na podstawie prawnej i Rząd nie może jej zmienić; opłata z góry przewidziana jest w prawie o transportach kolejowych i nikt nie jest w stanie zrobić wyjątku. Po tej odpowiedzi formalnej Numan dwukrotnie wspomniawszy sumę ogólnikowo przeze mnie wymienioną dnia poprzedniego, jako wartość transportu i dwa razy powtórzył, że zapłata nastąpi od «sumy zadeklarowanej». Co do opłaty z góry zaproponował by uiszcili ją Francuzi i podjął się pośrednictwa: zatelefonował zaraz do Massigliego. W chwil kilka potem byłem u Ambasadora Francji: zgodził się telegrafować do Paryża. Interwencję Numana u Massigliego uważałem za fakt pomyślny: stanowila ona dodatkową gwarancję lojalności tureckiej. Moje przekonanie potwierdził w całej rozciągłości Massigli. Od Numana dowiedziałem się zresztą, że Saraçoglu wyjeżdża do Moskwy o dzień później niż przypuszczali Francuzi — we czwartek.

W tych warunkach, tegoż dnia we środę o 12 w południe, wydałem polecenie do Stambułu: ładować. Statek w godzinach popołudniowych przeszedł do *Haydar Paszy*. Wieczorem na-

¹⁾ Wiktor Zaleski, kpt., urzędnik Konsulatu R. P. w Stambule.

stąpiło załadowanie wagonów; o godzinie 23 odjazd pociągu ze stacji.

We czwartek 21 września, od samego rana zająłem się jedną kwestią: jak zapłacić za przewóz — w przeciągu 24 godzin — kwotę około 60.000 funtów tureckich. Radca francuski de Monicault¹⁾ wyraził wątpliwość czy odpowiedź przyjdzie na czas i czy będzie pomyslna. Szczerbiński poruszył kwestię sum zamrożonych w clearingu: okazało się, że mamy 170.000. Około południa dowiedziałem się, że *Merkez Bank* wzięłyby tę alternatywę pod uwagę; ale zainteresowany telefonicznie Numan powiedział mi, że kwestia jest prawnie zbyt skomplikowana, aby ją w czasie tak krótkim móc rozstrzygnąć. Z ciężkim sercem wzięłem pod uwagę otwarcie jednego z wagonów i wypłatę złotem.

Pociąg tajemniczy — wagon restauracyjny, dwa sypialne, jeden osobowy i cały szereg zamkniętych, zaplombowanych brankartów — wjechał na stację w Ankarze o godzinie 13.30. Matuszewski, Orczykowski z ramienia Banku, Krystyn Ostrowski — nie wiem jak się tu znalazł, panie Ostrowskie, Matuszewska, Rajchmanowa, Orczykowska. Przywiozłem ich do Ambasady, wszyscy wyglądali jak rozbitki. — Przejazd? — O teraz aż za dobrze, aż za wygodnie. Przedtem było inaczej.

Analiza sytuacji. Było dotąd wiele nieporozumień, Matuszewski specjalnie nie rozumiał zachowania się Anglików, którzy aż do Stambułu przygotowali i kierowali wszystkim; skarżył się na brak łączności: sam od niedzieli do środy nie mógł opuścić statku. Droga przez Bejrut wydawała mu się wciąż ekscentryczna — ogromny dystans w odwrotnym zupełnie kierunku. Ale — jak jest tak jest — uznał fakt dokonany, stwierdził dobre załatwienie formalności i duże poczucie bezpieczeństwa. Cenę transportu uznał za przystępną, ale jak ją zapłacić, jeśli nie będzie odpowiedzi francuskiej? — Zgodził się, jeśli już taka ostateczność, na otwarcie wagonu. Załatwiliśmy przede wszystkim z Dyrekcją kolejową i celną pozwolenie na otwarcie; potem z Bankiem kwestię wpłaty w złocie. Ale — nowa trudność: złoto chcieli brać: dolar = 2,12 funtów tureckich, co równało się zapłaceniu w dwójnasób. Pertraktacje okazały się trudne: sugeruje się przyjęcie przez Bank depozytu Ambasady; jak jednak potem złoto wywieźć? Nie ma wolnego obrotu złotem z zagranicą, przeciwnie są najostrożniejsze przepisy dewizowe, zabraniające wywozu nawet dyplomatom obcym.

Uratowała nas Inka: — a gdybyś poprosił Walkera? — Walker, naczelnny reprezentant *Socony Vacuum*, był istotnie jednym z niewielu, mogących rozporządzać tak znaczną sumą. Trafem, był w Ankarze i trafem był właśnie u siebie w hotelu. Zaproponowałem mu najpierw pożyczkę pod zastaw złota, zło-

żonego w *Merkez Banku*; zgodził się natychmiast, obiecując skomunikowanie się ze swym agentem i wydostanie czeku lub pieniędzy. Zaczęliśmy dalej sprawę rozważać: niedogodna czynność wyjmowania worka z wagonu, odrywanie plomby; niebezpieczna operacja składania złota w banku, trudności wywozu, w końcu może jednak konieczności sprzedania złota z dużą stratą. Zatelefonowałem poraz drugi: podobnie jak pierwszym razem, Walker, wierny przyjaciel, zgodził się na wszystko; zaofiarowałem mu podwójne pokwitowanie Banku i Ambasady.

O 17-ej odchodził pociąg. Odwiozłem ich na stację, pożegnałem serdecznie na te dalekie drogi. Potem, jeszcze przed odejściem pociągu, wróciłem do Ambasady. Zastałem Walkera, który w teczce pod pachą przyniósł 59 i pół tysiąca funtów tureckich gotówką.¹⁾ Wysłałem Szczerbińskiego do Dyrekcji Kolei i jeszcze przed 18-ą, godziną zamknięcia biur, należność została wpłacona. Miałem w rękę pokwitowanie, upewniające mnie, że pociąg przekroczy granicę francuskiej Syrii bez dyskord. Jakoż nazajutrz — w piątek 22 o 19-ej, zatelefonował Dyrektor Departamentu Kolei: przed pięciu minutami pociąg Banku Polskiego przejechał granicę.²⁾ Mogłem wysłać telegram do Bukaresztu i Paryża: zapas naszego złota znajduje się w bezpieczeństwie, na terytorium chronionym przez armię francuską.

Był to ostatni — na razie — etap odysei naszego złota. Zaczęła się — między 5 a 8 września w Warszawie — kiedy Adam Koc, otrzymawszy nominację na Wiceministra Skarbu, zarządził zapakowanie i wywiezienie zapasu. Przedstawiciele władz centralnych — podobno Kwiatkowski i Karpiński, w każdym razie Byrka — sprzeciwili się, twierdząc, że «nie potrzeba», czy że «za wcześnie». W istocie, było już prawie za późno. Koc, z pomocą pułkownika Rajchmana³⁾, zmobilizował samochody, częściowo autobusy warszawskie. Pod ochroną wojskową pod dowództwem Rajchmana, ruszył transport do Łucka. Po dro-

1) Suma 59.500 funtów tureckich pożyczona została przez A. V. Walkera i uzyskana na jego słowo od agenta *Socony Vacuum* p. Vehbi Koça. (p.p.a.).

2) Na granicy Syrii, na stacji *Meydan Ekbes*, pociąg wzięty został pod silną ochronę wojskową francuską. Na stacjach węzłowych, w szczególności w *Aleppo*, znaczne siły wojskowe strzegły dostępu. W Syrii też nastąpiło przeladowanie z wagonów normalno-torowych do wąsko-torowej kolejki *Damaszek-Bejrut*. W ten sposób zapas złota dowieziony został w całości i bezpiecznie, bezpośrednio do krążownika francuskiego, który po załatwieniu formalności technicznych, odwiózł go do *Marsylii*. W *Bejrucie* odpieczętowany został również jeden worek i wyjęte zeń złoto przeznaczono na zakup dolarów i spłacenie pożyczki zaciągniętej u Walkera. (p.p.a.).

3) *Floyar-Rajchman*, płk. Sztabu Gen., b. Minister Przemysłu i Handlu.

1) *Louis de Monicault*, Radca Ambasady francuskiej w Ankarze.

dzie znalazł się przebywający na wsi Matuszewski wraz z żoną (Halina Konopacką), przyłączyli się także Ostrowscy z matką i córką. Autobusy szły po tych określonych drogach — z Łucka przez Tarnopol do Śniatynia: drogi zię, jechało się w nocy, bez świateł, w fumanach kurzu, po mostach gdzie drżano, że się nie przejedzie. W dzień doganiały transport samoloty niemieckie, kryto się w parkach i w lasach, nocowano pod drzewami lub we dworach. Na ostatnim etapie, w którymś dworze po drodze, wysłuchano wiadomości radia niemieckiego: — transport polskiego złota ucieka w kierunku Śniatynia. — Transport podzielony był gdzieś na prawym brzegu Wisły na trzy części: jedna szła przez Łuck, druga przez Lublin—Lwów, trzecia przez Zamość: wszystkie spotkały się dopiero w Śniatyniu. Do Śniatynia dojechano w godzinę po rajdzie wywiadowym, w czasie którego samoloty robiły zdjęcia, a na parę godzin przed zbombardowaniem stacji. Tutaj transport załadowano do wagonów, Rajchman z eskortą pozostał w Polsce, Matuszewski objął dowództwo przeprawy zagranicę. Zrazu Rumuni nie chcieli transportu puścić. Koc, który inną zdaje się drogą tam dojechał, planował już przekroczenie granicy siłą. Tymczasem pracował i starał się Konsulat w Czerniowcach, zaalarmowany został Ambasador Raczyński w Bukareszcie; początkowo Rząd rumuński się wahał, wreszcie sprawę zdecydował w sensie przychylnym Premier Calinesco: dopuszczono przejazd złota tranzytem. Wagony z transportem poszły wprost przez Buzau do Constanzy i tam, tegoż dnia, załadowano go na statek — tanker *Socony Vacuum*, zafrachtowany przez Anglików. Każda zwłoka mogła się stać zabójczą — tymczasem powstała jeszcze jedna: gdy rozniosła się wieść, że wiozą polskie złoto, marynarze rumuńscy i robotnicy portowi zaraz się rozbiegli. Kapitan musiał zbierać nową ekipę. W międzyczasie przyszła wiadomość z Bukaresztu o gwałtownej interwencji posła niemieckiego Fabriziusa: interwencja ta jednak była spóźniona: w niewiele chwil po tej wieści statek odpłynął. Niewielka jego szybkość — 7 do 8 węzłów na godzinę — czyniła tę podróż długą i niebezpieczną. Jechano ponad 24 godziny, trzymano się brzegów, ewentualnie, na wypadek storpedowania, zamierzając wjechać na mieliznę. Zanim osiągnięto wody terytorialne tureckie, wypatrywano wciąż nadlotu bombowców nieprzyjacielskich. Ale nie przyszły. Duszą przeprawy był kapitan statku: 27 osób konwoju i rodzin pomieścił jakoś w swej kabinie. O komforcie nie było mowy. W Stambule statek stał 4 dni na redzie: rodzaj kwarantanny, bez prawa wyjścia na ląd, z bardzo trudną łącznością z Konsulatem, ze mną, bez łączności z dość beczynnymi tutaj Anglikami.¹⁾

¹⁾ Powyższy opis przewozu złota polskiego przez Polskę, Rumunię i morze Czarne zapisany był w dzienniku, na podstawie opowiadań osób eskortujących, w szczególności płk. Ignacego Matu-

Wreszcie, jeden jeszcze epizod. We wtorek 19-go przed wieczorem, przyjechał do mnie Sir Hughe Knatchbull Hughessen z radcą Ambasady Morganem¹⁾ i zaproponował podział polskiego złota: część, wartości 11 milionów funtów angielskich pozostałaby w Stambule, stanowiąc ekwiwalent ewentualnej pożyczki negocjowanej z Turcją; sugestią tę sygnalizowano z Londynu. Na parę chwil przedtem ostrzegł mnie o tej niebezpiecznej propozycji Massigli dodając: «*l'essentiel est de partir*». Naturalnie odmówiłem twierdząc, że jest już za późno. Nie wątpiłem wprawdzie w dobrą wiarę, z jaką czyniono tę propozycję i byłem przekonany o tym, że równowartość złota zostanie zarezerwowana dla nas w *Bank of England*: ale co stałoby się z resztą? — Czekala nas operacja skomplikowana, a nade wszystko nastąpiłaby nowa zwłoka. Matuszewski rad był żem to niebezpieczeństwo usunął z drogi; twierdził, że przy przerachowaniu wartości złota mogły nastąpić nieporozumienia, które naturalnie zdecydowałyby na naszą niekorzyść.

Ankara, niedziela 24 września.

Majątek państwowy został w znacznej części uratowany i Koc gromadzi go obecnie jako jedną całość, podstawę istnienia Rządu na wygnaniu, zadatek przyszłości odbudowania. Stanowi go przede wszystkim zapas złota Banku Polskiego w kwocie około 324 milionów złotych w złocie, uratowany przez ewakuowanie go przez Rumunię i Turcję; następnie waluty — około 30 milionów dolarów — prawdopodobnie uratowane przez Rząd nasz w odwrocie. Prócz tego, posiadamy we Francji około 70 milionów franków, część niezrealizowaną pożyczki sprzed dwóch miesięcy, oraz w Anglii 8 i pół miliona funtów szterlingów, ostatnio zaciągniętej pożyczki gotówkowej.

«Nad tym majątkiem będę — jak się wyraził Koc — krażył jak sęp» — aby stał się podstawą naszego działania, naszego wytrwania, naszej walki.

Ankara, czwartek 28 września.

Nie ma już Warszawy.
.....

Ankara, niedziela 1 października.

W dniu 19 lub 20 września wezwałem moich współpracowników i zakomunikowałem im co następuje:

szewskiego, w czasie ich postoju w Ankarze. Por. opis w «The Polish Gold» by Robert Westerby & R. M. Low, Methuen & Co. London 1940, gdzie znajduje się również całkowicie fałszywy opis transportu złota przez Turcję. (p.p.a.).

¹⁾ James Morgan, Radca Ambasady brytyjskiej, Minister ptn.

Na wszelki wypadek i aby rzeczy były jasne oświadczam, że, niezależnie od wszelkich okoliczności i zdarzeń, pozostanę wierny Prezydentowi Rzeczypospolitej Ignacemu Mościckiemu i posłuszny rozkazom Rządu przezeń wyznaczonemu. Tegoż samego będę się domagał od moich współpracowników i nie będzie mógł współpracować ze mną ten, kto się z takim stanowiskiem nie zgodzi. ¹⁾

Po otrzymaniu wczoraj wieczorem przez radio z Londynu i z Paryża wiadomości o abdykacji Prezydenta Mościckiego, o wyznaczeniu Prezydenta Raczkiewicza i nominacji Rządu Generała Sikorskiego, określiłem ponownie moje stanowisko jak następuje:

„Uważam to co się stało za jedyne wyjście, za zachowanie wszelkich prób niemieckich, za zachowanie warunków koniecznych dla integralnej niepodległości. Jest Prezydent, jest mianowany przez niego Rząd, mamy prawną władzę.

Jakiegokolwiek można by mieć — jakiegokolwiek mógłbym mieć sam — zdanie o obozach, ich postępowaniu i odpowiedzialności, nie mam zamiaru zdania tego wypowiedzieć, z nikim dyskutować na ten temat... Raz, że nic sam nie pomogę, powtóre, że tylko obecną robotę bym rozstr-

¹⁾ 21 września zredagowałem następujący «prywatny» szyfr do wyłącznej osobistej wiadomości Pana Ambasadora Edwarda Raczyńskiego w Londynie:

Należy już dzisiaj myśleć o następnym etapie i przygotowywać go. Następnym etapem po przedostaniu się władz Państwa Polskiego do Francji musi być utworzenie nowego Rządu dla postawienia i prowadzenia spraw wojska, skarbu i polityki zagranicznej.

Uważam za konieczne, w celu aby wypadki nas nie zaskoczyły i aby uniknąć ingerencji czynników obcych, zrekonstruowanie Rządu tak, aby widoczne było, że usunięte zostały jednostki skompromitowane brakiem przewidywania, brakiem przygotowania, niedołęstwem, karygodną bezczynnością i bezplanowością wojskową i cywilną.

Na czele zrekonstruowanego Rządu stanąć winien, moim zdaniem, Minister Beck. Rada Ministrów winna być zredukowana do czterech tek: wojny, skarbu, handlu i emigracji. Miejscem pobytu Rządu winno być miasto nie będące stolicą żadnego państwa obcego. Ministrem Skarbu może być jedynie Koc, jako ten, który ocalił skarb Państwa Polskiego. Tylko taka rekonstrukcja Rządu da nam kapitał zaufania, który pozwoli na przetrwanie, przyszłą działalność i złożenie kiedyś rachunku Krajowi. Nie mając żadnej możności skomunikowania się stąd z Panem Prezydentem i Panem Ministrem Spraw Zagranicznych, komunikuję Panu Ambasadorowi powyższą opinię, wyrażając jednocześnie gotowość uczestniczenia w każdej akcji zdążającej do powyższej skreślonego celu.

Powyższego telegramu, który wyrażał pełne moje przekonanie, nie wysłałem ze względu na brak jakiegokolwiek danych jego realizacji.

jął. Osądzenie pozostawmy historii. W stosunku do istniejącej władzy Rzplitej nie będę rezonować, lecz tylko będę się słuchać.

Stambuł, wtorek 3 października.

Przyjechałem tutaj wczoraj na dwa dni: zwrot Walkerowi pożyczonej przez niego sumy, sprawa wojska, w szczególności lotnictwa z Rumunii; sprawy ewentualnego uchodźstwa, różne personalne, finansowe, konsularne.

Przyjechał Aleksandrowicz ¹⁾ ze Słaniku w Rumunii, przysłany do mnie z Gabinetu Ministra Becka. W Słaniku znajduje się cały Rząd internowany przez Rumunów. Bodaj że było w pierwszej chwili kilkanaście godzin, kiedy możliwy był jeszcze wyjazd, ale się nie spostrzeżono. Minister Beck przebywa tam z Sokółowskim, Drymmerem, Potockim ²⁾ i grupą 30 do 40 urzędników. Oddzielnie, w Bicz przebywa Prezydent i również oddzielnie internowany jest Śmigły Rydz ze swoim sztabem. Wszyscy są gośćmi króla Karola, *logés et nourris*, traktowani grzecznie, nawet przyjaźnie, ale wszyscy są strzeżeni ściśle i o wyjeździe nie może być mowy. Do Słaniku prowadzi jedyna jedyna droga, która jest absolutnie zamknięta. Beck studiował różne sposoby przedostania się, ale nie znalazł takiego, co będąc realnym, salwowałby jednocześnie godność.

Powstała z czasem wyraźna rozbieżność pomiędzy Rządem w Słaniku a Ambasadą w Bukareszcie. Raczyński odsunął się, zaczął postępować na własną rękę i nie dochował lojalności Beckowi. Bez porozumienia z Beckiem odbył decydującą rozmowę z Prezydentem, skłonił go do abdykacji i ułożył kwestię następstwa ³⁾. Aleksandrowicz dodał, że ze strony Ambasady francuskiej w Bukareszcie nie było najmniejszej nawet pomocy w sprawie uwolnienia naszych władz naczelnych. — Zresztą i Massigli, zagadnięty przez mnie w tym czasie, czy jest czyniony w tej sprawie nacisk w Bukareszcie, odpowiedział

¹⁾ Mustafa Aleksandrowicz, praktykant w Ministerstwie Spr. Zagr.

²⁾ Seweryn Sokółowski, wicedyrektor Gabinetu Ministra Becka. Tomir Drymmer, Naczelnik Wydziału Personalnego Ministerstwa.

Józef hr. Potocki, Naczelnik Wydziału Zachodniego, od 1944 Posel w Madrycie, sprawuje funkcje z ramienia Rządu R. P. w Londynie.

³⁾ 27 września, około godziny 18, telefonowałem do Bukaresztu w sprawie rzekomego pojawienia się tam Bohdana Podolskiego. Rozmawiałem z Ponińskim. Raczyński wyjechał z Bukaresztu, był właśnie «na audiencji u Pana Prezydenta». Na moje zapytanie czy bliską załatwienia jest sprawa naszych władz naczelnych (miałem na myśli przede wszystkim sprawę zwolnienia naszego Rządu z haniebnego internowania). Poniński odpowiedział, że sprawa ta właśnie jest w toku załatwienia i zależy od Paryża.

wymijająco; a pośrednio słyszałem tłumaczenie: prestiż alian-tów po kampanii polskiej upadł tak dalece, że ich reprezentanci nie mają żadnego realnego wpływu na Rumunię! —

Podawane przez Aleksandrowicza szczegóły ewakuacji z Polski rozpaczliwe. Pociąg ewakuacyjny naszego Ministerstwa był ostrzeliwany i bombardowany kilkadziesiąt razy w drodze. — Co się stało z odesłanymi podobno od granicy? — Główny podział urzędników nastąpił już w Krzemieńcu. Była to po prostu kwestia możliwości technicznych: brak był zupełny benzyny (przywieziono zdaje się trochę ze Śniatynia!) i tylko niewiele samochodów zdołało ruszyć. Reszta więc urzędników musiała pozostać, przede wszystkim wiele kobiet. Na granicy, w Śniatyniu, Drymmer zamierzył odesłanie części młodszych urzędników w głąb kraju, z poleceniem prowadzenia akcji dywersyjnej na tyłach niemieckich. Niektórzy zresztą sami nie chcieli wyjechać zagranicę. Między nimi Lipski: namawiany i przoszony stanowczo odmówił udania się do Rumunii i sam, z dwoma tylko sekretarzami, odszedł piechotą w głąb kraju. Tam błąkał się pono dość długo, aż wreszcie, gdy wkraczały już wszędzie zagony bolszewickie, przedostał się lasami i przeleczami na Węgry.

— Co stało się z archiwum MSZ? — Dużo zostało spalone. Główna jednakże część archiwum była ewakuowana i podróżowała w furgonach ewakuacyjnych przez Polskę. Nigdy jednak nie dojechała do Rumunii. —

— Co z resztą naszego skarbu? Co z walutami? Czy prawda jest, czy tylko wiadomością rozpuszczoną umyślnie, że część skarbu Państwa zatrzymana została przez Rząd rumuński? Biuletyny Banku Polskiego szacowały polską rezerwę złota na około 430 milionów; wywieziono przez Rumunię, Turcję, Syrię 330; co stało się z resztą? —

— Część złota (ale chyba nie tak znaczna) pozostała w Rumunii pod zastaw papierowych złotych, zmienionych przez uchodźców z Polski. Poza tym w Ambasadzie w Bukareszcie znajduje się fundusz FON: złoto, kosztowności, pieniądze. Beck jeszcze na długo przed wojną przekazał do Bukaresztu swój fundusz dyspozycyjny, około 6 milionów złotych¹⁾. Gdzie znajdują się waluty Banku Polskiego (około 30 milionów), gdzie reszta zapasu złota — nie jest jasne. —

Sytuacja finansowa uchodźców jest oplakana. Wyprzedają się, jeżeli wogóle coś posiadają, za byle co. Generał Rayski²⁾ sprzedał swój nowy samochód angielski za 200 dolarów. Wiele osób miało kosztowności, biżuterię: kupy rumuńscy oszukiwali na każdym kroku. Dopiero po jakimś czasie utworzono,

¹⁾ Przekazany następnie w całości Rządowi R. P. w Paryżu. (p.p.a.).

²⁾ Ludomir Rayski, generał, dowódca wojsk lotniczych.

w porozumieniu z naszym Rządem centralę zakupów i zabroniono ludności miejscowej kupowania czegokolwiek bądź na własną rękę.

Ankara, niedziela 8 października.

W Stambule opowiedziano mi postój naszego transportu w dniach 17—20 września. Tanker *Socony Vacuum*, zafrachtowany przez Anglików, przepłynąwszy szczęśliwie wzdłuż brzegów rumuńskich, potem linią wprost, wreszcie wzdłuż wybrzeży rumelijskich i przez Bosfor, przybył do portu w Stambule późnym popołudniem w niedzielę 17 września. Statek był niezmiernie powolny i pozbawiony wszelkich nowoczesnych urządzeń, między innymi przeładunkowych. Kapitan — zresztą zaprzyjaźniony z naszą załogą transportu — stanowczo odmówił ponownego wypłynięcia na otwarte morze, a w szczególności przeładowania na morzu; małe obciążenie statku i jego staromodna konstrukcja czyniły ryzykownym, jeśli nie niemożliwym, spuszczenie skrzyń ze złotem z wysokości burty na inny statek — specjalnie zaś na niski pokład statku wojennego. Cała ta operacja, powolna i technicznie trudna, tworzyłaby wymarzone warunki dla ataku łodzi podwodnych, a nawet dla wszelkiego sabotażu.

Wszyscy konwojenci transportu byli trzymaní przez cały czas na statku, bez prawa wyjścia na ląd; rozmowy odbywały się z podjeżdżających łodzi. Dopiero w przeddzień wyładowania, we środę 20 września, pozwolono kierownikowi transportu wyjść na ląd, jednakże z powodu nieporozumienia — przejścia przez inne niż wyznaczone drzwi — umówiona z nim konferencja nie doszła do skutku. Sam jednak fakt wyjścia na ląd, możliwość poruszenia swobodnego, miał wielki walor psychiczny.

Jak się okazuje, dobrze z daleka wyczułem imperatywną konieczność pośpiechu. Trzeba było z tym skończyć. Każdy dzień zwłoki zwiększał niebezpieczeństwo. Już sama pozycja statku: właśnie naprzeciw gmachu Ambasady niemieckiej. Trzeba było się liczyć z ewentualnym sabotażem, może statkiem wynajętym po to, aby okręt nasz uderzyć. Ostatniego dnia sytuacja była tak napięta, że przyspieszono odejście statku do azjatyckiego wybrzeża, nie czekając, jak to przedtem przewidziano, do zmroku. Nie na długo przed ruszeniem z miejsca postoju konsul angielski zauważył von Mensingena, vice-konsula niemieckiego, jak z wybrzeża lornetował długo nasz statek.

Uderzało, od początku do końca, poprawne, niezwykle lojalne zachowanie władz tureckich. Wszystko było w szczególności przygotowane i uregulowane, absolutny sekret zachowany, naokoło statku zorganizowana dyskretna ale ciągła ochrona. Specjalni urzędnicy byli wyznaczeni do stałej współpracy z naszym Konsulatem; uzgodnienia następowały na konferencjach z udziałem konsulów angielskiego i francuskiego. Dworzec w Haydar Pasza i pociąg były obstawione ogromną ochroną;

praca przeladunkowa poszła sprawnie, z wzorową szybkością. Dopiero zobaczywszy ten tryb pracy i te warunki ładowania, Matuszewski uspokoił się i rozchmurzył. Wszystko robiło wrażenie bezpieczeństwa, pewności, zaufania. W ostatniej chwili powstały obawy niedyskrecji dziennikarskich: wobec tego Vali Stambułu wraz z Rychlewiczem uzgodnili komunikat — rzekomo telegram z Londynu — ogłoszony nazajutrz przez *Agence Anatolie* i zacierający całkowicie ślady...

Koszta lądowego transportu określono od razu jako niskie; według Rychlewicza Orczykowski obliczał, że transport przez Turcję wypadł znacznie taniej niż gdzie indziej.

Ankara, poniedziałek 9 października.

Hulanicki¹⁾ pisze do mnie 4 października z Bejrutu: «wszystko odbyło się jak z nut, jeżeli chodzi o misję p. Matuszewskiego». Wiadomość ta uspakaja mnie ostatecznie co do dalszych losów transportu. Zresztą, z ulgą słuchałem onegdaj przez radio paryskie informacji iż «*l'encaisse d'or de la Banque de Pologne se trouve en sûreté... les droits des porteurs des titres sont assurés...*».

Koszta transportu, wraz z wszelkimi dodatkami, wyniosły około 60 i pół tysięcy funtów tureckich, czyli około 30 i pół tysięcy dolarów.

Michał SOKOLNICKI,

Ambasador R. P.

Teksty zapomniane

Cyprian Norwid do Mariana Sokołowskiego

Gdybym Ci nie odpowiedział (co wszelako byłoby wedle możliwości moich bieżącego czasu najwłaściwsze), tedy pomyśliłbyś o mnie, że jestem *impertinent i fanfaron*.

Powinienbym nic nie odpowiedzieć, bo sił nie mam do niczego i nadużyte są ze wszech miar.

Onegdaj wstałem od stołu i opuściłem towarzystwo, gdzie obiad jadłem, z wielkim podziwieniem świetnych dam i służących w pończochach po kolana: wstałem, bo *czułem, że dziś śnieg padać będzie* — na 3 dni pierwój czuję każdą zmianę powietrza i miewam spazm, który mi każe z bólu krzyknąć. — Powiedziawszy więc, że na 3 dni w górze jest śnieg, co upadnie, wyszedłem do siebie leżeć i boleć.

Dołącz do tego ruinę zupełną w mych interesach finansowych, teatralnych, księgarskich itd. — bo wszystko zrujnowane — zostaje mi jeden widok, którego kochana Ojczyzna nie szczędziła nigdy żadnemu z nas, to jest: Cudzoziemski szpital. —

Zresztą, kto dziś ma *kilkadziesiąt milionów* majątku jak Virgilius, i przez 20 lat pracuje nad poprawkami poematu, i spalić go każe na ostatek, i żyje za dni Augusta?

Im można było gawędzić o *harmonii*, której mi życzysz, kiedy ja obiegłem pół świata pracując, kilkanaście lat służyłem biednej ojczystej literaturze, której przecież i wstydu nie zrobiłem *tak u swoich jak u obcych*, i nareszcie złamanym będąc nie mogę mieć jednej płatnej korespondencji do jakiego Dziennika

1) Witold Hulanicki, Konsul Gen. R. P. w Jerozolimie do 1. I. 1940.

w Narodzie, który *Języka* (czy może *języka*) swego broni i Religii swojej?!

Któż u licha w bieżących kwestyach napół-kościelnych lepiej użytecznym być zdoła? — Ale zaiste że nie warto, *istotnie nie warto* nic dla tego umarłego społeczeństwa robić.

Powiedz ode mnie, komu chcesz, że (*fanfaron*) C.N. mówią, iż nic nie będzie pocziwego w narodzie, w którym

Energia jest 100,

a *Inteligencya* jest 3 —

— albowiem: tam zawsze pierwsza uprzedzi drugą, i wyskoczy, i zdradzi wszelki plan, i uniemożliwi go, i będzie tylko co kilkanaście lat rzeź (sic), rzeź niewinątek jednego pokolenia. I cała sprawa nie będzie sprawą ogółu, ale sprawą zawsze *jednego pokolenia*, i będzie zniszczenie i nicość: *tak będzie!*

Co do *Energii*, tej budżet jest takowy: w Kongresowej, w prowincjach, w Emigr., w armiach cudzoziemskich — jest Generałów sztuk 87 (z tych do 20 wódzów; Pułkowników i oficerów stopni niższych w tychże zliczonych zakresach sztuk 2,535; żołnierzy prostych: każdy wieśniak zdrow do lat 40, a kawaleryi zwłaszcza większość.

Teraz budżet *Inteligencji*:

Księgarzy czynnych, nakładców	2
Moralistów	0 (zero)
Filozofów.	2 1/3
Historyków	2 1/2
Krytyków.	0 (zero)

Poetów kilku — Czytających zaś i — kupujących książki 80.000.

Trzeba 80 drukarni — 20 dzienników różnej treści — 15 towarzystw uczonych, i pracy *w pocie czoła* natężonej stale i uważnie. Na to zaraz odpowiedź Melancholii, ale nie tej, którą Alfred Dürer silną narysował ręką, jeno Melancholii z fletem w rękę i włosom plugawie nieuczesanym, która Ci rzecze (na nutę piosenki Kalinowej lub *Aldony*):

«Gdzież rozwinać te prace — gdzie?

Kiedy my nie mamy pędzi ziemi?» etc... etc... —

Naprzód: *wszędzie*; powtóre — mój Boże — w Austrii jest większa wolność druku niż we Francji, a w Prusach równa

Paryskiej — nadto w Austrii jest jeszcze *enseignement obligatoire*, czego Francuzi dotąd nie mają. Oto odpowiedź!

Zaiste że słusznie przysłowie stare mówi, iż «*złej tanecznicy zawadzi i kwiatek w warkoczu*» — rymu niema! ale sens jest —

Jużci, naturalnie, jeżeli idzie o to, aby Niemcowi nawymyślać patriotycznie i grubijańsko, lub przeszwarcować karabiny, toć nikt nie jest taki głupi, aby sobie pozwolił z pod nosa wziąć prowincję i od państwa oderwać — ależ wolności druku Austriackiej ani Pruskiej nigdy *inteligencya* Polska cała nie użyła i nie wypełniła. Dowód jasny w ŚCISŁYCH cyfrach: w Galicyi:

Katolików Rzym ^{ch}	2.072.633
d° unickich	2.077.122
żydów	448.973
literatów i artystów razem wziętych	1.930!...

Ja wiem — powiesz mi na to, że *Inteligencya* Polska lubo na *kilkadziesiąt milionów ludności* jest *parę tysięcy*, jednakowoż za to uzacniona i upoważniona socjalnie — np. powiesz mi, że historyk Duchiniński, jakkolwiek tylko *nobilis polonus*, zasłużył na względy Pani Pruszek i ożenił się, co zaiste że jest bardzo pięknie — wszelako wiesz, co stary Dumas pisał o Rosyi i tajemnicach dworu tego a zbrodniach jego: jednakowoż Aleks. Dumas (syn) żeni się z *nieśluchanie bliską krewną Cesarzy Północy*, bo z p. Naryszkin. Czy też Juliusz Słowacki szlachcic polski mógłby był się ożenić z ostatnią hrabianeczką Polską? — dowód na to, kiedy się starał o panią W.

Wy, rewolucyoniści, wy postępowi ludzie, nie wzgardźcie gawędziarstwem retrogradysty i złamanego człowieka. Tam gdzie *Energia* jest 100, a *Inteligencya* jest 3 — i to jeszcze w *zupełnem lokajskim poniżeniu* — tam będzie co kilkanaście lat wyskok i rzeź jednego pokolenia — i matematycznie inaczej być nie może.

I jakże chcesz, abym Ci odpowiadał o ostatniej (wedle czasu) Encyklice, kiedy ta Encyklika przez publikację punktów *odwołaniem się jest bezpośrednio do wotum-ogólnego inteligencji świata*.

— To co o niej, *dziś, teraz*, mówią i piszą, *to mniej niż pierwsze wrażenie!*

1. Inteligencja dzisiejsza przywykła do czytania broszur trwałych 2 miesiące i pamfletów w dzienniczkach, śniadając... trzeba jej więc dużo czasu, nim oceni rzecz wyższej mądrości.

2. Publicystyka dzisiejsza *absolutnie* zaniedbała pojęcie słowa i ani pamięta o tem, iż *słowo* nietylko jest środkiem jest i celem —

3. Żadnemu dziś nie włożysz w głowę, iż Kościół nietylko obejma ale i przewodniczy, czyli że daje i przykład, aby każdy wierny równie przeciw wszystkim własnym interesom z prawdą stanął naga i nogą bosą, jak to uczynił Siedzący na stolicy apostołskiej — niech tylko ten wezmą przykład — FAGASY! to dość.

1865.

Cyprian Norwid.

CZAS I PRAWDA.

Tłur? ja świętych książek widziałem skonać —
 w samej wiosnie ich życia!.. a niebity tanie...
 I kiedy je składano ciekaw świat, by wysity
 Przewidując wiruszenie, albo okłask porzuty.
 I kiedy je sromowiska rejmano w paszuty.
 Świat szeptał, jak w atkowach, przed kałem, kobiety.
 A, gdy wysity? zostaty porwane — a potem
 Chwila cienia i ciszy, jak bywa przed gromem.
 Leś cutes, że amienacha światło się rozpostre
 Twierd kart i jak po nich biegnę noża ostre
 Cutes — — a w dni niewiele sty rates, co chwila
 W rozmowach sad i w którą się stronę przechyla.
 I jak porównany bywa winicieniem dierbaty
 Na ws? profaridka — w niesie? kuznem nowjstaj
 A w tydzień, już się same okładki tych książek
 Dochylają, jak kranice wrywanym wstajek
 Gdzie niegdzie i już leć, jak w pojniełny = swide
 Na niebotyrimy ustep, na skrupulatę = swide
 I tych a... że, ktoś chytkiem wmanukował niechcący

I stychać, że ktoś chytliem wemiankował niechący
 O pewnej innej książce, wyjść wkrótce mającej.
 — Tak jest dziś tu, i owdzie... lez u nas... wychodzą
 Książki?... za porus! — czyjny?... za wresnie się rodzą.
 Co, jeśli potwa?... może, będą mieli sily
 Wrenarad zonych wnuków; a rozum?... mogity!

Towarzystwo = uromyeh, niebawem w tej mierze
 Gdzieś — kiedyś — się zgromadzi skoro składki zbierze,
 I dnia tego Feniketon zaswita w Domawiu
 Poswizcony onemu rzezy oprowadaniu;
 A który, erytać będzie dobry obyswateł
 Takie, przez poruczenie (nie dla szczyrych bagatel!)
 Wtedy — sam Długosz wyjdzie: Nurjeret, zamieszć;
 „Z Berlina: stychać... kręzą newatpliwie wiesić;
 „Takhol wiek owym wiesiom, meze = zaufania;
 „Prerog — i rozdzielone są kręzące edania“
 — Lez, nieszpi konfesspondent = Prasu... ten, wymaca.
Grunt prawdy i affirmament prekwiśli jak saca;
Po obtokach = Homaeren postoci regisito,
By, worysikiemi oreknać języki, mysł erysta!
 *
 W każdym kraju, inawci =

71
 W każdym kraju inawci prawa się udziela
 Lub wiedzie jednego ma niepryjaćielu.
 A tym jen ktamstwo; twidzie llnistwo i pycha
 I nerwów wstret co, aby mieci potkaj, ucicha. —
 Mało dbając choć prawie, to, wiedzy = zaradkiem
 Ze bywa pierwej celem, nili środkim,
 I nie dziś język kwatując nie zgadziem wcale
 Jakże? głowie nim będą wesela, lub żale;
 Za lat sto... ie wieści, że boleć, że moda,
 Sta tego, się w Saksonim zawrzić nieumieją
 Tę, wedychają za prysztych, tkajoc, jak złota
 Do których inni pryszą, kt dzbany tonaleją
 I będą pić ochłade wyerespuję z dzbanu:
 Lub — mernalajszory zrodet, pojdzie im z ust piama!

Powyższy wiersz jest fotografią z tomu poezji Cypriana Norwida pt. «Vade-Mecum», wydanego po raz pierwszy w edycji fototypicznej przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie w 1947 r. z rękopisu, zachowanego w zbiorach Miriama-Przesmyckiego. Wydanie to zostało zaopatrzone przedmową prof. Wacława Borowego.

Archiwum polityczne

Nowy porządek w Europie wschodniej

Odrzucenie planu Marshalla przez Rosję Sowiecką i jej satelitów oraz zorganizowanie Kominformu jest niewątpliwie reakcją Moskwy na zasadnicze zmiany, jakie zaszły w amerykańskiej polityce zagranicznej z chwilą ogłoszenia tzw. doktryny Trumana. Wspomniane posunięcia kierowników sowieckiej polityki zagranicznej muszą jednak być rozpatrywane także z punktu widzenia dotychczasowej linii polityki sowieckiej względem Europy, zwłaszcza państw pozostających w rosyjskiej strefie wpływów. Rozwój wydarzeń politycznych w Europie wschodniej i ostatnie posunięcia partii komunistycznych we Włoszech i we Francji wskazują bowiem na to, że Związek Sowiecki wszedł na drogę otwartej dyktatury nad wschodnią częścią Europy a na Zachodzie powrócił do starej taktyki rewolucyjnej.

Jeśli chodzi o Europę wschodnią, powzięcie tak zasadniczej i niedwuznacznej decyzji stało się możliwe dzięki poważnym sukcesom uzyskanym przez politykę sowiecką na tym obszarze w ciągu ostatnich kilku lat. Wejście Rosji — a co za tym idzie i partii komunistycznych — na arenę wewnątrz-polityczną poszczególnych państw Europy wschodniej nie we wszystkich wypadkach było uwarunkowane wkroczeniem armii sowieckiej i narzuceniem reżymu przychylnego Moskwie, jak wskazuje choćby przykład Jugosławii. Z drugiej strony sam fakt posunięcia się armii sowieckiej tak daleko na zachód należy przypisać w dużej mierze wysiłkom dyplomacji i propagandy sowieckiej, które, po dwudziestu siedmiu latach istnienia totalnego państwa sowieckiego, potrafiły stworzyć w społeczeństwach Zachodu mit dobrej Rosji, gotowej do współpracy ze wszystkimi siłami postępowymi świata.

Po przeniknięciu armii czerwonej na teren Europy wschodniej polityka sowiecka znalazła się wobec odmienionych warunków politycznych w poszczególnych krajach, które z grubsza

podzielić można było na dwie grupy: 1) państwa będące w sojuszu z Niemcami, 2) państwa alianckie. Pomimo tego formalnego podziału, rzeczywiste ukształtowanie sił politycznych i społecznych miało szereg cech podobnych we wszystkich częściach tego obszaru. Wszędzie lub prawie wszędzie klasa rządząca i część inteligencji skompromitowane były łącznością z grupami dążącymi przed wojną do wprowadzenia ustrojów totalitarnych na wzór Niemiec i Włoch, lub też zostały splamione współpracą z Niemcami w czasie wojny; większość państw wschodnio-europejskich cierpiała na chroniczny brak równowagi społecznej z powodu małego uprzemysłowienia, stałego głodu ziemi i istnienia ogromnej liczby niezadowolonej, politycznie nieświadomościowej i ubogiej ludności rolniczej. Najważniejszą jednak z punktu widzenia sowieckiego a zarazem najbardziej powszechną cechą życia politycznego wszystkich tych państw była słabość ich partii komunistycznych. Wszystkie te okoliczności, zwłaszcza ostatnia, decydowały o kierunku i metodach polityki sowieckiej na obszarze Europy wschodniej.

Dotychczasowy przebieg tej polityki można podzielić na dwa okresy:

1. od wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, 22 czerwca 1941, do ostatnich miesięcy 1944 r. i pierwszych miesięcy 1945 r., gdy pod egidą sowiecką zaczęły działać w Europie wschodniej rządy oparte o koalicję komunistów ze stronnictwami lewicą demokratyczną, uformowane ze zgodą mocarstw zachodnich;

2. mniej więcej do połowy 1947 r., ze wspomnianą decyzją Moskwy w sprawie Planu Marshalla i Kominformu jako zakończeniem tego okresu.

Przy analizie wypadków politycznych w poszczególnych krajach obszaru nas interesującego dochodzi się do wniosku, że w każdym z nich został wprowadzony w życie ten sam plan ogólny. Równocześnie należy zauważyć różnice w jego wykonaniu, polegające nie tylko na odpowiednim regulowaniu tempa wypadków i dostosowaniu się do warunków miejscowych, lecz także na umiejętnym wykorzystywaniu błędów przeciwnika. Różnica wykonania planu w Bułgarii i Jugosławii jest bardzo pouczająca.

Zarówno w Bułgarii jak i w Jugosławii Sowiety przystępują do tworzenia wojskowo-politycznych grup oporu w końcu 1941 r. I tu i tam emisariusze Moskwy starają się w ciągu 1942 r. wejść w porozumienie z przedstawicielami głównych ugrupowań demokratycznych w imię wspólnej walki z Niemcami, co im się częściowo udaje. W Bułgarii, nie biorącej czynnego udziału w wojnie przeciwko Rosji, rządzonej przez reżym współpracujący z Niemcami, komuniści mają ułatwione zadanie. W Jugosławii natomiast na przeszkodzie stoi legalny rząd tego kraju, przebywający zagranicą, i gen. Michailowicz ze swoimi Czelnikami, będący wtedy u szczytu popularności. Otóż, od pierwszego dnia oficjalnych narodzin ruchu Tita (22 lipca

1942), «Wolna Jugosławia» — krótkofalówka działająca z Tyflisu — podała wiadomość o zorganizowaniu armii oswobodzenia Tita, jednocześnie oskarżając Michajłowicza o współpracę z nieprzyjacielem, cały aparat dyplomatyczny i propagandowy Rosji Sowieckiej zrobił zupełnie niespodziewany zwrot o 180 stopni i ruszył do ataku przeciwko Michajłowiczowi i władzom, które on reprezentował. Korzystając z tego, że wiadomości przenikających z Jugosławii nie można było łatwo sprawdzić, propaganda sowiecka rozpoczęła kampanię zakrojoną na olbrzymią skalę, starając się wszelkimi sposobami udowodnić, że Michajłowicz to zdrajca i zacofaniec, zaś Tito szczyry demokracja i najpoważniejszy wróg Niemiec w Jugosławii. W międzyczasie Tito rozpoczął działania wojenne przeciwko Michajłowiczowi. Błędy uchodźczego rządu jugosłowiańskiego, który nawet w obliczu największego niebezpieczeństwa nie zdobył się na zażegnanie starych sporów dzielnicowych i na opracowanie wyraźnej polityki narodowościowej, starannie wykorzystano: Tito ogłosił nadzwyczaj atrakcyjny program reorganizacji państwa na zasadach federacyjnych, czym bardzo wzmocnił swą pozycję. Tymczasem, ze zmianą sytuacji wojennej na niekorzyść Niemiec, rósł autorytet Rosji, rosły wpływy jej propagandy, rosły także zachwyty rozmaitych pastorów anglikańskich i lewicowców amerykańskich nad nowoodkrytą «demokratycznością» komunistów. Rządy demokracji anglosaskich, wyznające zasadę «arms to those who can use them», oprowadzane pragnieniem jak najszybszego rozbitcia Niemiec przy najmniejszych stratach własnych, poparły Tita, dostarczyły mu poważnych ilości uzbrojenia i żywności, cofając równocześnie pomoc Michajłowiczowi. Tym samym los Michajłowicza i jego armii został przesądzony.

W Bułgarii działalność partyzantów była słaba i sporadyczna, bynajmniej jednak nie dlatego, że nie można było zorganizować ruchu podziemnego na wielką skalę, lecz po prostu dlatego, że komunistom to nie było potrzebne. Po pewnym okresie intensywnej działalności doszli oni do porozumienia z N. Petkowem, leaderem stronnictwa ludowego, najliczniejszej i najważniejszej organizacji politycznej bułgarskiej, oraz z Kimonem Georgiewem, przywódcą grupy «Zweno», składającej się z wyższych wojskowych i postępowej części inteligencji bułgarskiej. Wynikiem tego porozumienia była koalicja trzech stronnictw pod nazwą «Front Ojczyźniany» (Oteczestven Front) i wyłonienie, na wiosnę 1944, tajnego gabinetu koalicyjnego z Kimonem Georgiewem jako premierem i N. Petkowem i Dobri Terpeszewem (komunistą) jako wice-premierami. Stanąwszy w ten sposób w pierwszych szeregach ruchu oporu, komuniści spokojnie czekali upadku ówczesnego proniemieckiego reżymu bułgarskiego. Mając za sobą wojsko — (Zweno) i chłopów, — (Petkow), rząd koalicyjny frontu ojczyźnianego doszedł do wła-

dzy niejako automatycznie w dniu 9 września 1944 r., życzliwie witany przez ogół narodu bułgarskiego.



W tym samym czasie również i w Jugosławii pierwszy okres działalności komunistów dobiegał końca. Przy pomocy usłużnego Foreign Office i przy silnym nacisku osobistym Churchill'a na króla Piotra, doprowadzono na jesieni 1944 r. do ugody między premierem rządu emigracyjnego Subaszicem a Titem. Końcowym wynikiem tych wysiłków było stworzenie w dn. 6 marca 1945 rządu tymczasowego w którym Tito objął stanowisko premiera, Subaszicz — ministra spraw zagranicznych. Do rządu tego weszli m.i. leaderzy partii republikańskiej i demokratycznej, Jasza Prodanowicz i Milan Grol.

Zarówno więc w Bułgarii jak i w Jugosławii komuniści dochodzą do władzy przy pomocy innych stronnictw, zobowiązując się przy tym do przestrzegania wszystkich zasad demokracji politycznej.

W drugim okresie polityka sowiecka przystąpiła do organizowania miejscowych partii komunistycznych, stopniowego opanowywania aparatu państwowego, a w końcowym etapie do likwidacji tych osób i tych stronnictw politycznych, które cieszyły się największym poparciem społeczeństwa. Zaczęło się od fałszowania wyborów przy pomocy poprzednio opanowanej terrorem służby bezpieczeństwa. «Zwycięstwo» w wyborach umożliwiło komunistom rozwinięcie szerokiej działalności ustawodawczej i przeprowadzenie całego szeregu reform politycznych i gospodarczych. Pozycja komunistów w niektórych państwach wschodnio-europejskich wzmocniła się tak bardzo, że puszczono w ruch cały arsenał środków represji i gwałtu, jakim rozporządza sowieckie MGB: obozy koncentracyjne, aresztowania w nocy, tajemnicze znikanie «niebłagonadiożnych», wyreżyserowane procesy polityczne, itd. I znowu, wprowadzanie sowieckich metod totalitarnych bynajmniej nie odbywa się równocześnie we wszystkich państwach strefy sowieckiej. Najgorzej pod tym względem przedstawia się sytuacja na Bałkanach, gdzie Jugosławia uległa największej, prawie zupełnej sowjetyzacji, zaś rządy Bułgarii i Rumunii coraz gorliwiej idą śladami Tita. W tych dwu państwach komuniści przystąpili do ostatecznego i całkowitego niszczenia wszelkiej opozycji politycznej. Rząd Dimitrowa nie zawahał się skazać na śmierć (16 sierpnia ub.r.) N. Petkova, jednego z najbardziej szanowanych polityków bułgarskich i jak zaznaczyłem wyżej, jednego z przywódców antyniemieckiego ruchu oporu w czasie wojny. Wyrok wykonano pomimo licznych protestów i interwencji ze strony rządów Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. Razem z Petkowem postawiono w stan oskarżenia całe bułgarskie stronnictwo ludowe i zlikwidowano całkowicie jego organizację, włącznie z prasą. W ten sposób, udawadniając Petkowowi, przy

pomocy starannie spreparowanych świadków, działalność, która rzekomo miała na celu obalenie obecnego reżymu bułgarskiego przez zamach stanu, komuniści bułgarscy pozbyli się najpoważniejszej — właściwie, jedynej — przeszkody stojącej na drodze do sowietyzacji kraju. Mała grupka socjalistów opozycyjnych na czele z Lulczewem, wegetująca na peryferiach życia politycznego, nie stanowi dla komunistów żadnego niebezpieczeństwa. Z kolei przystąpiono do niszczenia prawdziwych lub domniemanych wrogów wewnątrz frontu ojeźnianego: niedawno zakończył się proces gen. Stanczewa; wysunięto poważne oskarżenia w stosunku do gen. Welczewa, posła bułgarskiego w Szwajcarii. Atak komunistów na trzeciego członka słynnego we współczesnej historii bułgarskiej triumwiratu kierującego «Zwenem» Kimona Georgiewa zapewne rozpocznie się wkrótce.

W Rumunii, w końcu sierpnia 1947, aresztowano wielu wybitnych działaczy dwu najpoważniejszych partii politycznych, liberalnej i ludowej, łącznie z ich leaderami, Bratianu i Maniu. Tego ostatniego, jako bardziej niebezpiecznego, skazano na dożywotnie więzienie. W Jugosławii politycy demokratyczni, którzy układali się z Titem już dawno zesłali ze sceny, przeważnie w sposób tragiczny. Sytuacja PSL i przyczyny wyjazdu Mikołajczyka z Polski są dobrze znane czytelnikowi polskiemu.

Równoległe z akcją polityczną, Rosja Sowiecka przeprowadza, w drugim okresie, gdy komuniści mają już decydujący wpływ na ustawodawstwo, szereg reform natury gospodarczej. By należycie określić naturę i cel tych reform wystarczy przyjrzeć się sytuacji w Rumunii. W tym kraju, jako najbliższej Rosji położonym b. kraju nieprzyjacielskim, wewnętrzny i zewnętrzny nacisk gospodarczy Sowietów jest najbardziej widoczny.

Jak pisze londyński «Economist» ,narodowy dochód Rumunii był w 1938 r. obliczany na £ 400 mil. co się równa £ 330 mil. w stosunku do obecnego terytorium. Od czasu zwrócenia się Rumunii przeciwko Niemcom (sierpień 1944) dochód ten nie przekroczył £ 200 mil. rocznie. Z tego dochodu oraz z kapitału ruchomego i towarów konsumpcyjnych istniejących w kraju, Rumunia zapłaciła Rosji Sowieckiej do lipca 1946 równowartość £ 250 mil. Od tego czasu Rosja otrzymała co najmniej jeszcze £ 150 mil. Poza tym Rumunia wydatła w tym okresie £ 110 mil. na uzbrojenie i utrzymanie wojska. To znaczy, że od sierpnia 1944 do sierpnia 1947 Rumunia zapłaciła Rosji około £ 510 mil. co prawdopodobnie równa się całemu jej dochodowi narodowemu w tym okresie. Do tego trzeba dodać, że władze sowieckie postarały się równocześnie wywieźć z Rumunii wielką ilość maszyn i urządzeń fabrycznych oraz pozbawić ją dwu trzecich jej transportu kolejowego; prawie cała rumuńska flota handlowa przeszła w ręce Rosji wskutek konfiskaty przez sowieckie władze wojskowe.

W chwili obecnej Rosja Sowiecka jest najpoważniejszym

czynnikiem w życiu gospodarczym Rumunii, przejęła ona bowiem kontrolę nad wszystkimi gałęziami gospodarki rumuńskiej przy pomocy handlowych towarzystw sowiecko-rumuńskich (tzw. Sowrom). Towarzystwa te, wyraźnie faworyzowane przez państwo, opanowały całkowicie żeglugę wodną i powietrzną, produkcję drzewa i przemysł drzewny, bankowość i ubezpieczenia oraz produkcję ropy nie należącej do kapitału obcego.

Dzięki wyżej wyliczonym metodom działalności gospodarczej Sowietów, a także z powodu złych zbiorów w dwu ostatnich latach, Rumunia znalazła się w rozpaczyliwej sytuacji ekonomicznej. W tajnym memorandum przedstawionym rządowi rumuńskiemu w końcu maja 1947 przez wicepremiera Tatarescu wymienione są i inne przyczyny:

«Najważniejszą przyczyną utrzymania się produkcji krajowej na tak niskim poziomie po klęsce suszy, jest ogólny brak zaufania, co uniemożliwia użycie wszystkich sił narodu do walki z kryzysem gospodarczym».

Brak zaufania w społeczeństwie jest, według Tatarescu, spowodowany «ekscesami przy przeprowadzaniu aresztowań», «złym traktowaniem więźniów politycznych» i, na końcu, stosowaniem przez rząd systemu rekwiizycji ze wszystkimi nadużyciami, które mu towarzyszą. Memorandum kończy się twierdzeniem, że Rumunia koniecznie potrzebuje pożyczki zagranicznej w wysokości 600 mil. dolarów. Od czasu przedstawienia memorandum Tatarescu, sytuacja gospodarcza Rumunii nie uległa żadnej prawie poprawie, co nie przeszkodziło opanowanemu przez komunistów rządowi Grozy odrzucić propozycje Marshalla.

Sytuacja gospodarcza innych krajów Europy wschodniej nie przedstawia się tak beznadziejnie jak w Rumunii. Niemniej, tak samo jak w życiu politycznym, wszędzie reformy gospodarcze forsowane przez komunistów idą w tym samym kierunku i dążą do zupełnego upaństwowienia wszystkich gałęzi przemysłu i handlu oraz do związania poszczególnych gospodarstw narodowych z Rosją. Proces ten posuwa się z największą szybkością tam, gdzie aparat gospodarczy jest najsłabszy lub najbardziej zniszczony, a najwolniej tam, gdzie jest on najbardziej zrównoważony i rozwinięty (Czechosłowacja).

Związanie gospodarcze obszaru wschodnio-europejskiego ze Związkiem Sowieckim odbywa się ze szkodą dla sprawy odbudowy ekonomicznej tego obszaru, zniszczonego przez wojnę. Nowa, przemocą narzucona orientacja gospodarcza państw sowieckiej strefy wpływów jest skutkiem coraz silniej przejawiających się tendencji autarchicznych, postępujących równoległe z szybko zwiększającą się izolacją polityczną Rosji. W tej sytuacji państwa wschodnio-europejskie niczego dobrego spodziewać się nie mogą, albowiem systemy gospodarcze Zw. Sowieckiego i Europy wschodniej nie uzupełniają się wzajemnie: wprost przeciwnie, systemy te są do siebie podobne, świadczą

o tym najlepiej dane o handlu zagranicznym państw strefy sowieckiej (według pisma «World Report»; podane przez nowojorski «Socjalistyczny Westnik») za rok 1938:

Cyfry procentowe importu państw strefy sowieckiej

	Z Europy zachodniej	Z obszaru strefy sowieckiej i Rosji
Polska	53% całego imp.	9%
Czechosłowacja	59	17
Jugosławia	63	22
Węgry	63	27
Bułgaria	81	16
Finlandia	77	10
Rumunia	70	23

Ogółem, państwa wschodnio-europejskie dostały 61% swego importu z Europy zachodniej; państwa zachodnio-europejskie natomiast otrzymały z Europy wschodniej tylko 9,5% całości towarów importowanych. Jest więc rzeczą zupełnie jasną, że najmniejsze nawet zahamowanie wymiany towarowej pomiędzy tymi dwiema częściami Europy musi odbić się ujemnie na sytuacji gospodarczej większości państw strefy sowieckiej.

Po wojnie sytuacja uległa zasadniczej zmianie. «Economist» oblicza, że w 1946 r. Polska otrzymała 74% swego importu z Rosji Sowieckiej, Węgry — 49%, Bułgaria — 82%.

Zasadniczy kierunek polityki sowieckiej, jasno wyływający z pobieżnego przeglądu rozwoju wypadków na terenie państw strefy sowieckiej, potwierdza się przez ostatnie wydarzenia: katastrofa PSL, kryzys polityczny w Czechosłowacji, proces Maniu i zlanie się partii socjalistycznej z komunistyczną w Rumunii, niedwuznaczne metody nakłaniania socjalistów środkowo-europejskich do «współpracy» z komunistami, wszystko to zwiastuje bliski koniec NEP'u politycznego na całej przestrzeni tego obszaru — który odtąd należałoby nazywać sowiecką strefą okupacyjną — oraz znaczne przyspieszenie procesu jego sowietyzacji. Równocześnie zaczyna wchodzić w stadium realizacji tzw. plan Dimitrowa, polegający na zjednoczeniu Bułgarii i Jugosławii w jedno państwo federacyjne z jednoczesnym związaniem tego jądra komunizmu na Bałkanach z Rumunią, Węgrami i Albanią za pomocą traktatów przyjaźni i wzajemnej pomocy; wszystkie odnośne układy już są zawarte, należy więc, zgodnie z niedawnym oświadczeniem wice-premiera Bułgarii T. Kostowa, oczekiwać aktu unii w najbliższych miesiącach. W odróżnieniu od dwu pierwszych okresów, widzimy jak w tej chwili powstaje na Bałkanach ośrodek wojskowo-polityczny sowiecki skupiający dookoła siebie wszystkie państwa środkowo-europejskie z wyjątkiem trzech: Polski, Czechosłowacji i Finlandii. Zarówno kierunek wysiłków sowieckich jak i szybkość z jaką zamysł strategiczny Kremla ulegają urzeczywistnieniu, każą się liczyć z rozpoczęciem wielkiej politycznej ofensywy sowieckiej w kierunku Bliskiego Wschodu w bardzo niedługim

czasie. Ofensywa ta rozpocznie się z pewnością od zwiększenia presji na Grecję i podniesienia sprawy macedońskiej, a jej minimalne obiektywy będą: Stambuł dla Rosji oraz wschodnia Tracja wraz z Salonikami dla zjednoczonych Jugosłowian. W każdym razie, stworzenie nowego państwa jugosłowiańskiego, liczącego około 25 mil. mieszkańców i zajmującego kluczową pozycję geograficzno-strategiczną, będzie z pewnością najbardziej konkretnym a zarazem najbardziej niebezpiecznym dla pokoju światowego posunięciem Moskwy od czasu zakończenia wojny.

Ironia losu chce, że dziś, kiedy pojęcie żelaznej kurtyny zostało doszczętnie ośmieszona przez propagandę sowiecką i przez tyłu ożywionych najlepszą wolą parlamentarzystów i dziennikarzy brytyjskich — kurtyna ta zaczyna rzeczywiście zapadać. Z opuszczeniem się tej kurtyny, dzielącej Europę na dwa wrogie obozy, staje się widoczna w całej swojej wyrazistości zupełna klęska jaltańskiej i po-jaltańskiej polityki państw anglosaskich, polityki, która zakończyła się całkowitą eliminacją ich wpływów w wschodniej części Europy.

Czym należy tłumaczyć tę klęskę dyplomacji anglosaskiej? Czy Churchilla, Roosevelta i innych polityków Zachodu naprawdę «oszukanos», jak twierdzą obecnie niektórzy publicyści amerykańscy? Czy na Zachodzie naprawdę wierzono w uczciwe intencje Rosji? — Otóż, jednym z najbardziej brzemiennej w konsekwencje zjawisk ostatniej wojny była łatwość z jaką opinia publiczna na Zachodzie, zwłaszcza w W. Brytanii, podchwyciła i uwierzyła w ad hoc sfabrykowany przez propagandę sowiecką mit o demokratyczności polityki sowieckiej, demokratyczności w zachodnim tego słowa znaczeniu, a to pomimo tylkrotnych zmian «generalnej linii partii» od powstania państwa sowieckiego do początku wojny 1939-45. Ale kierowników polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii nie można posądzać o taką łatwowierność. Nawet jeśliby można było przypuścić, że nie słyszeli oni nigdy, czy nie chcieli słyszeć, o wszechświatowych dążeniach komunizmu sama wojna w pierwszych swych trzydziestu miesiącach dostarczyła dostateczną ilość przykładów naświetlających istotne założenia polityki Związku Sowieckiego. Jakże bowiem wnioski można było wyciągnąć z faktu sprzymierzenia się Rosji z Hitlerem w 1939 i z rozpoczęcia agitacji przeciwko «wojnie imperialistycznej państw zachodnio-europejskich» przez wszystkie agentury komunizmu sowieckiego zagranicą? Jak należało oceniać istotną wartość koncesji sowieckich na rzecz opinii światowej — rozwiązanie Kominternu, reforma kościelna, układ z Polską — poczynionych w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, grożącego Rosji ze strony Hitlera? — Czy usztywnienie polityki sowieckiej w stosunku do Polski zaraz po Stalingradzie i wysunięcie w tym samym czasie Tita, którego ruch Rosja «budowała» i trzymała w ukryciu od lata 1941, nie musiały doprowadzić

do wyciągnięcia tychże, logicznie nasuwających się wniosków?

Teorii o «nawności» polityków Zachodu przyjąć nie można. Na politykę appeasementu złożyło się wiele przyczyn: szantaż operujący straszakiem zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami, niewątpliwe wmanewrowanie polityki anglosaskiej w uliczkę bez wyjścia przez propagandę sowiecką działającą na społeczeństwa Zachodu, to leży u podstaw appeasementu. Lecz najważniejszej przyczyny należy szukać w samym założeniu polityki wojennej dwu państw anglosaskich: oto, politycy tych państw uwierzyli niewzruszenie, że «Rosja będzie potrzebować pomocy państw demokratycznych, bo nie będzie w stanie podnieść sama swej gospodarki zniszczonej przez wojnę». Na tle ogólnej bezideowości jaka panowała w obozie demokratycznym w czasie wojny, ta mocna wiara dziwne zaiste sprawia wrażenie. Z formułki tej zrobiono aksjomat i zbudowano na nim cały gmach powojennej współpracy między Zachodem a Rosją, z której to współpracy kapitaliści amerykańscy i brytyjscy szykowali się do wyciągnięcia nienajgorszych zysków. W tym bezkrytycznym przyjęciu racjonalistycznej formułki, opartej o materialistyczną interpretację rzeczywistości, przejawia się cała głębia kryzysu duchowego i myślowego Zachodu: politycy zachodnio-europejscy, przedstawiciele «duchowej» kultury chrześcijańskiej, indywidualizmu, itd., wierzą w nieodwracalność procesów gospodarczych, wcale nie zdając sobie sprawy z tego, że codzienna rzeczywistość ekonomiczna właśnie w Rosji sowieckiej zadaje kłam materialistycznej interpretacji życia. Niedoceniając olbrzymich korzyści jakie daje Rosji posiadanie i operowanie uniwersalną ideą komunistycznej rewolucji światowej oraz możliwość całkowitej kontroli i doktrynalnego kierowania całością aparatu gospodarczego Związku Sowieckiego, politycy Zachodu poszli po starej, wypróbowanej drodze empiryzmu oportunistycznego, wierząc w niechybne nadejście okresu, w którym z kolei Rosja będzie zmuszona do koncesji.

Skutki tej polityki dopiero teraz dają się odczuć w całej pełni; dopiero teraz szuka się środków zaradczych, by przeciwdziałać zalewowi komunistycznemu. Wyniki dotychczasowych starań Ameryki, ogłoszenie doktryny Trumana, plan Marshalla, amerykańska pomoc Turcji i Grecji, nie dały tych wyników jakie należało oczekiwać. Dowodem jest coraz bardziej pogarszająca się sytuacja polityczna w Grecji, gdzie pomimo pomocy amerykańskiej, materialnej i dyplomatycznej, powstańcy komunistyczni coraz bardziej zyskują na sile. Plan Marshalla może być dobrym początkiem, niemniej daje się wyraźnie odczuć potrzebą planu ogólnoswiatowego, przewidującego mobilizację zarówno duchową jak i materialną wszystkich sił, jakimi dysponuje świat wolny, przeciwko któremu wszechświatowy komunizm totalistyczny prowadzi od dawna nieubłaganą, globalną wojnę.

Witold KORWIN.

Książki

Książki angielskie

Odczyt T. S. Eliota «Milton», wydany teraz drukiem (Geoffrey Cumberlege), wywołał niemałą sensację już w marcu ub. r., kiedy został wygłoszony w British Academy. Eliot jest nie tylko wielkim poetą, ale także znakomitym krytykiem. Można się nawet spotkać z głosami — prawda że raczej rzadkimi — iż do historii literatury angielskiej przejdzie on przede wszystkim jako wielki krytyk, a potem dopiero jako poeta. Jego reputacja jako krytyka opiera się nie tylko na rozległości i gruntowności jego kultury literackiej, na oryginalności i subtelności poszczególnych spostrzeżeń, na precyzji i jasności sformułowań (tak jasnowrodo odbijających od mgławicowej profetyczności wypowiedzi krytycznych naszych koryfeuszów poetyckich), ale przede wszystkim na tym, iż potrafił dać coś więcej niż sumę bystrych i ciekawych spostrzeżeń krytycznych, spostrzeżenia te ujął bowiem w ramy swojej teorii kultury, przede wszystkim w ramy oryginalnej dynamicznej teorii tradycji. Pisał u nas o tym przed wojną pięknie Wacław Borowy w studium o Eliocie jako o krytyku nie ma więc potrzeby do tych rzeczy tu wracać.

Ale poruszenie, jakie «Milton» Eliota wywołał w angielskim świecie literackim, miało jednak jeszcze i swoje specjalne powody. W ciągu ostatnich trzydziestu lat Milton był w Anglii ośrodkiem zaciętych sporów i dyskusji. Mało było poetów, których by w owym czasie tak zawzięcie atakowano i tak namiętnie broniono — jak właśnie Miltona. Znaczenia sporom tym dodawała ta okoliczność, że cały szereg zasadniczych kwestii literackich dyskutowano tu na przykładzie Miltona czy też biografii Miltona za punkt wyjścia. Odegrał więc taką samą rolę jaką przypadła w latach międzywojennych Racine'owi we Francji, gdzie np. Giraudoux atakując Mauriac'a za jego książkę o Racine, dyskutował na jej przykładzie niebezpieczeństwo konstruowania biografii pisarza z materiałów fikcji literackiej jego

dziel, czy gdzie ks. Bremond na przykładzie ustępów z tragedii rasynowskich uzasadniał swoją teorię «talizmanów» poetyckich.

Przed ówczesnym wiekiem Eliot był w awangardzie krytyków, zwalczających Milтона. Atakując Milтона torował drogę swojej, nowej poezji. Jako krytyk Eliot uważa się za klasyka-tradycjonalistę, ale jego pierwsze wystąpienie w r. 1917 było rewolucją w dziejach poezji angielskiej. Eliot zrywał z konwencjami poetyckiego języka przeszłości, dążył do odświeżenia języka poezji przez oparcie go na tej angielszczyźnie, jaką się rzeczywiście dzisiaj w Anglii mówi. Obrazowanie poetyckie budował na tych asocjacjach jakie w umyśle współczesnego Anglika dzisiaj powstają. Ideałem jego był idiom poetycki jak najbardziej zbliżony do kolokwialnej angielszczyzny dnia codziennego (co nie przeszkadza zresztą, że jego poezja to typowa «docta poesis»). A tymczasem Milton jest wśród wielkich pisarzy angielskich przykładem poety, którego język poetycki jest świadomie i konsekwentnie sztuczny, bardzo odległy — drogą użycia archaizmów, nowotworów, obcego angielszczyźnie szyku wyrazów — od owoczesnej potocznej angielszczyzny. Walcząc z Miltonem, Eliot walczył więc z tradycją języka poetyckiego świadomie skonstruowanego tak, aby był czymś zasadniczo różnym od języka mówionego.

Otóż — i tu właśnie tkwi element sensacyjności — ostatni odczyt jest wyrazem hołdu dla Milтона jako dla wielkiego pisarza, który może i powinien być dla dzisiejszego poety źródłem żywej, aktywnej tradycji. Odczyt został też przez niektórych krytyków pojęty jako rodzaj palinodii, odwołania dawnych, burzycielskich poglądów. Jeśli się jednak sprawie bliżej przyjrzeć, to okaże się, że w postawie Eliota mniej jest tu niekonsekwencji, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało.

Przed dwudziestu pięciu laty Eliot był w poezji młodym rewolucjonistą, torującym drogę dla swojej bardzo niepodobnej do dotychczasowej poezji. Dzisiaj sam jest jednym z klasyków. Nie ma już dziś wątpliwości, że poezja jego to jeden ze zwrotnych punktów w dziejach angielskiej liryki i angielskiego dramatu poetyckiego. Stworzył wielką szkołę poetycką. Nie podobna po nim pisać po angielsku wierszy tak jak to pisano przed nim. Dzisiaj nowa rewolucja musiałaby być rewolucją przeciwko — Eliotowi.

Na tym tle zrozumiałe się stają uwagi końcowe odczytu. «Nie można — pisze Eliot — w literaturze, tak samo jak i gdzie indziej w życiu być w stanie stałej rewolucji». Każda epoka musi dążyć do tego, aby jej poetycka dykcja dogoniła język mówiony, ale z chwilą kiedy ten stan rzeczy zostanie raz osiągnięty, język poetycki staje wobec innego, odwrotnego niebezpieczeństwa, wobec niebezpieczeństwa mianowicie zbyt gwałtownej ewolucji, która by była równoznaczna z jego spopolizowaniem, która by była zerwaniem łączności z tradycją. Poezji grozi dzisiaj «niebezpieczeństwo niewoli u języka potocznego» i

terminowanie u Milтона z jego «bardziej wypracowanym wzorem dykcji» winno poetę uchronić przed tym niebezpieczeństwem. Bo Milton to w języku angielskim «największy mistrz wolności w ramach formy». Krótko mówiąc, w odczycie Eliot mówi czytelnikowi: rewolucję ja już raz zrobiłem i nie ma potrzeby jej teraz powtarzać. Przeciwnie, czego nam teraz potrzeba, i to na długie lata, to nawiązania do tradycji. Jak widzimy zatem, niekonsekwencje stanowiska Eliota są w gruncie rzeczy zgodne z logiką rozwoju każdego rewolucjonisty, któremu udało się zdobyć władzę.

Te same okoliczności, które nadały odczytowi Eliota posmak sensacyjności, sprawiają równocześnie, że zasięg jego treści jest w gruncie rzeczy ograniczony. Eliot w odczycie swoim patrzy na Milтона z punktu widzenia jego przydatności dla współczesnego poety. Naprawdę zaś istotne pytanie to czy i o ile Milton jest dzisiaj żywą, aktywną tradycją dla każdego czytelnika, a nie tylko dla takiego, który ma się na nim uczyć wiersze pisać. To jest kluczowy problem miltonowskiej krytyki. W odczycie zabaczają o ten problem pewne, poszczególne uwagi — zbyt liczne dodawać że, jak w każdej rzeczy Eliota, głębokie i oryginalne — ale całość cierpi na pewien przerost ciasno formalnego punktu widzenia. Dodajmy, iż czuje się wyraźnie, że podziw Eliota dla Milтона jest w znacznej mierze wyrozumowany: brak mu spontaniczności, obstawiony jest zastrzeżeniami.



Za życia Virginii Woolf wielka powieściopisarka przysłoniła niemal zupełnie Virginie Woolf krytyka. Dzisiaj proporcje te nieco się zmieniły. Podczas gdy na powieści jej przysła raczej zła passa, to dwa tomy jej szkiców krytycznych «The Common Reader» uważane są dziś powszechnie za jedno z arcydzieł esayistyki angielskiej. Ciągłe też, mimo że od jej śmierci upłynęło już z górą sześć lat, pojawiają się nowe tomy jej *essay*ów i szkiców krytycznych. W r. 1942 ukazał się pierwszy taki pośmiertny tom «The Death of the Moth». Obecnie ukazuje się tom drugi «The Moment» (The Hogarth Press). Zapowiedziano jeszcze trzeci.

«The Moment» składa się sponad trzydziestu szkiców bardzo różnorodnej treści. Przeważają recenzje z książek. Ale są tu też i studia historyczno-literackie o Spenserze, Walter Scotcie i innych. Są tu też rozważania na temat powieści, krótkie charakterystyki ludzi, wspomnienia pośmiertne, jest — najobszerniejszy ze wszystkich — popularny odczyt o pozycji społecznej pisarza. Są tu wreszcie *essays* na tematy nieliterackie: jeden z nich to wrażenia z podróży przez Francję do Hiszpanii, w innym autorka zastanawia się, na czym polega czar, jaki otacza w oczach ludzi królewskość, inny znów to rozważania na temat tych możliwości nowych doznań i doświadczeń psychologicznych, jakie przynosi człowiekowi choroba.

Zupełnie inny charakter od wszystkich pozostałych ma essay tytułowy «Chwila. Letni wieczór». Czym jest właściwie chwila? Jak jeden moment wyodrębnić od drugiego w doznaniu psychicznym i w zapisie, który jest z tego doznania sprawozdaniem? — Spróbujmy to zrobić. Oto zapada wieczór. Siedzimy w ogrodzie. I staramy się jakąś chwilę w pamięci zafiksować. Essay staje się serią sprawozdań z takich prób, serią migawek. W każdej z nich pióro wielkiej pisarki potrafi nam ewokować urok, smak, atmosferę chwili w całej jej niepowtarzalności. Ale ewokuje je tak, że równocześnie odczuwamy całą zwieźność każdej chwili. Już, już trafne słowo pisarza przyszpila moment, i oto z chwilą, kiedy wydaje się nam, że moment ten «mamy», pod ręką przekształca się on nam w inny. Za każdym razem motyl już tuż, tuż jest pod siatką, i za każdym razem motyl się nam spod siatki wymywa. Na dalszą metę byłaby to prawdopodobnie zabawa dość czcza. Ostatecznie, łapanie motyli to nie jest zajęcie dla dorosłych ludzi. Ale essay ma wszystkiego cztery strony. I napisany jest piękną angielszczyzną o ślicznych, melodyjnych kadencjach. W gruncie rzeczy jest to «petit poème en prose» o melancholii mijania.

Aura poezji jest w tym essay'u szczególnie silna, ale spotykamy ją wszędzie, tak samo w recenzji, jak w odczycie i we wspomnieniu pośmiertnym. I ona to sprawia, iż mimo że pod jedną okładką, zgromadzono tu rzeczy bardzo różnorodne jeśli idzie o zakres treści i pochodzące z różnych okresów czasu, tom ma charakter bardzo jednolity. Jego zaś różnorodność treściowa sprawia, iż daje on czytelnikowi niezłe pojęcie o tym, jakiego typu indywidualnością była Virginia Woolf.

Nie była to indywidualność silna. Przeciwnie, dominującym wrażeniem, jakie po przeczytaniu tej książki w czytelniku pozostaje, jest że czego jak czego, ale siły Virginii Woolf brakło. Za to była to indywidualność bardzo niezwykła. Na niezwykłość tę zaś składały się przede wszystkim wyjątkowa wrażliwość na doznania i wyjątkowo bystra inteligencja.

Subtelność wrażeń, reakcyj na pół i ćwierć doznania ma tu w sobie aż coś niesamowitego. Czytając tę książkę, ma się stale żenującą świadomość własnej gruboskórności. Bo autorka robi wrażenie kogoś, kto chłonie rzeczywistość bezpośrednio maczkami obnażonych nerwów.

Przy takiej hypersensytywności tylko starannie wypracowana postawa dystansu wobec wrażeń pozwalała Virginii Woolf obronić się pod naporem doznań. I dlatego tyle w tej książce jest ironii i dowcipu. Za to zupełnie nie do pomyślenia jest tu reakcja głośnego śmiechu czy wybuchu oburzenia. I przy takiej organizacji psychicznej nic dziwnego, że Virginia Woolf chętnie uciekała w bezpieczniejszy świat fikcji literackiej. Jest ona bardzo szczególnym przykładem krytyka literackiego. Umie niezwykle trafnie, subtelnie, z zachwycającą precyzją sformułowania pokazać na czym polega swoistość stylu i organizacji psy-

chicznej tego czy innego pisarza. Umie świetnie analizować wrażenia czytelnika podczas lektury książki. Jej króciutka, dwustronicowa charakterystyka autora «Ali w krainie czarów», Lewisa Carrolla, to arcydzieło finezji krytycznej, dowcipu, le mot juste. Ale równocześnie wszystkie jej studia mają jeden zasadniczy brak. Oto każdy z opisywanych przez nią autorów jest sam światem dla siebie. Każdy z nich wisi w próżni. Darmo szukalibyśmy odpowiedzi na pytania, jaki jest stosunek każdego z tych pisarzy do naszych palących zagadnień, co każdy z nich reprezentuje w naszej skali wartości życiowych. Nie ma palących zagadnień. Nie ma skali wartości życiowych.

Ale może zapręganie takiego zwieźnego elfa do wielkich współczesnych problemów jest tylko niedopuszczalną belferską pedanterią? Niestety, elf nie ma czystego sumienia społecznego — nie jest się bezkarnie pisarzem w XX wieku — i sam się próbuje zapręgać. W naszym tomie mamy dwa takie przykłady. Raz jest to błąh drobiazg «Artysta i polityka» z banalnym i płytkim morałem, że polityka szkodzi sztuce. Drugi raz jest to ambitniejsza próba: odczyt «Pochyła wieża» o pozycji społecznej pisarza w Anglii wiktoriańskiej i współczesnej, wygłoszony w r. 1940 dla «Workers' Educational Association», angielskiego odpowiednika naszego TURA. Odczyt ma niektóre ciekawe spostrzeżenia i piękne sformułowania, ale w całości, przy wyraźnym staraniu o popularność ujęcia, jego wdzięk łatwo przeradza się we wdzięczenie, a optymizm zakończona (mamy biblioteki publiczne, powinniśmy wszyscy jak najwięcej czytać, a wtedy wszystko w świecie literatury dobrze się ułoży) jest za łatwy; brzmi fałszywie i nieprzekonywująco.

Te dwa essaye to jednak tylko wyjątkowe wykołajenia w bardzo pięknym tomie.

Nowa powieść Ewelina Waugh «Scott-King's Modern Europe» (Chapman & Hall) nie jest wielka na objętość, — zanim pojawiła się w wydaniu książkowym, zdołała pomieścić się bez trudu w jednym zeszyście kwartalnika «The Cornhill Magazine», — ale jest to bardzo tęga powieść. Czyta się żywo, jest interesująca i miejscami bardzo zabawna. A przy tym wszystkim nie jest to rzecz wyłącznie rozrywkowa, ale zahaczająca o poważną problematykę.

Jej bohater, Scott-King, jest starszawym już nauczycielem języków klasycznych w jednej z angielskich internatowych szkół średnich. Scott-King nie jest żadną znakomitością i w niczym nie wybija się ponad przeciętność, ale przydarzyło się, iż napisał essay o Bellariusie, poecie łacińskim, który przed trzystu laty żył w Neutralii. I oto traf chce, że ten essay przynosi mu oficjalne zaproszenie na uroczystości trzechsetlecia Bellariusza, jakie urządzają władze Neutralii. Scott-King jest typowym tra-

dycyjnym Anglikiem, Neutralia zaś — «typowym, współczesnym państwem, o ustroju monopartyjnym, oklaskującym stojącego na czele rządów marszałka i utrzymującym liczną, źle płatną biurokrację, której działalność hamuje i łagodzi korrupcją». Waugh w przypisku podkreśla, że jego Neutralia jest państwem czysto imaginacyjnym, mimo to jednak — podobnie jak i Neutralia «Krucjaty bez krzyża» Koestlera — natrętnie w czasie lektury przypomina ona Portugalię. Czasem znów nasuwa się nam na pamięć Hiszpania lub państwa bałkańskie przedwojennego stempla.

I oto z rzeczywistością tej Neutralii Waugh każe się zderzyć tradycyjnemu Anglikowi, nie znającemu świata poza Anglią i wrośniętemu od lat w doskonale uregulowane i odizolowane od zewnętrznego świata życie jego «Public School». Dodajmy, że jesteśmy w Europie roku 1946 z jej zdeorganizowanym systemem komunikacji międzynarodowych i ograniczeniami walutowymi.

W pierwszej części powieści oczyma Scott-Kinga oglądamy międzynarodowe uroczystości jubileuszowe. Bzdurę ich pompy podkreśla jeszcze ta okoliczność, że Bellarius jest znakomitością nikogo poza paru filologami nie obchodzącą. Rząd Neutralii postanowił zorganizować te uroczystości po prostu dlatego, aby przełamać izolację, jaka otacza Neutralię w nienawidzącym jej régime'u powojennym świecie (w tym miejscu, oczywiście, Neutralia zaczyna nam żywo przypominać powojenną Hiszpanię gen. Franco).

W drugiej części powieści, już po skończonych uroczystościach, angielski Kandyd znajduje się w obcym kraju sam bez pieniędzy i bez możliwości szybkiego powrotu. Jego cicerona i organizatora uroczystości zmiotła któraś z neutralijskich rewolucji pałacowych, neutralijczycy zresztą zorientowali się, że nie jest żadną wybitną figurą i że nie da użyć się za narzędzie dla ich politycznych rozgrywek. Jest więc zdany wyłącznie na własne siły i własny przemysł i podobnie jak Kandyd Woltera wpada z opałów w opał. Nie wiele brakuje, a skończyłyby się one dla niego tragicznie. Wzorem jednak Kandyda i on wychodzi z kłopotów cało. Nie mając innej drogi szybkiego wyjazdu z Neutralii, dostaje się na statek z nielegalnymi emigrantami i ostatecznie ląduje «w obozie nr. 64 żydowskich nielegalnych emigrantów w Palestynie».

Na końcu powieści mamy coś w rodzaju morału. Zaczyna się nowy rok szkolny i dyrektor szkoły zaprasza Scott-Kinga na zasadniczą rozmowę do siebie. Coraz mniej chłopców w szkole chce się uczyć przedmiotów klasycznych. Rodzice chcą, aby chłopcy uczyli się przedmiotów praktycznych, chcą z nich zrobić ludzi, nadających się dla współczesnego świata. I dlatego dyrektor radzi Scott-Kingowi, aby się przerzucił na nauczanie historii, najlepiej historii gospodarczej.

Scott-King jednak odmawia.

«— Ale przecież orientuje się pan, że w przyszłości może zająć coś w rodzaju kryzysu?»

«— Tak jest, panie dyrektorze.

«— Co pan wtedy zamierza robić?»

«— Jeśli pan pozwoli, zostaną tutaj tak długo, jak długo przynajmniej jeden chłopak będzie chciał się uczyć języków klasycznych. Myślę, że byłoby wielką nieuczciwością czynić cośkolwiek w tym celu, aby chłopcy nadawali się dla współczesnego świata.

«— To jest bardzo krótkowzroczny punkt widzenia.

«— Bardzo pana przepraszam, panie dyrektorze, ale absolutnie się z panem nie zgadzam. Mnie się zdaje, że ze wszystkich możliwych to jest najbardziej dalekowzroczny punkt widzenia».

Ciętością, drapieżnością satyry powieść Waugh przypomina «Farmę zwierzęcą» Orwella. I jest pewna ironiczna sprawiedliwość w tym, że podczas gdy radykalny lewicowiec Orwell rozprawił się w swojej książce z dyktaturą stalinowską, to Waugh, katolik i tradycjonalista, schlaścił w swojej powieści dyktaturę typu Franca-Salazara. Porównanie obu książek wychodzi zresztą na korzyść Waugh: jego powieść jest zabawniejsza od alegorii Orwella i jest od niej żywsza, konkretniejsza.

Wiktor WEINTRAUB.

Książki o Rosji

VICTOR KRAVCZENKO: *«I chose Freedom — The personal and political life of a Soviet Official»*, Londyn, 1947, a także: *«J'ai choisi la liberté — La vie publique et privée d'un haut fonctionnaire soviétique»*, Paryż, 1947.

MICHEL KORIAKOFF: *«Je me mets hors la loi — Pourquoi je ne rentre pas en Russie soviétique»*, Paryż, 1947.

Oślawiona książka Krawczenki jest już od kilkunastu miesięcy na półkach księgarskich niemal wszystkich krajów Ameryki i Europy, a mimo to, do dnia dzisiejszego nie przestaje być jedną z najbardziej poczytnych i atrakcyjnych. Przygody autora, związane z jego ucieczką z waszyngtońskiego urzędu sowieckiego, były niejednokrotnie opowiedziane przez różnorodnych recenzentów i reporterów. Nie mniej barwnie była opowiedziana historia samej książki, która musiała czekać zakończenia wojny, by władze amerykańskie udzieliły zezwolenia na jej ukazanie się.

Książka Krawczenki stała się niewątpliwie dokumentem politycznym, na który powołują się, licząc na noty dyplomatyczne czy materiały statystyczne — mężowie stanu, dyplomaci, publicyści i dziennikarze. Żadna z książek Trockiego, czy najważniejszych rewolucjonistów rosyjskich, od Martowa począwszy a na Dallina kończąc, najwybitniejszych polityków rosyjskich, od Milukowa do Kiereńskiego — mimo że każdy z nich znał niepomiernie lepiej sprawy sowieckie i miał nierównie więcej do powiedzenia — nie miała takiego wzięcia. I teraz, gdy na anglosaskim rynku księgarskim są tak interesujące prace jak Dallina *«The Real Soviet Russia»*, jak Trockiego *«Stalin»*, jak wreszcie znakomita, a bodaj że i najtragiczniejsza książka na świecie Dallina i Nikołajewskiego *«Forced labor in Soviet Russia»*¹⁾ — żadna z nich nie ma nawet części tego powodzenia, co opowieść Krawczenki.

Nie mam możliwości, tu — gdzie jestem, ustalić wszystkich powodów tego sukcesu. Myślę, że odegrał tu rolę nie tylko mo-

ment w którym się książka ta ukazała, moment zapoczątkowania tego zagrożenia, które na razie bardziej podświadomie niż świadomie zaczęło ogarniać masy amerykańskie i europejskie w stosunku do Rosji. Ogromną rolę odegrała tu sama forma pracy Krawczenki: opowieść o życiu zwykłego szarego człowieka sowieckiego. (Wydania amerykańskie i londyńskie nie mają tego pretensjonalnego *«haut-fonctionnaire»*'a, który widnieje w podtytule wydania paryskiego). Gdy się obserwuje reakcję tłumów (bo o tłumach można mówić w tym wypadku) na książkę Krawczenki, można dojść do daleko idących wniosków. Wygląda na to, że tłumy te jakby od dawna wyczuwały całą blagę, całe zakłamanie sowieckiego socjalizmu i komunizmu. Jeżeli nie szukały one dowodów prawdy, jeżeli nie dociekały do istoty rzeczywistości sowieckiej, to kto wie, czy nie było w tym pragnienia zachowania wbrew prawdzie materialnej jakiejś wizji, jakiejś utopii. Na mapach, stworzonych przez tęsknotę ludzką, zawsze istniał kraj zwany *«Utopią»* — tak można sparafrazować znany aforyzm Oscara Wilde'a.

«Książek o Rosji sowieckiej — o jej nędzy, łagrach i terrarze GPU — syci i zadowoleni z życia nie czytają. Ale również nie czytają i ci najbiedniejsi, ci najbardziej wyszukiwani, takie mikroby życiowe — jak ja» — powiedział mi kiedyś mały biedny żydek, jeden z tych nieszczęśliwych rewolucjonistów, którzy, mając sześć pensów w kieszeni, marzą o światowej rewolucji dla ludzkości, a o najedzeniu się bodaj raz do syta dla siebie i swojej rodziny. Prawdy o Rosji sowieckiej pierwsi — poza politykami — zaczęli poszukiwać ludzie ze świata pracy, lecz dopiero w momencie, gdy zobaczyli, że dłużej już mitu o sowieckiej szczęśliwości nie da się utrzymać.

Człowiek pracy XX w. przestaje wierzyć w teorie społeczne, przestaje wierzyć w naukowo uzasadnione doktryny, przestaje wierzyć w historię, przestaje wierzyć w cudze oceny i opinie o rzeczywistości. Zawiódł się on na romantycznej idealizacji życia, lecz jeszcze większy zawód sprawił mu materializm i dialektyka materialistyczna. Nie wierzy on już ani w hasła, ani w cyfry. Pogardza faktami, podejrzewa wszędzie spekulacje, zatracca wycucie znaczenia słów. Będąc przeżarty własnymi kompleksami, bez nadziei na znalezienie oparcia rzutuje własną insuficjencję, własną niewiarę na wszystkich innych i na każdego innego. I jeżeli pozostała w nim jeszcze jakaś wiara, świadoma czy podświadoma, to jest to wiara w człowieka. Książka Krawczenki jest dokumentem ludzkim. Jest to książka pisana przez człowieka, uformowanego w sowieckiej rzeczywistości i nadal, nie tylko w czasie pisania, ale i po napisaniu tej książki, po *«wybraniu wolności»*, wciąż jeszcze duchowo i myślowo w tej rzeczywistości tkwiącego.

Podnoszona była dyskusja, czy Krawczenko zasługuje na zaufanie, względnie czy zasługuje na zaufanie całkowite. Rozpatrywano ze wszystkich stron sylwetkę moralną Krawczenki,

1) Patrz recenzja R. Wragi w Nr. 2-3 *«Kultury»*.

zwracano uwagę na jego chęć wybielania i bronzowania, odcięcia się od rzeczywistości sowieckiej, przedstawiania się jako «sprawiedliwego», mającego prawo do sądu i osądu. Osobiście uważam to wszystko za sprawy nieistotne. Nie ulega wątpliwości, że Krawczenko nie jest postacią świetlaną, że wówczas gdy był w ZSRR — podobnie jak miliony obywateli sowieckich — kłamał, popełniał codzienne nadużycia, umożliwiające mu przeżycie dnia (a co najważniejsze — w ZSRR i w krajach przez ZSRR okupowanych — przeżycie kolejnej nocy), był oportunistą wobec «aparatu», kto wie czy nie donosicielem w stosunku do najbliższych, był w miarę posłusznym «robotem» i w miarę ostrożnym «szkodnikiem» i «wrogiem ludu». To wszystko więcej niż pewne!

Po 30 latach narzuconego socjalizmu i kierowanej demokracji nie ma w biurokracji sowieckiej innych ludzi jak tylko tacy zakłamani oportuniści, zastraszeni egoiści o zwierzęcych apetytach i chciwości z okresu — mówiąc językiem marksowskim — «początkowego nagromadzenia», o przytępionych uczuciach ludzkich nie tylko w stosunku do innych, ale i w stosunku do siebie, a zahamowanej i zdeformowanej radości życia i pogardliwym stosunku do cierpienia i śmierci. Wystarczy przeczytać każdą powieść sowiecką, by przekonać się jak zwierzęcono człowieka, używając go do upodlenia innych obywateli. Wystarczy wmyślić się w sens tzw. «socjalistycznego realizmu» — nakazanego przez Kreml literaturze i sztuce sowieckiej — (realizmu, który w gruncie rzeczy jest ucieczką od rzeczywistości), by zrozumieć jak głęboko są i muszą być zatajone dzisiaj w każdym obywatelu sowieckim uczucia i wartości ludzkie.

Krawczenko jest obywatelem sowieckim pur sang i to nadaje ogromną wartość jego pracy. Jego kłamstwa występują zupełnie wyraźnie za każdym razem, gdy chce on odciąć się od bolszewickich podłości, gdy chce pochwalić się swym humanizmem, gdy chce być wolnym, nie sowieckim, lecz «innym» człowiekiem. Kłamstwa, zupełnie zrozumiałe, jeszcze bardziej podkreślają tę tragedię jednostki i społeczeństwa, którą opisuje Krawczenko w swym pamiętniku obywatela sowieckiego.

Kto wie czy nie na tym polega również atrakcyjność książki Krawczenki dla nas — Polaków. Przecież w gruncie rzeczy książka ta nie przynosi nam nic nowego. Nie ma w niej dosłownie ani jednego zagadnienia, które nie byłoby nam doskonale znane, którego by nie wyeksperymentowały dziesiątki tysięcy nieszczęsnych «jeńców» wojennych, gnębionych po obozach, łagrach i więzieniach, jak Związek Sowiecki długi i szeroki, od Szepetówki do Magadanu, od Peczory do Stalinabadu. Ale każdy z naszych polskich świadków czy przymusowych uczestników tej niehumanitarnej rzeczywistości, zarówno wtedy kiedy tkwił w tej rzeczywistości, jak i po wyrwaniu się z niej był człowiekiem z «innego świata». Nie miał do tych wszystkich spraw

apokaliptycznych czy piekielnych stosunku bezpośredniego, nie czuł się współodpowiedzialnym za tę całą nędzę bezmierną, tak jak Krawczenko, któremu właśnie ta współodpowiedzialność nakazuje strojenie się w obce mu piórka demokracji i humanisty.

Każdemu z Polaków obce i ponure wydawało się to rozdwojenie duszy rosyjskiej, polegające na upajaniu się wielkością i potęgą tej siły, która każdego człowieka niszczy w proch, zamienia w stworzenie gorsze, podlejsze i nędzniejsze od najniebezpieczniejszego bydła.

Pamiętam wśród niezliczonych opowiadań o sowieckiej katordze, które przynieśli ze sobą uwolnieni nasi żołnierze, naiwne opowiadanie młodego Wilnianina o jakimś Petrichinie, niegdyś dostojniku sowieckim, partyjnym i wysoko ustosunkowanym satrapie, który, sprowadzony w łagrze do roli żywej maszyny, pozbawiony obrazu i podobieństwa ludzkiego, w niewprawdopodobnych szmatach i latach, wiecznie żebrzący, kradnący, donoszący za łyżkę gorącej cieczy czy za kawałek chleba, jednocześnie z dumą i pychą opowiadał młodym polskim żołnierzom o wielkości i potędze Rosji i niesionego przez nią na cały świat komunizmu. «To wszystko nieważne! — ja jestem gnida — zwyczajna wesz, skoro nie umiałem zdobyć sobie zaufania partii, naszego rządu, naszej władzy. Dobrze, że zdecydę tu i cieszę się, że wyzdychacie wy, którzy stoicie na drodze do naszych zwycięstw. Lecz my będziemy wszędzie: w Warszawie, w Paryżu i w San Francisco!»

Książka Krawczenki odsłania straszłą prawdę. Obywatel sowiecki «wybiera wolność» dopiero wtedy, gdy się z nią styka. Gdy się czyta wspomnienia naszych jeńców z ich pobytu po łagrach i więzieniach sowieckich, uderza niezmiennie jak dalece konkretne były we wszystkich momentach ich przeżytych marzenia o wolności. U Krawczenki występuje rzecz odmienna. Obywatel sowiecki nienawidzi jarzma, które go gniecie, ale tak dalece jest ośniony jego potęgą i ogromem, że wolność nie tylko nie jest, ale nie może być dlań konkretem. Jest czymś mistycznym, czymś abstrakcyjnym, a tym samym czymś, do czego się nie widzi dróg, co przychodzi samo jakby jakieś «carstwo boże». Ten bierny stosunek do wolności, którym nacechowana jest każda rewolucja rosyjska, a rewolucja październikowa w szczególności, jest prawdziwym przekleństwem ciężącym nad narodem sowieckim.

Odrębne podejście do zagadnienia wolności jest znacznie poważniejszą sprawą, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Gdy się czyta wspomnienia polskie o ZSRR, to wręcz uderzające jest, jak małą rolę odgrywają w tych wspomnieniach obywatele sowieccy spoza aparatu państwowego. Rzeczywistość sowiecka w tych pamiętnikach czy opisach jest ledwo zarysowana, a ludzie są jak z papieru wycięci, bezosobowi, nieprawdziwi, nierealni. W zapiskach polskich jeńców czy skazańców nie spotkałem dotychczas ani jednego plastycznego obrazu sowiec-

kiego kołchozu czy fabryki, ani jednego opisu codziennego dnia życia sowieckiego na wsi czy w mieście. Pomiedzy «cudzoziemcem» a obywatelem sowieckim istnieje mur nie do przebycia, chociażby ten cudzoziomec poniewierał się wraz z sowieckim obywatelem po obozach, przechodził z nim przez dno nędzy pracy przymusowej, żył miesiącami i latami w jednej izbie, a raczej w jednym chlewie. Dotyczy to nie tylko Polaków. Ile razy czyta się książki o Rosji, pisane przez Niemców, Francuzów czy Anglików — nawet tych, którzy znaleźli się w samym wnętrzu życia sowieckiego, nawet tych, którzy doskonale zrozumieli i wyczuli całą potworność «postulowanej» rzeczywistości — daremnie szukać w nich najstabszej bodaj łączni z obywatelami sowieckimi, jakieś już nie tylko duchowej, ale wręcz praktycznej, materialnej solidarności i głębszego zrozumienia.

Naród rosyjski znajdował się zawsze, w każdym momencie swojej historii, w ogromnej samotności. Dyskontowane to było zawsze przez absolutyzm czy dyktaturę władzy państwowej, która wykazując mu tę jego odrębność usiłowała wyrobić w nim — najbardziej upodlonym niewolniku spośród wszystkich narodów świata — poczucie wyższości w stosunku do innych narodów.

Książka Krawczenki jest znakomitym świadectwem poniżenia człowieka w ZSRR. Poniżenia tak bezgranicznego, że nawet funkcjonariusz państwowy, czynne kółko czy sprzężyna wszechpółężnej biurokracji, pan życia i śmierci podległych mu tysięcy robotów, pozbawionych woli, prawa do myśli i głosu, jest pozbawiony nie tylko wszelkiej łączności już nie tylko ze światem otaczającym Rosję, ale nawet łączności z tym, co się dzieje w samej Rosji. Książka Krawczenki przepełniona jest błędami, które możnaby było uważać za wręcz inspirację ze strony autora, gdybyśmy nie chcieli zrozumieć, że odzwierciedla ona jak najlepiej fakt, do jakiego stopnia władza sowiecka otumania i pozbawia wszelkiej świadomości swoich najbardziej użytecznych obywateli.

Nigdy nie zapomnę gdy, w okresie czystek trockistowskich w 1937 roku, zetknąłem się na terenie Polski z sowieckim dowódcą brygady lotniczej, trzydziesto-paroletnim Gruzinem, komunistą, i to komunistą stojącym wysoko w hierarchii partyjnej. Groziła mu «likwidacja». Uciekł więc, tak jak stał na łóżku, na myśliwcu sowieckim, wymknąwszy się cudem od przesładowujących go pościgowców sowieckich. W długich rozmowach wykazał on wielką znajomość zarówno doktryny partyjnej, jak też najdrobniejszych i — zupełnie nie nam, na Zachodzie nie mówiących — odchyłań partyjnych. Lecz gdy się go pytało o rzeczywistość sowiecką, okazał się zupełnie nieprodukcyjnym informatorem. Nie wiedział wiele ponad to co się działo w najbliższym mu środowisku, zupełnie nie orientował się nawet w organizacji życia politycznego i gospodarczego w ramach

republiki, nie mówiąc już o całym Związku sowieckim.

Jest to oczywiście, niezmiernie wygodne dla Związku sowieckiego z punktu widzenia ochrony wszelkiej tajemnicy państwowej. Ale czyż wszyscy obywatele sowieccy a nawet komuniści są potencjalnymi szpiegami czy agentami «kapitalistycznymi». I cóż jest warta cała «demokracja stalinowska» przy takim uświadomieniu a co za tym idzie i możliwości krytycyzmu obywateli sowieckich? Wykazuje to jednocześnie jak dalece w Sowietach posunięte jest zdeprecjonowanie jednostki, której absolutnie rząd nie ma zamiaru wtajemniczać w najbardziej jawne i oficjalne swoje plany czy manewry. Obywatel sowiecki jest idealnie wykastrowany ze wszystkich praw świadomego współtwórcy życia zbiorowego. Względem państwa posiada on tylko obowiązki, a pierwszym obowiązkiem jego jest bezapelacyjne przyjęcie każdej decyzji, każdego rozkazu, bez wnikanica czy w jego istocie, czy w jego ostateczne cele.

I z tego tytułu książka Krawczenki pod wielu względami nie może być uważana za świadectwo historyczne. Tak np. Krawczenko cały rozdział poświęca opisowi tego zaskoczenia, jakim, w jego pojęciu, było uderzenie Niemców na Związek sowiecki w czerwcu 1941 r. Gdybyśmy wypowiedzi Krawczenki brali à la lettre, to moglibyśmy przyjąć do wniosku, że agresja niemiecka była czymś dla polityki sowieckiej nieoczekiwanym. W pewnym sensie moglibyśmy nawet podzielić oburzenie pierwszych (po agresji niemieckiej) przemówień Stalina czy Mołotowa na «wiarołomstwo» Hitlera. W istocie tak nie było. Związek sowiecki — tzn. Kreml — znakomicie orientował się w tym, że traktat jego z Niemcami z sierpnia 1939 roku ma charakter przejściowy. Że, podpisując ten traktat, Hitler w żadnym wypadku nie zrezygnował ze swych zamiarów agresywnych i ze swej ekspansji w stosunku do Rosji sowieckiej. Znając możliwości wywiadu sowieckiego, nie można mieć najmniejszych złudzeń, że Rosja była świetnie poinformowana o trwających od 1940 roku przygotowaniach niemieckich do ofensywy w kierunku wschodnim.

Lecz jeśli Kreml nie informował o tym obywateli sowieckich, to dwie na to składały się przyczyny. Pierwsza — to ta ogromna pogarda, to wręcz niedostrzeżenie przez politykę sowiecką «szarego obywatela», ten brak do niego zaufania, ta obawa przed jakimkolwiek jego uświadomieniem, (zwłaszcza jeżeli chodzi o wszystkie sprawy, związane z polityką zagraniczną), a stąd unikanie we wszystkich okolicznościach obiektywnego informowania go o sytuacji, podejścia do niego w sposób inny, aniżeli przez propagandę i agitację w stosunku do faktów konkretnych. Przyczyna druga — to oportunistyczne, wręcz lizusowskie stanowisko, jakie polityka sowiecka ze Stalinem i Mołotowem stosowała do Hitlera od 1939 do 1941 roku. Chęć uniknięcia za wszelką cenę wojny, chociażby za cenę już nie tylko zaprzędania interesów mas robotniczych Europy,

ale za cenę najgorszego upadlenia i stania się zwyczajnym narzędziem polityki hitlerowskiej. Przecież to jeszcze na wiosnę 1941 roku Moskwa uznała (na kilka tygodni przed uderzeniem niemieckim na Rosję), zrewoltowany rząd Iraku, i kto wie, czy ten akt nie miał być wstępem do rozpoczęcia rokowań z Berlinem o wystąpienie wspólne stalinowsko-hitlerowskie przeciwko Wielkiej Brytanii.

Ogłoszone ostatnio dokumenty, podkreślają, jak dalece Wielka Brytania była lojalna w stosunku do Związku Sowieckiego, przekazując mu nie tylko propozycje, przywiezione przez Hessa, ale przekazując mu również całość posiadanych przez wywiad brytyjski informacji o hitlerowskich przygotowaniach do uderzenia w kierunku wschodnim. Nie kwestionując bynajmniej wartości politycznej tych wystąpień brytyjskich, możemy powątpiewać jedynie, czy dawały one Moskwie istotnie nowe nieznane jej elementy. Znając rozgąteżenia wywiadu sowieckiego na terenie państw okupowanych przez Niemcy, chociażby w postaci biernych, posłusznie na rozkaz Moskwy kollaborujących z hitlerowcami partii komunistycznych Polski, Węgier, Rumunii, Czechosłowacji czy państw bałkańskich, można stanowczo twierdzić, że Moskwą doskonale o przygotowaniach niemieckich była powiadomiona.

Książka Krawczenki zawiera wyłącznie analizę rzeczywistości sowieckiej. Nie daje ona żadnych rozwiązań pozytywnych i z tego tytułu nie wiem czy — mimo olbrzymiego zainteresowania jakie budzi — dokona ona wiele, by zbliżyć narody świata do tragedii narodów sowieckich. Byłoby rzeczą straszną w swych skutkach, gdyby lęk przed bolszewizmem pogłębił tę przepaść, jaka dzieli Rosję uciskaną od narodów wolnych. Dopóki świat nie zrozumie, że nie można tworzyć swobodnego życia, skoro szóstą część globu jest jednym olbrzymim więzieniem ludów, dopóki nie uświadomi sobie, że sprawa wolności powszechnej zależy od rozstrzygnięcia sprawy wolności ludów sowieckich, — dopóty ludzkość nie wyjdzie z tego błędnego koła konfliktu, zagrożeń i wojen, w jakim znalazła się od trzydziestu kilku lat.

Inną zupełnie jest książka, napisana również przez «niewowraszczeńca», b. kapitana armii czerwonej Michała Koriakowa. Koriakow był, poczynając od 1941 roku aż do wiosny 1945 roku, przez cały czas bądź na froncie, bądź też, jako podejrzany o nielojalność i niedostateczną aktywność partyjną, w oddziałach rezerwowych. Po wojnie przydzielony został do ambasady sowieckiej w Paryżu, gdzie redagował biuletyn prasowy. Stamtąd właśnie uciekł.

Książka Koriakowa nie jest tego typu dokumentem co książka Krawczenki. Podczas gdy Krawczenko, — jak wynika nie tylko z samej jego książki, ale przede wszystkim z tych wy-

wiadów i wypowiedzi w prasie amerykańskiej, które Krawczenko zdążył porobić już po wydaniu książki, — jest człowiekiem prostym, nieskomplikowanym, pozbawionym talentu nie tylko literackiego lecz nawet narracyjnego (co dodaje jedynie wagi jego opowieści), to Koriakow jest typowym, pretensjonalnym, powiedziałbym dekadentem literatem rosyjskim, skłonny do wynurzeń, dygresji i głębokich analiz psychologicznych. Z tego tytułu cały szereg momentów jego książki wydaje się aż zbyt podczujany. Czy aby nie fantazja kierowała autorem i czy aby dla zwiększenia efektu nie wymyślił on całego szeregu mniej lub więcej efektywnych sytuacji? Książka Koriakowa nie odzwierciedla nawet w części rzeczywistości sowieckiej tak, jak to robi Krawczenko, ale zawiera ona rzecz, być może, jeszcze bardziej istotną jako synteza rzeczywistości sowieckiej, aniżeli cały ogromny tom Krawczenki.

Krawczenko poprzestaje na konstatacji. Kontentuje się on tą wolnością, którą znalazł «w świecie kapitalistycznym». Koriakow z typową inteligentom rosyjskim neurasteniczną skłonnością do grzebania się we własnej duszy i babrania się w najintymniejszych przeżyciach duchowych, próbuje na własną rękę sformułować swoje credo. Próbuje on znaleźć dla siebie samego jakąś formułę wolności, jakiś cel bytu.

Jego ostateczny wniosek jest dla nas, Polaków, dość nieoczekiwany. Oto Koriakow decyduje się na wstąpienie do tworzącej się pod bagnetami sowieckimi armii polskiej, by jak twierdzi, «posłużyć narodowi polskiemu», a w swych uniesieniach nad kulturą i wolnością polską idzie tak daleko, że wpada niemal w trans religijny i przeżywa momenty największego prętomu duchowego, modląc się w kościele katolickim. Odrzuciwszy na bok wrażenia estetyczne, nie możemy nie dopatrzeć się w tych wynurzeniach Koriakowa sensu głębszego. Jakże odpowiada ten sens treści książki Krawczenki, konstatającej nie tylko brak wolności w Związku Sowieckim, ale nawet brak konkretnych o niej wyobrażeń.

Okazuje się, że skoro tylko obywatel sowiecki usiłuje «własnym rozumem» dojść już nie tylko do programu wolności, ale nawet do jej określenia, to nie jest on w stanie utrzymać się w ramach zakreślonych przez dorobek duchowy i moralny rosyjski. Musi on sięgnąć nie tylko po treść, ale nawet po formę tej pożądanej wolności ku Zachodowi, by tam, w tej «zgnitej» europejskiej kulturze czy religii, poszukać realnych rozwiązań. Koriakow nieświadomie powtarza bodwieczną tragedię myśli filozoficznej i społecznej rosyjskiej. Czaadajew czy Sołowjow, dwóch najoryginalniejszych filozofów rosyjskich, widziało rozwiązanie dla kultury rosyjskiej jedynie w przyjęciu przez Rosję katolicyzmu. Mikołaja I nawet nie oburzyły rewelacje Czaadajewa, po prostu określił go słowem: «wariat».

Każda myśl społeczna rosyjska musiała mieć jako bazę wyjściową teorię społeczną przetransplantowaną z Zachodu. Ka-

żdy z filozofów francuskich, angielskich, a zwłaszcza niemieckich, stawał się w Rosji sławnym i tworzył całe szkoły na długo przedtem zanim był przyjęty jako autorytet we własnym narodzie. Wystarczy tylko powołać się na Hegla i przypomnieć jak potężny wpływ wywarł on na inteligencję rosyjską z końca XIX wieku, jak ogromne przeobrażenia spowodowane zostały przez niego nie tylko w rosyjskiej filozofii, lecz również w rosyjskiej literaturze i całej kulturze duchowej. A już korona tego atawistycznego szukania oparcia przez feministyczną myśl rosyjską na Zachodzie są dzieje rosyjskiej myśli materialistycznej w oparciu o marksizm.

Zapłodniana przez Zachód Rosją, mimo to, nigdy nie wzięła udziału w rozwoju uniwersalnym tej myśli czy idei, którą sobie na Zachodzie usurpowała. Z reguły każda myśl, każda idea najbardziej postępową, najbardziej rewolucyjną, w rosyjskim wydaniu, przeistaczała się w najbardziej reakcyjną, najmniej nadającą się do propagowania wszędzie poza Rosją.

I w tym miejscu dochodzimy do tragicznej konstatacji dzisiejszej rzeczywistości jeżeli chodzi o stosunek Rosji do świata pozostałego. Takie dokumenty jak książki Krawczenki czy Koriakowa potwierdzają, że, nie mając własnej wizji wolności, obywatel sowiecki chce znaleźć elementy do tej wizji tam, gdzie znajdowali ją na przestrzeni wieków, począwszy od najazdu mongolskiego a kończąc na tyranii Romanowych, jego przedkowie.

Lecz dzisiejsza Europa, dzisiejszy świat otaczający Rosję, sam jest jałowy, pogrążony w prostracji duchowej i moralnej, w niemocy i uwiąznię starczym, niezdolny do wykrzesania wielkich idei, porywających narody i jednostki. Ostatnim wielkim dziełem w dziedzinie ducha tego świata zewnętrznego była idea tej rewolucji, która właśnie na terenie Rosji osiągnęła fejerwerkowe zwycięstwo, by natychmiast ulec atawistycznemu fatalizmowi terenu, wyrażającemu się w niezmiennym despotycznym totalizmie i niewolnictwie. Dziś, gdy nienawisć do władzy osiągnęła w masach rosyjskich niebywałe natężenie, obywatel sowiecki nie ma po co odwoływać się do Zachodu. Znajduje on w nim jedynie przerosty techniki. Lecz bomba atomowa nie może być narzędziem osiągnięcia wolności. Narzędziem tym może być jedynie idea. Idei tej nie posiada jednak ani świat otaczający Rosję, ani ona sama, po dawnemu pod tym względem jałowa i czekająca z upragnieniem na ziarno, na zapłodnienie.

R. WRAGA.

Mickiewicz znów aktualny

Nowe polityczne emigracje, to «pielgrzymowanie» pognębionych narodów do Ojczyzny Wolnej, zagadnienia ich wzajemnego współżycia i współdziałania zaktualizowały ponownie, i to nie tylko w oczach Polaków, sternika naszej polistopadowej Wielkiej Emigracji.

W końcu ubiegłego roku ukazało się na półkach księgarskich nowe wydanie *Ksiąg Pielgrzymstwa* w tłumaczeniu francuskim pt. *Le Livre des Pèlerins Polonais*¹⁾. Przygotował je do druku i poprzedził obszernym wstępem Charles Journet, szwajcarski pisarz katolicki i redaktor czasopisma «Nova et Vetera».

Pierwszą książką wydaną przez *Instytut Literacki* w Rzymie w r. 1946 były także *Księgi Pielgrzymstwa* opatrzone rewizjonistycznym artykułem Gustawa Herling-Grudzińskiego, który to artykuł tylko częściowo spełnia rolę wstępu. Grudziński polemizując z mesjanizmem Mickiewicza oraz jego reperkusją w późniejszej literaturze polskiej i charakterze narodowym, przemilcza ideę podstawową dzieła, tj. nakazy etyki chrześcijańskiej; inne zagadnienia jak uspołecznienie narodu, solidarność europejską nadmiernie upraszcza.

Artykuł ten nie zbliża czytelnika do autora i jego zamierzeń, ani też do ówczesnego pokolenia wychodźców, rolę tę zdaje się lepiej spełnia wstęp szwajcarskiego wydawcy.

Już sama seria wydawnicza (collection), kierowana przez tegoż ks. Journet'a i zatytułowana *Klasyki Polityki*, w którym *Księgi* Mickiewicza poprzedziły m. in. polityczne pisma Tomasa z Akwinu, J. J. Rousseau, E. Kanta, oraz W. Sołowiewa («O Rosji») świadczy o znaczeniu, które wydawca przypisuje dziełu zwanemu swego czasu «Ewangelią Mickiewicza».

Ks. Karol Journet jest przyjacielem Polski, więcej niż przyjaciele, umie ją kochać bez zaślepienia i bez złudzeń, współradować się i współcierpieć z nią, zna jej historię i literaturę, śledzi czujnie jej dzisiejsze przeznaczenie.

W walce z cyniczną, pozbawioną wszelkiej etyki współczesną polityką międzynarodową, walce, którą Journet prowadzi

1) Egloff, Fribourg-Paris.

konsekwentnie w każdym numerze *Nova et Vetera* i której dał wyraz w zbiorowej pracy swojej *Exigences Chrétiennes en Politique* — wydanie ponowne *Ksiąg* to nie tylko wznowienie arcydzieła literatury pięknej ale przypomnienie książki ważkiej oraz idei żywotnych tak dziś, jak sto lat temu.

◆
Tekst szwajcarskiego wydania *Ksiąg* jest wzięty z francuskiego wyboru pism poety, wyd. pt. *Chefs-d'Œuvre d'Adam Mickiewicz*¹⁾, i różni się korzystnie od pierwotnego tłumaczenia z 1833, które sporządził jakoby Bohdan Jański, a sygnował Charles de Montalembert, zaopatrując je w piękną przedmowę i *Hymn do Polski* Lamennais'go.

W 1833 r., równocześnie z francuskim, ukazały się tłumaczenia angielskie, niemieckie i włoskie, dwa ostatnie jako druki tajne.

Leżą przede mną te książeczki, uratowane z pogromu paryskiej Biblioteki Polskiej i Muzeum Mickiewiczowskiego, wszystkie formatu małych modlitewników, oprawne w skórę i półskórek; polskie egzemplarze zniszczone, widocznie «zacytane» przez «Braci-Wiara-Zołnierzy, Męczenników, Wyznawców i Pielgrzymów» — dla których były przeznaczone — albo przez zwykłych wygnańców, tęskniących za Ojczyzną, jak i my dziś za nią tęsknimy. Egzemplarze tłumaczeń pięknie oprawne i dobrze zachowane (tłumaczenia angielskiego Biblioteka Polska nie posiada).

Przekład niemiecki Gaugera jest opatrzony drukowaną i jakże zastanawiającą nas dziś dedykacją poety:

«Te księgi Narodu Polskiego, wiernie pod okiem autora na niemiecki przełożone, poświęca Narodowi Niemieckiemu na znak najszczerzego swego szacunku i wdzięczności za braterską przyjaźń, której on i jego niešťczęśliwi rodacy doznali na szlaku swego pielgrzymowania

Mickiewicz».

Przekład włoski pt. *Guida dei Pellegrini*, Roma 1834, obejmuje w całości tekst Montalembertowski wraz z przedmową, modlitwami i Hymnem.

W 1881 pojawiło się jeszcze jedno tłumaczenie, tym razem w języku hebrajskim. Tłumaczem był dr. Mojżesz Ascarelli, przedmówcą Armand Lévy, Francuz, zasymilowany Izraelita, którego Mickiewicz «nawrócił» na żydostwo i natchnął poczuciem odpowiedzialności za losy odwiecznie prześladowanego narodu wygnańców. Lévy, jako przyjaciel ostatnich lat Mickiewicza i towarzysz podróży na Wschód, został powiernikiem i współpracownikiem ostatnich zamierzeń poety, dotyczących Żydów.

1) Traduit par lui-même et par ses fils, Bossard, Paris 1924.

W swej francuskiej przedmowie do hebrajskiego tłumaczenia *Ksiąg* odpiera Lévy, pośrednio, zarzuty lewicy emigracyjnej, która przez usta J. Czyńskiego pomawiała poetę o holdowanie przesadom i zuchwałe «podniecanie nienawiści ku starozakonnym», (chodziło tu o R. XX *Ksiąg Pielgrz.*: przypowieść o gajowym, rozbójniku i Żydach).

«Placząc nad własnym narodem — pisał Lévy w swojej przedmowie — wyrzucił Mickiewicz Francji, że go opuściła. Dla nas miał podobnie surowe słowa, jak mieli nasi prorocy. A przecież bardzo kochał Francję i podobnie bardzo kochał Izrael».

Włączony do wstępu list Prezydenta Alliance Israélite Universelle, A. Crémieux, składa hołd Mickiewiczowi za jego głęboko sprawiedliwy stosunek do Żydów.

Rozgłos *Ksiąg* musiał być w społeczeństwie francuskim dość znaczny w owe czasy. Montalembertowski wydanie z 1833-go miało dwa dalsze nakłady w 1834, skrót zaś *Ksiąg* w tłumaczeniu Lemaitre'a, który ukazał się także w 1833 r. miał również dwa nakłady (Impr. Le Brun). Nowe tłumaczenie francuskie Armanda Lévy z przedmową i komentarzami Wład. Mickiewicza wyszło raz jeszcze w 1864-ym, zaraz po powstaniu styczniowym.

Związek Mickiewicza, zresztą krótkotrwały, z Lamennais i jego grupą, podobieństwo ideologii *Ksiąg* do potępionego przez Kościół za jego «chrześcijański rewolucjonizm» czasopisma *Avenir* naraziły również dziełko Mickiewicza. *Księgi Pielgrzymstwa* dostały się wkrótce po wydaniu na indeks jako «pismo pełne zuchwałstwa i przewrotności». Po kilku latach zdjęto je z indeksu, ale dopiero to ostatnie szwajcarskie wydanie używało *Imprimatur* kościelne.

◆
Ks. Journet podszedł do dzieła Mickiewicza nie tylko ze czcią należną polskiemu poecie, ale też z głębokim pietyzmem współwyznawcy. Trudno bowiem komentować *Księgi*, lub wartościować ich wskazania, pomijając źródła religijnego natchnienia Mickiewicza. «Religianctwem» nazwał Jan Nepomucen Miller w pewnej dyspacie literackiej mistyczny okres w życiu Mickiewicza, ostatni zaś jego biograf w kraju, Henryk Szyper¹⁾, pisząc o *Księgach*, ubolewa, że poeta nie wyprowadza nakazywanej moralności obywatelskiej z obowiązującej marksistów dialektyki materializmu.

«Mickiewicz zapomina — pisze Szyper — że wysoką moralność obywatelską... nie wybranych jednostek, ale w skali masowej mogą krystalizować tylko odpowiednie warunki społeczne, te zaś muszą być zdobyte w oparciu o wyraźną określoną ideę przebudowy socjalnej».

1) Adam Mickiewicz, poeta i człowiek czynu, «Czytelnik», Warszawa 1947.

Dalej karci Szyper *dewocyjność* i *nienaukowość* takich ustępów, jak w R. IV.:

«... w bitwach waszych i więzieniach i w ubóstwie aza nie więcej was nakarmił pacierz aniżeli nauka Voltaire'a i Hegla, które są jako trucizna i nauka Guizota i Cousina, którzy są jako młyny puste?» (podkreślenia moje).

W wyżej wymienionym zbiorowym tomie swoich prac (w studium pt. *Le Messianisme de Mickiewicz*) podał Journet szczegółowej analizie z punktu widzenia teologii i tradycji katolickiej naukę i poglądy Mickiewicza głoszone z katedry Collège de France. Wskazując błędy dogmatyczne, złudzenia dotyczące misji Towiańskiego oraz inne, wysoko ocenia żarliwość niecierplivej wiary poety w moc Łaski nie z tego świata, która zwykłych ludzi przemienia w apostołów i wyznawców.

«Zbyt łatwo byłoby — czytamy w przedmowie Journeta — zbytnie temu dziełu (Księgi Narodu Polskiego) niedokładności nadmierne i dowolne skróty historyczne i przeinaczenia. Nie jest to dzieło historyczne, nie czyta się księgi «proroczej» jak książkę rachunkową, albo rozkład jazdy. Co stanowi wielkość tych stron, to gwałtowność z jaką się sprzeciwiają pojęciu polityki oddzielonej od moralności, pojęciu, którego doskonałą formułę znaleźli dyktatorowie współcześni u Macchiavela: ... (wielkość Ksiąg) to siła z jaką stwierdzają w imię samego szczęścia ludzkości prawa polityki chrześcijańskiej. Odczytujemy te płomienne strony sercem czujnym na zawartą w nich naukę, nie dając się zwieść błędnym rozróżnieniom spraw duchownych od świeckich, ani się gorsząc porównaniem przeznaczeń boskich losów Zbawiciela od przeznaczeń Polski, cierpiącej za sprawę chrześcijańskiej doczesności».

Zastanawiające jest, że w poprzednim swoim studium, prostując oskarżenia poety, skierowane przeciwko Kościołowi i hierarchii kościelnej, Journet upomina się o świętych, apostołów i misjonarzy, którzy uświetnili nie tylko Dawne i Średnie Wiekі, ale też XVIII i XIX w., niektórzy będąc nawet współcześni Mickiewiczowi, jak święty proboszcz z Ars. Szyper zaś, stojąc na gruncie innej prawowierności, broni *swoich* «świętych», patrona wolnomyślicieli Voltaire'a i Hegla, mistrza Marksa, z którego również wywodzą się doktryny współczesnych totalizmów. Ale tak jeden jak i drugi z tych przeciwnych *wyznawców* nie może przejść obojętnie obok natchnienia i wiary poety.

Dla uplastycznienia obcemu czytelnikowi postaci Mickiewicza i jego otoczenia podaje Journet fragment Norwida z «Czarnych Kwiatów»: relacja ostatniego spotkania obu poetów i pożegnania pamiętnym słowem pana Adama: Adieu!, oraz cytata ze wspomnień Micheleta o jednym z wykładów Mickiewicza, publiczności zebranej, niedoli polskiego uchodźstwa i wrażeniu, którego doznali słuchacze, kiedy wielki poeta polski «spełnił w obliczu Francji ofiarę ze swych najbardziej usprawiedliwionych uczuć nienawiści i wyrzekł w odniesieniu do Rosji słowa braterstwa».

Garść fragmentów z korespondencji Mickiewicza do najbliż-

szych towarzyszy i przyjaciół, które zdają się być dalszym ciągiem wskazań i przypowieści *Ksiąg*, wprowadzają lepiej niż jakkolwiek rozprawa w świat duchowy poety.

Tak Journet jak Michelet i Quinet posługują się na określenie Mickiewicza, jego ducha i wrażenia, jakie wywierał, przymiotnikami *sauvage* (dziki, pierwotny), dopełnionym innymi, jak grand, inquiet, sublime, frémissant, des plus charmant; *sauvage* — w znaczeniu jakiegoś gwałtownego żywiołu, niewolącej i wręcz przerażającej mocy geniuszu.

Ostatnie strony wstępu poświęcone są Polsce współczesnej, jej nowemu doświadczeniu i wyznaczonej narodowi przez jego wieszczów, a obowiązującej dziś jak przed wiekiem, wierności nakazom polityki chrześcijańskiej. Journet dotyka w tym miejscu w kilku słowach złożonego i groźnego zagadnienia stosunku Polaków do Niemców, Żydów, Ukraińców i Czechów, ale kończy akcentem wiary w młodzież polską, która przeszła próbę ognia i krwi i której «żadna nie zaszkodzi przeciwność, jeśli nią tylko żadna nie włada nieprawość».

Nulla ei nocebit adversitas, si nulla ei dominetur iniquitas.

(Z modlitwy liturgicznej.)

Maria CZAPSKA.

Varia

Bieżąca kronika

Zakończenie roku musiało melancholijnie nastroić naszych nielicznych monarchistów (naprawdę znałem tylko dwóch: Stanisława Mackiewicza i Leszka Gembarzewskiego, ten ostatni zginął zamordowany przez Niemców). 29 grudnia zmarł Wiktor Emanuel na wygnaniu «w ziemi egipskiej», nazajutrz Michał został pozbawiony tronu, a Rumunia powiększyła grono republik ludowych równie przodujących światu co Mongolia zewnętrzna. Czy to chwilowe zaćmienie monarchistycznych instytucji, czy też definitywny ich zmierzch?

Raczej to drugie. Gdy w 1888 roku cesarz brazylijski, Don Pedro II, został zdetronowany przez swych poddanych, ale przy tym z honorami i grubą forszą odstawiony krążownikiem do Portugalii — car Aleksander III miał się wyrazić, że widocznie monarchizm już się przeżył skoro królów już nie mordują czy gilotynują lecz emerytują, tak jak się odprawia republikańskiego ministra. I miał rację. Bolszewicy zamordowali Petkova, wypuścili Symeona; uwięzili Maniu — wypuszczają Michała. Mikołaja II na tyle się bali, że mu nie pozwolili schronić się w Anglii. Widocznie uważają, że ten kapitał wyobrażeń i uczuć, które monarchia jeszcze nie tak dawno symbolizowała, już się zużył i jest czymś bardziej anemicznym od prestiżu stronnictwa czy popularności trybuna. Królowie stali się prezydentami w koronie zamiast cylindra.

Już w wieku ubiegłym wielki historyk lord Acton pisał, że monarchia ma cel i rację bytu tylko w krajach wielonarodowych — przy czym państwa narodowo jednolite uważał za nie-szczęścia, za zarzewie przyszłych wojen i kołyski państw totalnych (choć używał oczywiście innej terminologii). A słabość idei monarchicznej najlepiej uwydatnił Baldwin w swym pamiętnym przemówieniu w Izbie Gmin wnosząc projekt ustawy o abdykacji dzisiejszego księcia Windsoru. Powiedział wówczas, że nawet w Anglii małżeństwo króla, które byłoby niezgo-

dne z poczuciem moralnym narodu, mogłoby doprowadzić do upadku monarchii, i nawet w Anglii, gdyby raz doszło do obalenia korony, restauracja monarchiczna mogłaby się okazać niemożliwa. Nawet w Anglii! Trudno więc nie być sceptykiem co do szans przywrócenia dawnych dynastii w Hiszpanii i Włoszech, tym bardziej w krajach bałkańskich, których ustroj społeczny, tak pozbawiony cech tradycyjnych, zawsze był trudny do szarmonizowania z monarchią.

Osobiście uważam istnienie niepisanego ustroju arystokratycznego za dużo ważniejsze od samej instytucji monarchii. W Anglii, jak słusznie wywodzi Hilaire Belloc, monarchia została definitywnie obalona w 1688 roku. Od tego roku istnieje tylko jej cień, który za obecnego panowania stał się cieniem cienia. Ale Anglia jest dalej rządzona przez arystokrację polityczną, opartą na zasadzie kooptacji a nie popularności czy nawet talentu: i tak nikomu nie znany pan Wilson zostaje członkiem gabinetu w wieku lat 31, bo się podoba oligarchom Labour Party, a głośne sześćdziesięciolatki, Laski i Zilliacus, są dalej od rządów odstawieni, bo oligarchowie ich nie chcą. Idea królewska przeobraziła się dzisiaj w mit «wielkiego człowieka» — najgroźniejszy mit naszego wieku; pojęcia artystokratyczno-oligarchiczne pozwalają parlamentowi angielskiemu funkcjonować sprawnie a także tkwią u podstaw resztek autorytetu parlamentów na kontynencie.

Osobiście nie boleję zbyt ani nad losem domu Sabaudzkiego ani tym bardziej dynastii rumuńskiej. Sabaudzcy są bardzo starą rodziną miejscową, lokalną — ale jako królowie włoscy byli dziećmi rewolucji, kreaturami masona Cavoura i dwóch «czerwonych» Mazziniego i Garibaldiiego. Wyskoczyli na nastrojach narodowych i antymonarchicznych (obalili szereg starodawnych dynastii jak Burbonów Parmeńskich, Sycylijskich, Habsburgów d'Esté itd.) i wreszcie antyklerykalnych: to oni zniszczyli państwo kościelne. Franciszek Józef, który znał się na tych rzeczach, nigdy nie rewizytował Wiktora Emanuela, uważając go za uzurpatora i dorobkiewicza. No, a o Hohenzollernach rumuńskich szkoda mówić. Ich stosunek do idei monarchicznej był dokładną repliką stosunku, jaki zachodzi pomiędzy «Hrabinią Maritzą» a klasyczną operą.

Najbardziej jestem zaangażowany sympatiami do Burbonów Hiszpańskich — ich powrotu szczerze bym Hiszpanii życzył. Ale jakiś coraz mniej w ten powrót wierzę. Tak jak z niektórymi politykami polskimi: wcale nie jestem ich wrogiem, tylko nie sądzę by zdołali władzę zdobyć czy się u niej utrzymać.

Rok 1947 zdaje się przejść do historii jako rok błogosławiony przez sztubaków: nie będą się na nim ścinać. Ale tzw. lata pamiętne, historyczne są rzeczą bardzo względną. Rok 1848 wydaje nam się taką datą, bo widział tyle rewolucji: w rze-

czywistości po roku, a we Francji po trzech, reakcja wszędzie zapanowała z powrotem jak za metternichowskich czasów: dopiero w latach sześćdziesiątych era monarchii konstytucyjnych zaczęła na dobre robić postępy. Natomiast zapomniany rok 1847 był świadkiem jednego z najbardziej epokowych wydarzeń: głodu w Irlandii, który rozpoczął kolonizację całego świata anglosaskiego przez ten ludek, dotąd nikomu poza Anglikami nieznaną, zabiedzoną, zahukaną i zapomnianą. W roku owym Irlandia liczyła około 8 milionów mieszkańców: dzisiaj obie jej połówki — Eire i północna Irlandia — mają zaledwie 4 miliony ludności, a więc połowę. Ale z Irlandii wyemigrowało nie 4 miliony ludzi lecz dużo więcej — może 10 milionów — albowiem Irlandczycy są jedną z najplodniejszych ras białych. I ci Irlandczycy, których główną więzią był katolicyzm stanowią dzisiaj bardzo znaczny odłam ludności przynajmniej w trzech krajach: w samej Anglii i Szkocji (od miliona do dwóch a według niektórych nawet więcej); w Australii (około półtora miliona) i zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych (co najmniej 10 milionów). Można stwierdzić, że domieszka krwi irlandzkiej jest jedną z głównych przyczyn jaskrawej różnicy temperamentu i usposobienia pomiędzy kuzynami po obu stronach Atlantyku. Dzięki naciskowi tej emigracji Wolne Państwo Irlandzkie nareszcie otrzymało niezależność. Po dziś dzień przekazy tych emigrantów są jedną z podstaw irlandzkiej zamieszkałości. Co więcej Irlandczycy stanowią trzon katolickiej hierarchii i w Stanach i w Australii i bez mała we wszystkich angielskich koloniach oraz w Indiach. Nie ma chyba kraju, któremu by katolicyzm — co prawda po trzech wiekach przesładowań — przyniósł równie bogate żniwo wpływów politycznych, kościelnych, kulturalnych co Irlandii.

By uzmysłwić sobie całą fantastyczność tego zjawiska wyobraźmy sobie, że to nie Irlandczycy lecz Czesi zdolali na trzech kontynentach stworzyć kolonie liczniejsze od kraju macierzystego i narzucić im kulturę, zabarwioną ich narodową religią. Wyobraźmy sobie, że w Nowym Yorku olbrzymia procesja defiluje przez pół dnia po 5 Avenue nie w dzień św. Patryka lecz św. Wacława!

Jedyny kraj, w którym natężenie emigracji można było porównać z irlandzkim — to Polska. Ale! Nasza emigracja nie była — jak irlandzka — narodowo jednolita: znaczny jej procent stanowili Żydzi i Ukraińcy. Poza tym posiadając, w przeciwieństwie do Irlandczyków, skarb własnego języka byliśmy zmuszeni przy emigracji posługiwać się obcym: stąd start mieliśmy znacznie gorszy. Po trzecie gros naszych wychodźców skierowało się do dwóch krajów — Rosji i Niemiec — gdzie nie mieli żadnych szans utrzymania swych tradycji narodowych, cóż dopiero narzucenia ich otoczeniu. Gdyby wszystkich obywateli sowieckich, w których żyłach płynie krew polska, zliczyć, doszlibyśmy do cyfry wielu milionów, może sześciu,

może ośmiu, może więcej. To wszystko przepadło bezpowrotnie. Natomiast na zachodzie polskość się utrzymała i utrzymać się nadal może. Skurczenie się świata, tak szkodliwe skądinąd, pozwala nam znacznie skuteczniej podtrzymać związki Polaków amerykańskich z polskością niż wydawało się to możliwe choćby tylko 15 lat temu.



Po raz pierwszy bodaj od Bolka Krzywoustego (bo już za Wstydliviego rozpoczęła się rozległa kolonizacja niemiecka, a za Kazimierza Wielkiego żydowska) jesteśmy krajem narodowo niemal jednolitym. Nasza administracja może jest rosyjsko-żydowska, ale procent «nierdzennych» Polaków w Polsce w chwili obecnej nie powinien przekraczać 10% (przyjmując, że na ziemiach zachodnich pozostało sporo Niemców, udających «autochtonów»). Pomimo naszych opowiadań a raczej przechwałek o «tolerancji», do takiego właśnie stanu masa polska w epoce dwudziestolecia uparcie i namiętnie dążyła. Jak zwykle zniszczone marzenia są odległe od snów. Ale czy i o ile ta zmiana, tak istotna, wpłynie na nasz charakter i usposobienie narodowe?

Nie wydaje mi się, by ta zmiana miała być tylko przejściowa. Nie wyobrażam sobie byśmy mieli pogodzić się z powrotem nowej mniejszości niemieckiej, a napływ nowych 3 milionów Żydów, na przykład z Rosji (rzecz możliwa jeśli się tam zacznie era pogromów), spotka się zapewne z dość silnym i powszechnym oporem. Najważniejszy jest oczywiście nasz przyszły stosunek do Ukraińców. Czy ci, którzy żądają odzyskania naszych ziem wschodnich (to znaczy prawie całe nasze społeczeństwo) chcą je odzyskać wraz z dawnymi mniejszościami tych ziem, czy też — na wzór ziem doodrzańskich — jako pustkowie dla osiedlenia tam Polaków? Nie lubimy jasnego stawiania sprawy — wolimy wymigiwać się frazesami. Nie sądzę atoli by było celowe przymykać oczy na stan istotny. Doświadczenia na ziemiach zachodnich na pewno nie zwiększyły naszego liberalizmu, którego skromniutką dawkę w naszych sercach i umysłach stanowczo lubiliśmy przeceniać.



Przy naszym kobiecym, z lekka histerycznym usposobieniu jesteśmy skłonni do skrajnych ocen stosunku innych mocarstw do Niemiec i Niemców: raz zakładamy, że Niemcy będą przez pięć wieków traktowani jak heloci, nazajutrz widzimy wszędzie germanofilów i widmo gwałtownej odbudowy potęgi Rzeszy. Prawda wydaje mi się od tych dwóch krańcowych koncepcji wcale odległa.

Z całą pewnością mogę stwierdzić, przebywając od tylu lat w Anglii, że zasadniczy stosunek Anglików do Niemiec się zmienił. Nie ma tutaj dziś śladu owych nastrojów powersalskich,

kiedy bez mała cała inteligencja była opanowana szaleństwem germanofilskim a jej nastroje przeniknęły głęboko do mas. Dziś sympatie proniemieckie są wciąż żywe i silne, choć trochę mgławicowe, tylko w stosunkowo nielicznym odłamie starszego pokolenia radykalnej inteligencji. Liberatowie — sir A. Salter, lord Beveridge, Gilbert Murray itd. przyznają się do pomyłek w ocenie Niemiec, skrajna lewica zahipnotyzowana jest Rosją nie Niemcami, a gros opinii lewicowej marzy o jakimś bloku zachodniej Europy. Masy po dwukrotnych smutnych doświadczeniach są wobec Niemców nieufne i podejrzliwe. I nie wydaje się, by obecne Niemcy umiały tak sobie zdobywać sympatie angielskich wojsk okupacyjnych jak to miało miejsce po tamtej wojnie. Uważam postawienie przez Anglię na kartę niemiecką za absolutnie wykluczone.

Natomiast Anglicy, może przeceniając stopień i długotrwałość osłabienia Niemiec, są zdania, że nie należy ich doprowadzać do rozpacz. Dlatego nie godzą się na francuskie plany rozczłonkowania Rzeszy, ani na wydzielenie Ruhry, ani na aneksję Nadrenii, ani też na definitywne uznanie Odry i Nissy za wschodnią granicę Niemiec. Podkreślam: interesuje ich *wschodnia* granica Rzeszy, nie *zachodnia* granica Polski. Jeśli chodzi o ten ostatni punkt to sądzę, że 90% Anglików nie pragnie zwrotu Prus Wschodnich i Gdańska Rzeszy; a myślę, że większość także by się znalazła za definitywnym oderwaniem od niej Śląska Opolskiego. Co do reszty pozostaje sceptykiem.

Nastroje angielskie przesądziły o kierunku rewizjonizmu niemieckiego za Stresemanna. O żądaniach ewentualnego obecnego rewizjonizmu niemieckiego przesądzi wyłącznie Ameryka. Nie będąc w Stanach od szesnastu lat trudno mi wyrobić sobie w tej mierze zdanie; myślę jednak, że Anglicy i Francuzi musieliby dużo zrobić błędów, by skłonić Stany do jaskrawo proniemieckiej polityki.

Jedynym państwem, które może pójść na germanofilizm «na całego» — to Sowiety. One jedne mogą się nie liczyć z nastrojami opinii, która nigdzie tak łatwo zbrodni niemieckich zapomnieć nie może. One jedne mogą lekceważyć gwałtowne odruchy, które zwrot proniemiecki w krajach takich jak Polska, Francja, Czechy, Belgia nawet Anglia wywołać musi. One jedne wreszcie mogą pójść na koncepcje tak ryzykowne. Jedne tylko Sowiety mogą próbować odbudować niemiecką potęgę militarną.

Ilu stracono hitlerowców? Pytanie to mnie pasjonuje jako amatora statystyki ludnościowej. W Anglii stracono zdaje się pięciu czy sześciu ludzi, jako agentów niemieckich (z Wilia- mem Joyce — lordem Haw-Haw — i młodym Amery, synem byłego ministra Indii na czele), we Francji sądownie około 11.000 ludzi, w drodze samosądów zaraz po liberacji pewno drugie

tyle. Ale ilu stracono Niemców? Statystyka wyroków, przynajmniej w strefach zachodnich musi być dokładna: nigdzie nie została opublikowana. Stracić musiano dotąd co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi; zwłaszcza Amerykanie poczynali sobie dość ostro. Jeśli do tego dodamy wyroki sowieckie, wyroki w krajach eksokupowanych i wreszcie samosady — to dojdziemy do wniosku, że z 50.000 hitlerowców musiano już po wojnie «zlikwidować». Jeśli zważyć, że hitlerowcy zgładzili około 20.000.000 ludzi, to trzeba przyznać, że wyszli obronną ręką.

Jeszcze ciekawszy jest problem rozwoju ludnościowego Rzeszy. Wiemy, że do roku 1943 stopa urodzin w Rzeszy była wyjątkowo zadawalająca. o 50% wyższa od stopy z 1933 roku, w chwili dojścia Hitlera do władzy. Od tego czasu zaczyna się spadek. Według fragmentarycznych danych, ogłoszonych przez Anglików dla zony brytyjskiej, w roku 1945 zgony (które silnie wzrosły) dość znacznie przewyższyły liczbę urodzeń (których ilość spadła stosunkowo mniej). Atoli już w jesieni 1946 sytuacja ta miała się odwrócić nie tyle wskutek wzrostu urodzin, ile spadku zgonów, zwłaszcza niemowląt; i od tego czasu ludność zony angielskiej ma mieć przyrost naturalny około czterech promille rocznie (w Polsce przed wojną, około 14 promille). Jeśliby sytuacja podobna miała istnieć w innych zonach (w zonie amerykańskiej powinna być lepsza — mniej zniszczeń, więcej żywności, w zonie sowieckiej — gorsza), to ludność Rzeszy w dalszym ciągu wzrastałaby o około 300.000 rocznie czyli więcej niż ludność Anglii przed wojną (około 200 000). Zważywszy przeludnienie Rzeszy stan taki uznać by należało za wysoce niepokojący. W interesie Europy jest stały, coroczny ubytek ludności Rzeszy, spowodowany spadkiem urodzin. Póki ludność Rzeszy — w drodze wymierania lub emigracji — nie spadnie poniżej 50 milionów póty Niemcy nie mogą się stać «dobrym sąsiadem», a sama ich liczebność będzie wytwarzać podatne podłoże dla marzeń o hegemonii.

Sytuację dzisiejszą można określić jako wyścig między postępowaniem w wytwarzaniu narzędzi śmierci i instrumentów zdrowia. Postęp w tej pierwszej dziedzinie przybiera rozmiary tak potworne, że prawie niemożliwe do pojęcia. Jeden mój przyjaciel, kanadyjczyk, specjalista od «chemii fizycznej» (dla mego umysłu laika ta branża wydaje się specjalnie groźna), tłumaczył mi niedawno, że bomby atomowe są dzisiaj wielokrotnie «skuteczniejsze» niż nad Hiroszimą, rozwdził się nad nieograniczonymi możliwościami bomby bakteriologicznej, ale potem, z pewną melancholią stwierdził, że jak dotąd o wysadzeniu świata nie może być mowy; maksimum na co uczonych stać to wywołanie wybuchów o sile trzęsienia ziemi. Optymiści mogą

się pocieszać, że starodawne i wypróbowane metody prymitywnych dzikusów — głód i rzeź — dotąd robią więcej ofiar niż najlepsze bomby: w Indiach zwykłymi kozikami wymordowano około miliona ludzi w ciągu tygodnia.

A równocześnie postępy medycyny są równie zdumiewające. Już w ciągu wojny 1939-1945 liczba zgonów z ran zmalała w porównaniu z wojną 1914-1918 o przeszło dwie trzecie. Kto nie został zabity z miejsca miał poważne szanse wylizania się. W tej chwili medycyna gwarantuje większości ludzi 60 lat, wkrótce pono 70 i więcej. Już dzisiaj w Anglii procent ludzi ponad siedemdziesiątkę dorównywa ilości dzieci do lat pięciu. Dotąd jednak procesu starzenia się nie zdołano odsunąć. Tak więc roczniki starsze będą stanowić coraz to liczniejszą część społeczeństw. Konsekwencje takiego rozwoju muszą być olbrzymie; trudno utrzymywać i coraz większą ilość dziadków i liczne potomstwo. Wśród uprawnionych do głosu liczba konserwatystów musi w związku z tą ewolucją wzrastać. Poważny procent narodowych majątków będzie pozostawać w rękach ludzi nie skłonnych do jakiegokolwiek ryzyka. Tempo zmian poglądów, upodobań, musi maleć. Wreszcie Kościół a nawet kościoły będą miały w starcach zawsze liczne a niezawodne oparcie.

Może wzrastająca niszczyielskość wojen jest związana z postępem medycyny? Przeznaczeniem człowieka jest żyć wśród niebezpieczeństw, trudu, niedoli i nieszczęść. Gdy dawne jego zmory, głód, ubóstwo i choroby powoli zanikają — chmury atomowe i bomby bakteriologiczne muszą mu przypominać, że z bólu się zrodził i cierpienie ma mu towarzyszyć aż do kresu życia.

W. A. ZBYSZEWSKI.

«Pod Prąd»

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
Librairie T. Pajor, 47, rue de l'Université, Paris VII^e (cena 15 fr.).

W. BRYTANIA: Centralna Skł. Książek S.P.K., 57, Edbrooke Road, London W. 9 (cena 6 d.).

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles (cena 7 fr.).

WŁOCHY: J. Młeczniowski, Via dei Villini 18, int. 4, Roma (cena 25 lir.).

Współpraca Czytelnika

W rozpowszechnianiu pisma:

Proszę:

o wysłanie numeru okazowego do niżej wymienionych osób
(prosimy o załączenie 10 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

o przyznanie bezpłatnego dwumiesięcznego abonamentu osobom, które niewątpliwie będą kontynuowały prenumeratę (prosimy o załączenie 20 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

W redagowaniu pisma:

Proszę, aby „KULTURA” poruszyła w najbliższych numerach następujące tematy:

Mam następujące zarzuty i uwagi pod adresem pisma:

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do:

THE VISTULA PRESS LTD.

86, Avenue Road, London N. W. 8.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

△ pół roku (6 kolejnych wydań) — za cenę sh. 16.

△ jednego roku (12 kolejnych wydań) — za cenę £ 1. 10. 0.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania
za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu
powiadamał, dołączając 1 sh. na koszty sporządzenia nowej
matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

.....

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do:

LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

△ pół roku (6 kolejnych wydań) — za cenę 500 frs.

△ jednego roku (12 kolejnych wydań) — za cenę 800 fr.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania
za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu
powiadamał, dołączając 10 fr. na koszty administracyjne.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

.....

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

◆
Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZECH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZECH 5 Mk., w SZWAJCARII 1,80 fr.szw.

◆
Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; 1/2-roczna 500 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; 1/2-roczna 16 sh.
we WŁOSZECH: roczna 2000 lir; 1/2-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; 1/2-roczna 12 kor.
w NIEMCZECH: roczna 50 Mk.; 1/2-roczna 25 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr.szw.; 1/2-roczna 10 fr.s.

◆
Cena ogłoszeń: cała strona 4.000 fr. fr.; 1/2 strony 2.500 fr. fr.

◆
Przedstawicielstwa:

We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IVe)
W W. BRYTANII: The Vistula Press Ltd., 86, Avenue Road, — London N.W.8
We WŁOSZECH: Jan Miecznikowski, «Kiosk Polski», via Vittorio Veneto 62, Roma
W PALESTYNIE: United Publishers Ltd., 8, Storrs Ave., — Jerusalem
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
W NIEMCZECH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taurus), Hotel
Bienberg, U. S. Zone.
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10

◆
Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04.

◆
*Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym*

◆
Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

◆
KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

A. S. Libella, Paris
6.40

INSTYTUT LITERACKI

Ukazały się i są w sprzedaży następujące nowe książki

INSTYTUTU LITERACKIEGO:

Arthur Koestler: **KRUCJATA BEZ KRZYŻA**
Przekład G. Herling-Grudzińskiego.

Cena we Francji 250 fr.
Cena w Anglii 9/6 sh.

Jan Bielatowicz: **PASSEGGIATA**
Wybór szkiców włoskich.

Cena we Francji 180 fr.
Cena w Anglii 7/6 sh.

Gustaw Grudziński: **W OCZACH PISARZY**
Wybór opowieści wojennych.

Cena we Francji 260 fr.
Cena w Anglii 12/6 sh.

Tadeusz Miciński: **PORTRET KANTA
I TRZY ESSAYE O WOJNIE**

Cena we Francji 130 fr.
Cena w Anglii 5/6 sh.

*Książki te są do nabycia we wszystkich punktach sprzedaży
KULTURY. Redakcja KULTURY wysyła je również
z a z a l i c z e n i e m p o c z t o w y m
żądajcie katalogów wydawnictw Instytutu Literackiego*

W najbliższym czasie Instytut Literacki wydaje:

Arthur Koestler: **CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE**
w przekładzie Tymona Terleckiego.

Józef Czapski: **NA NIELUDZKIEJ ZIEMI**